biuletyn
JUBILEUSZOWY

20-lecie
Katolickiego
Ośrodka Adopcyjnego

Katolicki Ośrodek Adopcyjny w Warszawie
1994 – 2014
JUBILEUSZ

ul. Grochowska 194/196
04-357 Warszawa
www.adopcja.org
e-mail: katolickiosrodek@interia.pl

Dział adopcji krajowych i rodzin zastępczych
tel./fax: (22) 618 92 45
(22) 818 53 37

dyżury: wtorek 10:00 – 12:00
środa, czwartek 16:00 – 18:00

Dział adopcji zagranicznych
tel./fax: (+ 48 22) 818 54 30

Telefon zaufania
(22) 619 63 95
„Pomoc matce - życie dziecku"

Zapraszamy do nas:
- zainteresowanych rodzicielstwem adopcyjnym
- kobiety w ciąży potrzebujące wsparcia
- osoby gotowe do współpracy

Nasze konto
PEKAO S.A. O/Warszawa
95124060741111000049941603

Ośrodek wykonuje zadania zlecone z zakresu administracji rządowej realizowane przez Samorząd Województwa Mazowieckiego w ramach umowy powierzenia realizacji zadania publicznego z zakresu wspierania rodziny i systemu pieczy zastępczej.

Mazowsze. serce Polski

MAZOWIECKIE CENTRUM POLITYKI SPOŁECZNEJ

Dziękujemy naszym Rodzinom,
Współpracownikom
oraz Fundacji Rodzin Adopcyjnych
za wkład w powstanie
Biuletynu Jubileuszowego.

Fotografie osób nie są ściśle związane z zamieszczonym przy nich tekstem.

Redakcja
Zofia Dłutek, Monika Redziak

Korekta
Anna Pawelczak-Gedyk

Projekt graficzny, skład i przygotowanie do druku
Arkadiusz Rabiński

Druk i oprawa
Lotos sp. z o.o.

SPIS TREŚCI

List Arcybiskupa Henryka Hosera SAC 2

Z nauczania Papieża Franciszka 3

U nas w Ośrodku

Zofia Dłutek – Dziękujemy Ci Janie Pawle II, Święty Janie Pawle II 5
Monika Redziak – Dwadzieścia lat minęło jak jeden dzień… 10
Małgorzata Mendez Varela – Rodziny z daleka 15
Anna Maria Waszczyńska – Rozdzielanie rodzeństwa w imię dobra dzieci 18
Grażyna Nowodworska de Laa – Moje nieoczekiwane zmagania z FAS 21
Dorota Polańska – Podążając za dzieckiem 26
Wojciech Pytel – Fundacja Rodzin Adopcyjnych – przyszłość 30
Mirosława Romanowska – Jak niemowlak widzi świat, gdy nie ma przy nim jednej, kochającej osoby? 32

U nas w Rodzinie

Dlaczego moja Mama biologiczna mnie zostawiła... 34
Czeka na nas dwóch chłopców! 36
Podwójne obowiązki – podwójna radość 39
La mia storia / Moja historia 40
Świadectwo rodziców 42
Świadectwo siostry 43
Siedmioro wspaniałych 44
Być tatą 47
Być mamą 48
Były sobie kiedyś dwie kobiety... 51
Hej kära fosterfamilj! / Dzień dobry Kochane Pogotowie Rodzinne! 52
Najpiękniejszy prezent 56
Mamy wobec Państwa pewne plany... 57
Księżniczki swojego taty 59
Podwójne szczęście z innym początkiem 60
Kocham cię, mamo!. 62
Nasza Rodzinka 64
Miłość jednakowa i bezinteresowna 65
A Thank You Letter / List dziękczynny 67

Wykaz Katolickich Ośrodków Adopcyjnych 72
Fundacja Rodzin Adopcyjnych 73

Abp Henryk Hoser SAC
Biskup Warszawsko-Praski

Powołany do istnienia 1 czerwca 1994 roku przez Biskupa Warszawsko-Praskiego Kazimierza Romaniuka, Katolicki Ośrodek Adopcyjno-Opiekuńczy obchodzi w tym roku 20 lecie istnienia.

Dwadzieścia minionych lat to czas niezwykłych dokonań w dziedzinie ludzkich losów tak czasem trudnych i bolesnych, tak delikatnej natury, jakimi są wszystkie formy sieroctwa, ale też radość z ofiarowanych perspektyw życiowych i płynącego z nich szczęścia i radości.

Formy i postać sieroctwa są różne. Utrata przez śmierć rodziców prowadzi do sieroctwa biologicznego: dziecko zostaje samo, przygarnięte przez dalszą rodzinę albo instytucje opiekuńcze, jak domy dziecka. Nie zastąpią one rodziców, nie dadzą możliwości życia w ukonstytuowanej rodzinie „na miarę człowieka".

Sieroctwo społeczne to inny dramat. Rodzice lub jedno z nich żyją, istnieją, ale dziecko zostawiają innym. Przyczyny tego stanu są liczne i zróżnicowane, nierzadko obarczone indywidualną lub społeczną patologią. Ten typ sieroctwa narasta liczbowo w miarę zaniku kultury rodzinnej i rozpadu rodziny tak związanych ze współczesnym społeczeństwem.

Próba stworzenia szansy życia rodzinnego dla dziecka opuszczonego jest celem ośrodków adopcyjnych. Kierują one swój apel do osób wielkiego serca, gotowych przyjąć dziecko za swoje i otworzyć mu podwoje swojego ogniska domowego. Bywają też rodziny, które posiadając własne przyjmują także chore dzieci lub niepełnosprawne.

Trudny i delikatny proces przeprowadzania adopcji przypada na personel Ośrodka: 13 pracowników i 6 tworzących Komisję Kwalifikacyjną. To do nich należy nie tylko procedura administracyjna, ale także formacja rodzin adopcyjnych i ocena ich możliwości ludzkich i materialnych.

Wychowanie człowieka jest rodzicielstwem duchowym, decydującym o kształcie i jakości człowieczeństwa przyszłego dorosłego. Tym, co wychowuje w pierwszym rzędzie jest miłość rodzicielska i danie jej dziecku w sposób nieinteresowny – dla niego samego.

Ośrodek jest katolicki i z wiary czerpie głęboką motywację, mądrość i światło. Wyrazem takiej postawy i inspiracji są Patroni Ośrodka, nadani przez Biskupa Kazimierza Romaniuka 29 września 1997 roku. *Powierzając całą działalność Ośrodka Adopcyjnego i sam Ośrodek Bogu, dawcy wszelkiego życia, przez posłannictwo Świętych Archaniołów, dekretem niniejszym ustanawiam Świętych Archaniołów Michała, Gabriela i Rafała, Patronami Katolickiego Ośrodka Adopcyjnego w Warszawie. Uwielbiając Boga za dar tak wielkich Pośredników, proszę, aby Święci Archaniołowie byli ciągle wzywani w tej tak bardzo ważnej pracy Ośrodka. Na dalszą owocną pracę dla dobra wszystkich, a w szczególności dla tych najmniejszych, z serca błogosławię.*

Kazimierz Romaniuk Biskup Warszawsko-Praski.

Niech zatem Archaniołowie służący w najważniejszych misjach Boga wszelkiego Ojcostwa (por, Ef 3, 14-15) prowadzą Ośrodek do dalszych rocznic i jubileuszy.

BISKUP WARSZAWSKO-PRASKI
ABP HENRYK HOSER SAC

Warszawa, 01 sierpnia 2014 roku

Z NAUCZANIA
PAPIEŻA FRANCISZKA

Z okazji Roku Wiary Papieska Rada ds. Rodziny zorganizowała Dzień Rodziny. W pielgrzymce do Grobu św. Piotra wzięło udział ponad 100 tys. osób z 75 krajów świata. Hasło tej inicjatywy brzmiało: <Rodzino, żyj radością wiary!>. W sobotę 26 października po południu, na placu św. Piotra Papież Franciszek podczas spotkania poświęconego modlitwie i świadectwu, po wysłuchaniu różnych świadectw rodzin, wygłosił rozważanie o codziennych trudnościach, o potrzebie komunikacji oraz przestrzegł przed brakiem miłości i radości w domach.

Papież między innymi powiedział: *Drogie rodziny, Pan zna nasze trudy: On je zna! Zna ciężary naszego życia. Ale Pan zna również nasze głębokie pragnienie, aby znaleźć radość pokrzepienia! Pamiętacie? Jezus powiedział: < Niech wasza radość będzie pełna> (por. J 15, 11). Jezus chce, żeby nasza radość była pełna! Powiedział to apostołom, a dzisiaj powtarza to nam. Jest to więc pierwsza sprawa, którą chcę się podzielić z wami tego wieczoru, są to słowa Jezusa: Rodziny całego świata, przyjdźcie do Mnie – mówi Jezus – a Ja wam dam pokrzepienie, aby wasza radość była pełna. Te słowa Jezusa zabierzecie do domu, noście je w swych sercach, dzielcie się nimi w rodzinie. On zachęca nas, byśmy do Niego poszli, aby dał nam wszystkim radość*".

(…) *To właśnie jest małżeństwo! Wyruszyć i iść razem, trzymając się za ręce, powierzając się wielkiej dłoni Pana. Zawsze trzymając się za ręce, przez całe życie! I nie zwracając uwagi na tę kulturę tymczasowości, która dzieli nasze życie na kawałki!*

Z tą ufnością w wierność Boga można stawiać czoło wszystkiemu, bez lęku, odpowiedzialnie. Chrześcijańscy małżonkowie nie są naiwni, znają problemy i niebezpieczeństwa życia. Ale nie boją się wziąć na siebie odpowiedzialności przed Bogiem i społeczeństwem.

Małżonkowie (…) potrzebują pomocy Jezusa, żeby podążyć razem z ufnością, żeby każdego dnia akceptować się nawzajem i przebaczać sobie każdego dnia! To jest ważne! W rodzinach trzeba umieć sobie przebaczać, ponieważ wszyscy mamy wady, wszyscy! Czasami robimy rzeczy, które nie są dobre i wyrządzają innym krzywdę. Trzeba mieć odwagę, by przeprosić, gdy w rodzinie popełnimy błąd…

(…) aby rodzina funkcjonowała, trzeba używać trzech słów. (…) Trzy słowa: proszę, dziękuję, przepraszam. Są to trzy słowa klucze!

(…) *Rodzina doświadcza w życiu wielu pięknych chwil: odpoczynku, wspólnego obiadu, przechadzek w parku czy wyjazdów na wieś, odwiedzin u dziadków, u osoby chorej … Ale jeśli brakuje miłości, to brakuje*

Podczas spotkania na Placu Świętego Piotra z Ojcem Świętym Franciszkiem rozmawia włoska rodzina, która adoptowała z Polski troje dzieci.

radości, brakuje świętowania, a miłością obdarza nas zawsze Jezus: On jest niewyczerpanym źródłem. On, w sakramencie, daje nam swoje Słowo, i daje nam Chleb życia, aby nasza radość była pełna.

Następnego dnia w czasie niedzielnej homilii Ojciec Święty nawiązując do tekstów liturgii, wskazał na modlitwę, wiarę i radość, które powinny być obecne w rodzinie chrześcijańskiej.

Pierwsze – rodzina, która się modli (…) Wszystkie rodziny, wszyscy potrzebujemy Boga: wszyscy, wszyscy! Potrzebujemy Jego pomocy, Jego siły, Jego błogosławieństwa, Jego miłosierdzia, Jego przebaczenia. I potrzebna jest prostota: aby modlić się w rodzinie, potrzebna jest prostota! Wspólne odmawianie przy stole „Ojcze nasz" nie jest rzeczą nadzwyczajną: jest łatwe! A wspólne odmawianie różańca w rodzinie jest bardzo piękne, daje wiele siły! A także modlenie się za siebie nawzajem: mąż za żonę, żona za męża, obydwoje za dzieci, dzieci za rodziców, za dziadków… Trzeba się modlić za siebie wzajemnie. To jest modlenie się w rodzinie, i ta modlitwa umacnia rodzinę.

Druga sprawa – *rodzina, która strzeże wiary (…) możemy zadać sobie pytanie: w jaki sposób my, w rodzinie, strzeżemy naszej wiary? Czy zachowujemy ją dla nas, w naszej rodzinie, jako własne dobro, jak konto w banku, czy też umiemy się nią dzielić poprzez świadectwo, gościnność, otwarcie na innych? Wszyscy wiemy, że rodziny, zwłaszcza młode, są często <zabiegane>, bardzo zapracowane. Ale czy czasami pomyślicie, że ten <bieg> może być także biegiem wiary? Rodziny chrześcijańskie są rodzinami misyjnymi.* (…) *Są one misyjne także w życiu codziennym, wykonując codzienne czynności, dodając do wszystkiego soli i zaczynu wiary! Trzeba zachować w rodzinie wiarę i dodawać soli i zaczynu wiary do codziennych spraw.*

Ostatni aspekt – *rodzina żyjąca radością (…) Drogie rodziny, dobrze o tym wiecie, że prawdziwa radość, jakiej doświadcza się w rodzinie, nie jest czymś powierzchownym, nie wynika z posiadanych rzeczy, ze sprzyjających okoliczności… Prawdziwa radość pochodzi z głębokiej harmonii między ludźmi, którą wszyscy odczuwają w sercu, i dzięki której odczuwamy piękno bycia razem, wzajemnego wspierania się na drodze życia. Ale u podstaw tego uczucia głębokiej radości jest obecność Boga, obecność Boga w rodzinie, Jego miłość otwarta, miłosierna, szanująca wszystkich. I przede wszystkim miłość cierpliwa: cierpliwość jest cnotą Boga, która uczy nas okazywać jedni drugim tę cierpliwą miłość w rodzinie. Mieć cierpliwość we wzajemnych relacjach. Miłość cierpliwa. Tylko Bóg umie z różnic tworzyć harmonię. Jeśli brakuje miłości Boga, to także rodzina traci harmonię, przeważają indywidualizmy i gaśnie radość. Natomiast rodzina, która żyje radością wiary, przekazuje ją spontanicznie, jest solą ziemi i światłem świata, jest zaczynem dla całego społeczeństwa.*

Drogie rodziny, zawsze żyjcie z wiarą i prostotą, jak Święta Rodzina z Nazaretu. Niech radość i pokój Pana zawsze będą z wami!

Rzym, Plac Świętego Piotra
„Dzień Rodziny" 26 – 27 października 2013 r.
/cytaty z: L'Osserwatore Romano nr 12/2013/

Zofia Dłutek
Dyrektor Katolickiego Ośrodka Adopcyjnego w Warszawie

DZIĘKUJEMY CI **JANIE PAWLE II**, ŚWIĘTY JANIE PAWLE II

Z. Dłutek, M. Bramska i E. Morstin wręczją Album Rodzin Adopcyjnych Ojcu Świętemu w czasie pielgrzymki do Ojczyzny 13 czerwca 1999 r.

W końcu lat 70. ubiegłego wieku do naszej siermiężnej, socjalistycznej rzeczywistości wdarł się nieoczekiwanie blask – wydarzenie bezprecedensowe, nieśnione nikomu poza wieszczem Juliuszem Słowackim. Polski kardynał z Krakowa – Karol Wojtyła, którego nazwisko było trudne do wymówienia przez kardynała protodiakona 17 października 1978 roku na balkonie bazyliki św. Piotra na Watykanie, został wybrany papieżem. Przyjął imię Jana Pawła II, aby kontynuować pontyfikat poprzednika, który krótko, bo niewiele ponad trzydzieści dni, służył Kościołowi Powszechnemu jako Sługa Sług.

Trzeba pamiętać, że w tamtych czasach i my również nie za dużo wiedzieliśmy o kardynale, który pasterzował w Krakowie. Jego książki „Kobietą i niewiastą stworzył ich" czy „Modlitwa i czyn" były znane w środowisku kościelnym, związanym głównie z Katolickim Uniwersytetem Lubelskim. Wówczas nie można było zdobyć Jego homilii głoszonych podczas uroczystości czy choćby przejrzeć „galerii zdjęć", na których widnieje w stroju Pasterza Diecezji, narciarza, turysty w Tatrach, „wuja" na spływie kajakowym. Dopiero ogłoszenie kardynała Karola Wojtyły papieżem sprawiło, że dowiedzieliśmy się o nim więcej.

Kiedy Jan Paweł II w 1979 roku przyjechał do Polski, wydawało się, że jest to wydarzenie epokowe – pierwsze i zarazem ostatnie w historii naszego narodu. Nie mówiło się, że to „pierwsza" pielgrzymka. Czy mogliśmy sądzić, że będzie druga i jeszcze kolejne?

Czytam teraz tzw. opracowania naukowe, w których niektórzy socjologowie głoszą tezę, że nie istnieje pokolenie JPII. A ja jestem przekonana, że my jesteśmy pokoleniem JPII! Owo „my" obejmuje również wszystkie osoby, które zakładały Katolicki Ośrodek Adopcyjno-Opiekuńczy (aktualnie Katolicki Ośrodek Adopcyjny) w Warszawie i działały na jego rzecz.

Nauka Jana Pawła II przenikała do naszych serc i umysłów. Chłonęły ją zarówno osoby młode, (kończyłam wówczas 18 lat), jak i osoby dorosłe. Myślę m.in.

o p. Marii Bramskiej, p. Marii Bujnik, p. Stanisławie Lis (†), p. Ewie Morstin, p. Małgorzacie Bal, p Marii Kwiecień, p. Elwirze Nawłoce-Bieleckiej. Każdego w jego indywidualnej historii życia prowadził Pan Bóg.

Słuchałyśmy słów nauczania Soboru Watykańskiego II: *Bóg „chciał" każdego człowieka od początku – i Bóg go „chce" w każdym ludzkim poczęciu i narodzeniu* (Gaudium et spes, 24), a Jan Paweł II dopowiada: *Trzeba, ażeby w to chcenie Boga włączyło się ludzkie chcenie rodziców: aby oni chcieli nowego człowieka, tak jak go chce Stwórca.* (Jan Paweł II, List do Rodzin, 1994, 9)

Wokół każdego swojego dzieła Bóg gromadzi ludzi. I tak było w przypadku inicjatywy powołania Katolickiego Ośrodka Adopcyjno-Opiekuńczego. Najpierw byli to pp. Maria i Stefan Bramscy. Stanowili oni dla dwójki dzieci rodzinę zastępczą. Ich dom był otwarty na dzieci osierocone i matki w ciąży. Dla p. Marii – lekarza medycyny – to było naturalne. Nie mogła się nadziwić, że nie udaje się rozwiązać problemu sieroctwa poprzez przyjęcie przez katolickie rodziny dzieci pozbawionych opieki rodzicielskiej. Bardzo odpowiadało jej hasło: *Zamknijmy domy dziecka!*, które był nagłaśniane w latach 90. ubiegłego wieku, ale dodała do tego ważniejsze: *Otwórzmy nasze domy!* Działała ona, od 1992 roku, w Ruchu Obrony Życia im. ks. J. Popiełuszki, teraz już błogosławionego, na warszawskim Żoliborzu. Pani Maria wspomina: *Podczas pracy stało się dla nas oczywiste* (dla niej i p. Małgorzaty Bal przyp. Z. D.), *że idea obrony życia poczętego nie może obejmować tylko czasu do chwili narodzin dziecka, musi sięgać czasowo dalej, dopóki nie upewnimy się, czy dziecko nie jest zagrożone sieroctwem społecznym, a matka sytuacją kryzysową, z którą sobie nie umie poradzić* (Biuletyn Jubileuszowy KOA-O, Warszawa, 2004, s. 7). Już w 1993 roku próbowały one zainteresować ideą powołania Katolickiego Ośrodka Adopcyjno-Opiekuńczego władze Archidiecezji Warszawskiej. Jednak Pan Bóg chciał inaczej.

Pani Małgorzata Bal – pedagog specjalny, obecnie prezes Stowarzyszenia „Po pierwsze rodzina" i Poradni „Aga" dla dzieci z porażeniem mózgowym – miała dar odnajdywania osób, które mogły służyć Ośrodkowi. Pani Maria Bujnik, która kierowała Duszpasterstwem Rodzin Diecezji Warszawsko-Praskiej, wspomina właśnie takie „przypadkowe" z nią spotkanie na jednej z ulic, na przejściu dla pieszych. Po rozmowie, jaka się wtedy między nimi wywiązała, sprawę adopcji potraktowała jako wyzwanie. Podzieliła się swoją refleksją z ks. kan. Józefem Zdzisławem Gniazdowskim, Diecezjalnym Duszpasterzem Rodzin, a potem z pierwszym ordynariuszem Diecezji Warszawsko-Praskiej ks. biskupem Kazimierzem Romaniukiem. Ksiądz Biskup rozważając tę sprawę, wykorzystał spotkanie Rejonowego Duszpasterstwa Rodzin, które odbywało się w lutym 1994 roku, do rozmowy z osobami zaangażowanymi w Archidiecezjalną Poradnię Adopcyjną w Łodzi. Stawiał wiele rzeczowych pytań i w konsekwencji zwrócił się do p. Marii Bujnik ze słowami: *Pani Mario, czy nam się uda? Jeżeli uważacie, że tak, to róbcie.* I tak się to zaczęło. (Biuletyn Jubileuszowy KOA-O, Warszawa 2004, s.5)

Pani Małgorzata Bal również mnie wciągnęła do pracy w Ośrodku. Jesteśmy z jednej parafii. Kiedy wraz z mamą przekazywałam dary w siedzibie Ruchu Obrony Życia, podczas miłej rozmowy umiejętnie wyciągnęła ode mnie nie tylko to, jaki mam zawód i czym się zajmuję, ale również adres i telefon, co skutkowało zaproszeniem do współpracy w tworzącym się Ośrodku. Był to w Polsce czas, który dawał nadzieję, że zasada pomocniczości, wpisana w Konstytucję RP, będzie właściwie rozumiana, tzn. państwo i urzędnicy zatrudnieni w instytucjach państwowych będą pomagali spełniać zadania podejmowane przez obywateli w służbie społeczeństwu.

Filozofia personalistyczna ujawniająca się w nauczaniu świętego Jana Pawła II, myślenie obywatelskie rozwijające się w Polsce w latach 90. ubiegłego wieku, rozpoczęcie w roku 1993, w Uroczystość Świętej Rodziny, Roku Rodziny oraz ogłoszenie przez Organizację Narodów Zjednoczonych roku 1994 Międzynarodowym Rokiem Rodziny, to zjawiska wpływające na dojrzewanie myśli i rozpoczęcie pracy Katolickiego Ośrodka Adopcyjno-Opiekuńczego na Grochowie.

Płodna miłość małżeńska wyraża się w różnych formach służenia życiu. Wśród nich najbardziej bezpośrednie, właściwe małżeństwu i zarazem takie, w których nic małżeństwa nie może zastąpić, to rodzenie i wychowywanie. W istocie każdy akt prawdziwej miłości wobec człowieka potwierdza

i doskonali duchową płodność rodziny, będąc aktem posłuszeństwa wobec głębokiego, wewnętrznego dynamizmu miłości rozumianej jako oddawanie siebie innym.

Z tej perspektywy, bogatej w wartości i zadania dla wszystkich, niech czerpią zachętę ci zwłaszcza małżonkowie, którzy doświadczają bezpłodności fizycznej.

Rodziny chrześcijańskie, które przez wiarę widzą we wszystkich ludziach dzieci wspólnego Ojca Niebieskiego, będą wielkodusznie wychodzić naprzeciw dzieciom innych rodzin, pomagając im i kochając je nie jako obcych, ale jako członków jednej rodziny dzieci Bożych.

W ten sposób rodzice chrześcijańscy będą mogli rozszerzyć zasięg swojej miłości poza więź ciała i krwi, uznając związki wywodzące się z ducha, które rozwiną się w konkretną służbę dzieciom innych rodzin, często potrzebujących i pozbawionych środków do życia.

Rodziny chrześcijańskie winna ożywiać większa gotowość do adopcji i przysposobienia dzieci pozbawionych rodziców czy też opuszczonych: podczas gdy te dzieci, odnajdując na nowo ciepło uczuć rodzinnych, zaznają pełnego miłości, opatrznościowego ojcostwa Boga, świadczonego przez rodziców chrześcijańskich, wzrastając w atmosferze pogody i ufności, cała rodzina zostanie ubogacona wartościami duchowymi poszerzonego braterstwa. (Familiaris consortio, 41)

Była też niecodzienna okazja, aby Jan Paweł II pobłogosławił to nowe dzieło, jakim był Katolicki Ośrodek Adopcyjno-Opiekuńczy: Krajowa Jubileuszowa Pielgrzymka Duszpasterstwa Rodzin do Rzymu w Roku Rodziny. O tym wydarzeniu p. Maria Bujnik pisze: *Miałam szczęście uczestniczyć w audiencji w Sali Klementyńskiej i osobiście poprosić Ojca Świętego o błogosławieństwo dla nowo powstającej placówki w Diecezji Warszawsko-Praskiej. Ojciec Święty z zainteresowaniem wysłuchał prośby i z radością udzielił pasterskiego błogosławieństwa.* (Biuletyn Jubileuszowy KOA-O, 2004, s. 7)

Drugi raz mieliśmy okazję spotkać się z Janem Pawłem II w czasie pielgrzymki do Polski 13 czerwca 1999 roku pod katedrą warszawsko-praską pw. św. Michała Archanioła i św. Floriana. Pani Maria Bramska, p. Ewa Morstin i ja wręczyłyśmy Papieżowi album, w którym do zdjęć dołączone zostały również osobiste listy naszych rodziców adopcyjnych do Ojca Świętego. W odpowiedzi otrzymałyśmy podziękowanie z Watykanu, podpisane przez Arcybiskupa Giovannio B. Re. Podziękowanie to, wraz ze zdjęciem z momentu wręczenia albumu, umieszczone zostało w przedpokoju Ośrodka i niezmiennie jest powodem naszej radości i dumy.

Mogę śmiało powiedzieć, że kolejny dokument skierowany przez Jego Świątobliwość *do biskupów, do kapłanów*

i diakonów, do zakonników i zakonnic, do katolików świeckich oraz do wszystkich ludzi dobrej woli o wartości i nienaruszalności życia ludzkiego, tj. encyklika Evangelium vitae, stanowi fundament, na którym rośnie i rozwija się Ośrodek. Na końcu encykliki znajduje się modlitwa do Maryi, którą codziennie odmawiają pracownicy i członkowie Komisji Kwalifikacyjnej, a która niejako użyźnia serca i intelekt, buduje właściwe postawy wobec dzieci porzuconych, otwiera na potrzeby matek i ojców przekazujących dzieci do adopcji oraz małżonków starających się o przysposobienie. Każdy pracownik Ośrodka otrzymał encyklikę Evangelium vitae z intencją, by ta lektura przekładała się na życie.

A codzienność stawia pytania:

- Dlaczego dzieci rodzą się osobom nieodpowiedzialnym, uzależnionym, chorym, a nie dojrzałym, otwartym na rodzicielstwo małżonkom?
- Dlaczego przeżywa słabo rokujący wcześniak, a dziecko donoszone, otoczone troską -nie?
- Czy dobrze poznałyśmy motywację do rodzicielstwa małżonków oraz ich potencjał?
- Czy bolesna historia starania się o biologiczne rodzicielstwo pozwoli małżonkom otworzyć się na dziecko i zaakceptować go takim, jakie jest, w odróżnieniu od postawy traktowania go jako osoby drugiej kategorii?
- Czy dobrze rozpoznałyśmy indywidualne potrzeby dziecka, dla którego szukamy rodziców?
- Czy deklaracje miłości składane przez małżonków oczekujących na adopcje będą aktualne, gdy proces wchodzenia dziecka do rodziny i jego wychowanie okażą się dużym trudem i wyzwaniem?
- Czy małżonkowie przekażą dziecku pewność, że ich miłość i dom to miejsce bezpieczne, stała, niezmienna baza?
- Czy dzieci adopcyjne wchodząc w dorosłość, wybiorą właściwą drogę?
- Czy potrafiłyśmy okazać rodzicom biologicznym szacunek, w odróżnieniu od osądzania i poniżania?
- Na ile pomogłyśmy rodzinie naturalnej dziecka?
- Czy pomogłyśmy rodzicom biologicznym na nowo odnaleźć się w życiu oraz spotkać miłosiernego, troskliwego Boga?

Tak więc mężczyzna i kobieta zjednoczeni w małżeństwie zostają włączeni w Boże dzieło – poprzez akt zrodzenia dar Boży zostaje przyjęty i nowe życie otwiera się na przyszłość.

Niezależnie jednak od specyficznej misji rodziców, zadanie opieki nad życiem i służenia mu spoczywa na wszystkich, zwłaszcza w sytuacjach, gdy życie jest szczególnie słabe i bezbronne. Przypomina nam o tym sam Chrystus, żądając, byśmy Go kochali w braciach dotkniętych przez wszelkiego rodzaju cierpienie: w głodnych, spragnionych, i cudzoziemcach, w nagich, chorych, uwięzionych... To, co czynimy jednemu z nich, czynimy samemu Chrystusowi. (Ewangelium vitae, 43)

Kiedy umierał Jan Paweł II, cierpieliśmy i modliliśmy się wszyscy. Kończyła się era „polskiego papieża", a dla nas – w odróżnieniu od innych nacji – „naszego papieża". Ale jak mówią słowa liturgii pogrzebowej: *życie Twoich wiernych zmienia się, ale się nie kończy.* Jan Paweł II jest teraz z nami „inaczej". Kiedy dwie pracownice Ośrodka, Monika Redziak i Anna Lipska, jechały na Jego pogrzeb do Rzymu, prosiłyśmy, aby modliły się za trójkę naszych dzieci. Nie wiedziałyśmy, że lud rzymski przygotował transparenty z napisem *Santo Subito*. Ten zmysł Kościoła już wtedy był obecny namacalnie. Powierzając Zmarłemu Papieżowi w modlitwie sprawy dzieci, których zawiłej sytuacji prawnej nie mogłyśmy rozwiązać, spodziewałyśmy się, że stanie się cud za Jego przyczyną. Odszedł do Domu Ojca, więc teraz może więcej. Rzymianie uważali tak samo. I chyba nie muszę już pisać, że wszystkie te dzieci bardzo szybko znalazły się w rodzinach i dziś, już jako osoby kilkunastoletnie, mają się dobrze.

Za przyczyną Jana Pawła II – najpierw błogosławionego, a teraz świętego – wielokrotnie modlimy się w różnych intencjach. Traktujemy Go jako „ostatnią deskę ratunku". Doświadczamy tego, że jest, że czuwa i działa. Dziękowałam Mu za to w czasie uroczystości kanonizacyjnej.

W sekretariacie Ośrodka od samego początku jego funkcjonowania wisi duże zdjęcie Papieża Jana Pawła II. Patrzymy na Niego codziennie. Pragniemy, aby razem ze Świętymi Archaniołami: Michałem, Rafałem i Gabrielem był jeszcze jednym naszym patronem.

Święty Janie Pawle II, Patronie Rodzin, módl się za nami!

„O Maryjo,
Jutrzenko nowego świata,
Matko żyjących,
Tobie zawierzamy *sprawę życia*:
Spójrz, o Matko, na niezliczone rzesze
dzieci, którym nie pozwala się przyjść na świat,
ubogich, którzy zmagają się z trudnościami życia,
mężczyzn i kobiet – ofiary nieludzkiej przemocy,
starców i chorych zabitych przez obojętność
albo fałszywą litość.
Spraw, aby wszyscy wierzący w Twojego Syna
Potrafili otwarcie i z miłością *głosić*
ludziom naszej epoki
Ewangelię życia.
Wyjednaj im łaskę *przyjęcia jej*
jako zawsze nowego daru,
radość *wysławiania jej* z wdzięcznością
w całym życiu
oraz odwagę czynnego i wytrwałego
świadczenia o niej,
aby mogli budować,
wraz z wszystkimi ludźmi dobrej woli,
cywilizację prawdy i miłości
na cześć i chwałę Boga Stwórcy,
który miłuje życie."
Jan Paweł II, *Evangelium vitae*, 105

Umiem się cieszyć...

Szczęść Boże! Mam na imię Marta, jestem rówieśnicą Katolickiego Ośrodka Adopcyjnego. W mojej rodzinie znalazłam się, mając 10 lat, co było dla mnie dużym przeżyciem. Przedtem przebywałam w kilku domach dziecka. Ostatni z nich prowadzony był przez siostry zakonne. Nie mogę powiedzieć, że akceptowałam w pełni to środowisko, jednak czułam się tam dobrze, zżyłam się nawet z kilkoma dziewczynami.

W przeciwieństwie do większości z nich, nie chciałam mieć nowej rodziny, gdyż pamiętałam moich biologicznych rodziców. Będąc w jednym z pierwszych domów dziecka, zawsze z niecierpliwością wyczekiwałam spotkania z mamą, jednak czas wizyty szybko mijał i musiałyśmy się żegnać. Zwykle wtedy pojawiał się rozdzierający ból, a oczy były pełne łez. Jednak wciąż miałam nadzieję, że powrócę do rodzinnego domu. Lecz tak się niestety nie stało, bo trafiłam do kolejnego domu dziecka, a mama przestała mnie odwiedzać. Był to niewątpliwie ciężki okres mojego dzieciństwa, a wspominając to, jeszcze wciąż nosze w sobie głęboki uraz.

W 2015 roku minie 10 lat, odkąd mam drugich rodziców. Dziś jestem pełna podziwu i wdzięczności dla nich, że przyjęli mnie do siebie. Szczególny jest dla nas dzień śmierci Świętego Jana Pawła II, bo – jak to mówią rodzice – narodziłam się wtedy w ich rodzinie. Ta data ma wiec symboliczne znaczenie, a Jan Paweł II jest mi szczególnie bliski. Przede wszystkim dlatego, że został ogłoszony papieżem rodziny. Mam więc świętego, który nade mną czuwa.

Teraz, pomno tak ciężkich doświadczeń, umiem cieszyć się tym, co mam, dostrzegać dobro i ludzi, których Pan Bóg stawia na mojej drodze.

Pozdrawiam,
Marta

Monika Redziak
Zastępca Dyrektora Katolickiego Ośrodka Adopcyjnego

DWADZIEŚCIA LAT MINĘŁO JAK JEDEN DZIEŃ...

Przypadło mi w udziale niełatwe zadanie opisania dwudziestu lat działania Katolickiego Ośrodka Adopcyjnego (do 2012 roku działającego jako Katolicki Ośrodek Adopcyjno-Opiekuńczy). Do zespołu pracowników ośrodka dołączyłam na początku 2002 roku, w ósmym roku jego istnienia.

Ośrodek to przede wszystkim **dzieci i ich rodzice**: ci nowi – przyjmujący je do swego serca i domu poprzez adopcję – oraz biologiczni. To dla nich z biegiem lat powstawała coraz większa struktura obejmująca dziś szesnaście osób, ponieważ ośrodek to również **pracownicy**, wykonujący swoje zadania profesjonalnie, z zaangażowaniem wypływającym z poczucia misji. Zaś u początków wszystkiego byli ludzie, o których pisała p. Zofia Dłutek, a wśród nich Ksiądz Biskup Kazimierz Romaniuk, następnie wszyscy kolejni Księża Biskupi – kontynuatorzy. Tak więc nie byłoby ośrodka, gdyby nie Biskupi Diecezji Warszawsko-Praskiej – **organu założycielskiego i prowadzącego.**

Ośrodek istnieje w złożonym układzie relacji, jakim jest sieć jednostek systemu wspierania rodziny, pomocy społecznej, służby zdrowia, sądownictwa i oświaty.

Każde dziecko jest cudem. Fizycznie w siedzibie Ośrodka maluchów nie ma, jednak to one są w centrum naszych działań. Zawsze tak było, jest i – ufam – nadal tak będzie, bez względu na upływ czasu. Zostało to jasno określone w Dekrecie powołującym placówkę, gdzie czytamy: *Zadaniem Ośrodka będzie ratowanie poczętego dziecka przed odrzuceniem go przez naturalną matkę oraz przed umieszczeniem w państwowych placówkach opiekuńczych. Ośrodek będzie służył pomocą w zakresie spraw związanych z przysposobieniem dzieci, do umieszczania ich w rodzinach zastępczych i rodzinnych domach dziecka.* Jest to również zgodne z ideą adopcji jako takiej, bowiem główną przesłanką przysposobienia według kodeksu rodzinnego i opiekuńczego może być tylko dobro dziecka.

Ośrodek pracuje na rzecz dzieci pozbawionych rodziny lub pochodzących z rodzin dysfunkcyjnych. Dzieci te w mniejszym lub większym stopniu dotknięte są chorobą sierocą. Aby zminimalizować wpływ osamotnienia na ich rozwój, robimy wszystko, by jak najszybciej znalazły one rodziny. Co więcej, naszym celem i podstawową troską jest również to, by rodziny te były jak najlepsze. W ciągu dwudziestu lat pracy dzięki naszym działaniom 1291 dzieci znalazło swój dom u małżonków w Polsce oraz 1483 dzieci – za granicą. Dodać należy, że do końca 2011 roku ośrodek powierzał dzieci nie tylko rodzinom adopcyjnym, ale i zastępczym. Tę praktykę zmieniła Ustawa o wspieraniu rodziny i systemie pieczy zastępczej, na mocy której ośrodki adopcyjne zajmują się tylko przysposobieniem.

Rodzice naturalni naszych dzieci to osoby, które nie mogą, nie potrafią lub nie chcą ich wychowywać. To określenie jest bardzo szerokie. Dotyczy między innymi matek osamotnionych (brak ojców dzieci i innych bliskich), pozbawionych środków materialnych koniecznych do życia. W takiej sytuacji przekazanie dziecka do adopcji wynika z troski i odpowiedzialnej miłości rodzicielskiej, a sama decyzja okupiona jest olbrzymim bólem rozłąki. Wówczas rolą pracowników ośrodka jest wspieranie matki w przeżywaniu tej straty.

Wszędzie tam, gdzie spotykamy się z jakimiś dysfunkcjami w rodzinie biologicznej, (np. uzależnieniem, porzuceniem, krzywdzeniem), zazwyczaj jest również niedojrzałość do wzięcia odpowiedzialności za własne dziecko. Bywa również i tak, że dziecko wychowuje się w placówce ze względu na chorobę psychiczną bądź upośledzenie umysłowe rodzica, który nierzadko chce,

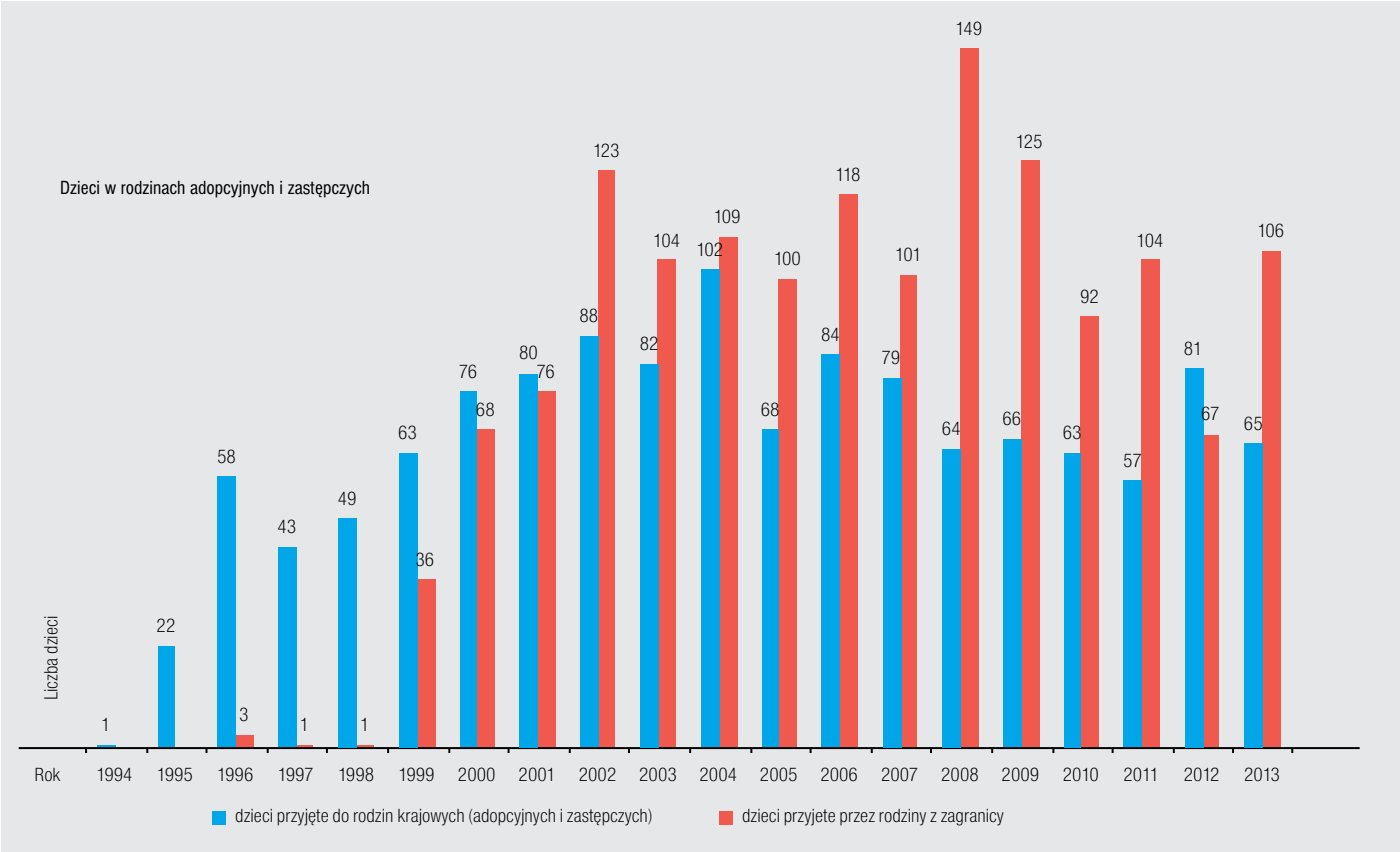

ale nie potrafi stworzyć mu właściwych warunków do życia i rozwoju.

Niezmiernie ważne jest wspieranie przez ośrodek matek i rodzin naturalnych poprzez udzielanie im różnorodnej pomocy oraz wspieranie w klimacie poszanowania ich godności i podmiotowości. Taki paradygmat był obecny w funkcjonowaniu placówki już od początku jej istnienia. Natomiast w aktach prawnych waga pracy na rzecz rodziny biologicznej została zaakcentowana dopiero w Ustawie o wspieraniu rodziny i systemie pieczy zastępczej. Efektem tych trwających już dwadzieścia lat działań Katolickiego Ośrodka Adopcyjnego jest fakt, że 13% matek w okresie sześciu tygodni po urodzeniu dziecka zmieniło zamiar przekazania go do adopcji i zdecydowało się na osobistą opiekę i wychowanie.

Każde dziecko ma prawo do rodziny, a jeśli jest jej na trwałe pozbawione, należy powierzyć go **rodzinie adopcyjnej** w Polsce albo – jeśli nie ma takiej rodziny w kraju – za granicę. Uznanie tego pierwszorzędnego znaczenia rodziny dla prawidłowego rozwoju dziecka dziś wydaje się czymś oczywistym. Najważniejsza dla człowieka potrzeba bliskości, dzięki indywidualnemu kontaktowi i stałej dostępności rodzica, najlepiej zaspokajana jest właśnie w rodzinie.

Jakich rodziców potrzebują nasze dzieci? Po pierwsze akceptujących siebie i swoją drogę życia, w którą wpisana jest trudna historia starań o dziecko drogą naturalną. Po drugie, rodziców dbających o swój związek małżeński jako fundament rodziny. Ponadto takich, którzy mają wiarę w to, że nie musi istnieć więź biologiczna, by zaistniała i pogłębiała się więź emocjonalna, rodziców, którzy rozpoznają w sobie gotowość do wewnętrznego uznania niespokrewnionego z nimi dziecka za własne. Należy dodać, że dzieci czekające na adopcję pochodzą z rodzin, w których występują jakieś problemy. Jest to dość powszechne. Myśląc więc o adopcji, małżonkowie muszą ten fakt „oswoić" oraz przyjąć i zaakceptować dziecko takie, jakie jest – z całym bagażem jego przeszłości. Chroni to przed stawianiem mu zbyt wygórowanych oczekiwań.

Celem pracy każdego ośrodka adopcyjnego, w tym również naszego, obok diagnozy i kwalifikacji małżonków, jest również dobre przygotowanie ich do pełnienia roli rodziców adopcyjnych. Służy temu szkolenie prowadzone według autorskiego programu „Służyć Najmniejszym". Powstawał on stopniowo, na podstawie doświadczeń zbieranych od 1994 roku. Po raz pierwszy został zatwierdzony przez Ministerstwo Pracy i Polityki Społecznej w 2002 roku i stanowił podstawę do szkolenia

kandydatów na rodziny zastępcze i adopcyjne. Wówczas nie było prawnego wymogu szkolenia do przysposobienia, ale praktyka wskazywała, że istniej taka potrzeba. Ważne było stworzenie małżonkom przestrzeni do oswajania lęków dotyczących możliwości nawiązywana więzi z dzieckiem, jego obciążeń z rodziny pochodzenia czy jawności faktu adopcji, a także zdobywania wiedzy na temat choroby sierocej oraz kształtowania kompetencji wychowawczych. Celem zaś było budowanie umiejętności rozumienia świata dziecka dotkniętego sieroctwem.

Przygotowując kandydatów na rodziców adopcyjnych, posługujemy się nadal programem „Służyć Najmniejszym" zatwierdzonym ponownie przez Ministerstwo Pracy i Polityki Społecznej w 2012 roku. W odpowiedzi na wprowadzony do przepisów prawa wymóg szkolenia przygotowującego do przysposobienia program autorski został uaktualniony i przybrał następujący kształt (tabela poniżej).

Szkolenie dostarcza małżonkom nie tylko wiedzy, ale daje możliwość określenia własnych mocnych i słabych stron. Często pod jego wpływem zmieniają się w nich motywacja, cele i postawy. Dokonują oni ponownej weryfikacji decyzji o podjęciu roli rodzica adopcyjnego.

Powierzając dzieci do rodzina adopcyjnych, ośrodek nie tylko zapewnia odpowiednie warunki życia osieroconym dzieciom, ale także pomaga zrealizować pragnienie macierzyństwa i ojcostwa małżonkom pozbawionym takiej możliwości w sposób naturalny. Adopcyjna droga do rodzicielstwa wymaga od nich podjęcia bardziej świadomej i dojrzałej decyzji o przysposobieniu. Jej wartością jest otwartość na przyjęcie dziecka, które potrzebuje miłości oraz wysiłek włożony w przygotowanie do tego wydarzenia. Dzięki dwudziestoletniej pracy Katolickiego Ośrodka Adopcyjnego dzieci pozbawione rodziny znalazły swój dom u 1215 małżeństw z Polski oraz u 940 – z zagranicy.

Co się dzieje, gdy rodzina już jest? W ośrodku zawsze ważne było, i nadal jest, wspieranie rodzicielstwa adopcyjnego i zastępczego. Służy temu poradnictwo psychologiczne, doskonalenie kompetencji wychowawczych, spotkania Środowiska Rodzin Adopcyjnych i grup wsparcia.

Od 1997 roku, do chwili obecnej działa Środowisko Rodzin Adopcyjnych spotykające się regularnie raz w miesiącu. Pozwala to rodzinom na wymianę doświadczeń, stwarza okazję do uzyskania pomocy

Tematyka	Adoptujący			Liczba godzin
	niemowlę	dziecko powyżej 1 r.ż. lub rodzeństwo	drugie dziecko	
1. Spotkanie integracyjne – wzmacnianie prawidłowej motywacji kandydatów	+	+		3
2. Spotkanie w „Kręgu"	+	+	+	3
3. Od bezdzietności do rodzicielstwa	+	+		3
4. Rodzina – rola więzi emocjonalnych	+	+		4
5. Budowanie poczucia własnej wartości u dziecka	+	+		3
6. Warsztaty umiejętności wychowawczych – wyrabianie i doskonalenie umiejętności radzenia sobie w sytuacjach stwarzających trudności wychowawcze	+	+	+	4
7. Rodzeństwo bez rywalizacji		-/+	+	4
8. Sytuacja dziecka osieroconego – sposoby kompensacji opóźnień rozwojowych		+		3
9. Jawność adopcji	+	+		3
10. Problemy emocjonalne i zaburzenia zachowania u dziecka – wspomaganie jego rozwoju		+		3
11. Kształtowanie postaw religijnych – wychowanie w rodzinie chrześcijańskiej	+	+		3
12. Zaburzenia integracji sensorycznej (SI) i alkoholowy zespół płodowym (FAS), jako najczęściej występujące problemy dzieci adoptowanych	+	+		3
13. Zdrowie dziecka – profilaktyka, rozpoznawanie chorób i ich leczenie	+	+		3
14. Pielęgnacja i rozwój psychomotoryczny niemowląt oraz metody stymulowania tego rozwoju	+			4
15. Zagadnienia prawne związane z przysposobieniem	+	+		3
16. Dziecko niepełnosprawne w rodzinie – dodatkowy trud czy i radość rodzicielska	-/+	-/+	-/+	3
Suma godzin:	**39/42**	**41/47**	**11/14**	**49**

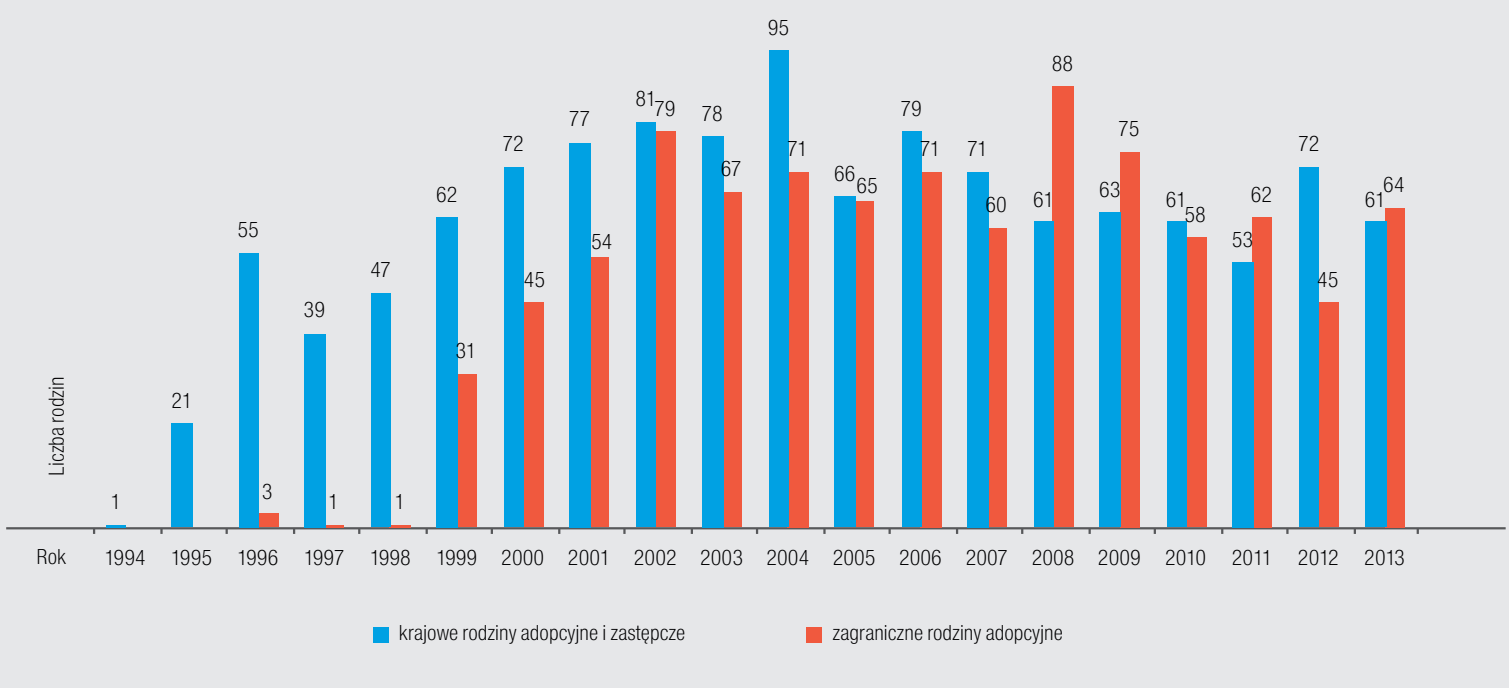

w rozwiązywaniu trudności oraz do poszerzania wiedzy i kompetencji. Cenne jest również uzyskanie poczucia zrozumienia przez osoby posiadające podobny zakres doświadczeń. Szczególną formą pracy na rzecz rodzin było prowadzenie grup wsparcia. Od listopada 2003 roku do czerwca 2006, również raz w miesiącu, w ośrodku spotykała się Grupa Wsparcia dla Rodzin Zastępczych. Aktualnie zaś, od czerwca 2011 roku, odbywają się spotkania Grupy Wsparcia dla Rodziców wychowujących „FAScynujące dzieci".

Pomocne było również stworzenie rodzicom możliwości udziału w specjalistycznych szkoleniach: „Szkole dla Rodziców" (już po procesie adopcji) oraz „Dobrze, że jesteś" (skierowanych do rodzin zastępczych zawodowych). Obecnie ośrodek zmierza do poszerzania form działania. Przychodzą do nas pierwsze, dorosłe już, dzieci adoptowane. Stajemy przed kolejnym zadaniem, jakim jest pomoc w dotarciu do wiedzy o swoim pochodzeniu i budowaniu własnej tożsamości.

Pracą zespołu pracowników Katolickiego Ośrodka Adopcyjnego kieruje dyrektor powoływany przez Biskupa Ordynariusza. Jako pierwsza obowiązki te pełniła p. Maria Bramska (lekarz pediatra). Od 1 kwietnia 1997 roku, do chwili obecnej, pracą ośrodka kieruje p. Zofia Dłutek (psycholog). W podejmowaniu decyzji dotyczących dzieci i rodziców uczestniczy szczególny organ: Komisja Kwalifikacyjna. Na przestrzeni dwudziestu lat tworzyło ją wiele osób. Aktualnie w jej skład, poza pracownikami Ośrodka, wchodzą: p. Anna Brodzikowska-Pytel – lekarz Centrum Zdrowia Dziecka, p. Dorota Polańska – psycholog, dyrektor IOP, p. Małgorzata Walaszczyk – pedagog, Diecezjalny Doradca Życia Rodzinnego w Diecezji Warszawsko-Praskiej, p. Maria Bujnik – prawnik, emerytowany pracownik Duszpasterstwa Rodzin, p. Mirka Romanowska – psycholog kliniczny, pracownik IOP, oraz p. Teresa Jakubowska – psycholog kliniczny, emerytowany pracownik Instytutu Neurologii i Psychiatrii. Wszystkie te osoby uczestniczą w licznych posiedzeniach Komisji z potrzeby serca, gdyż tę funkcję pełnią społecznie.

Od wielu lat szczególnym partnerem w pracy jest dla ośrodka **Fundacja Rodzin Adopcyjnych**, która wyłoniła się ze Środowiska Rodzin Adopcyjnych. Dzięki jej staraniom istnieje **Interwencyjny Ośrodek Preadopcyjny** w Otwocku – podmiot bliski nam w codziennej pracy. Przebywające tam dzieci otrzymują najlepszą z możliwych opiekę i diagnozę, a z rodzicami naturalnymi ośrodek nawiązuje kontakt w okresie podejmowania przez nich wiążących decyzji, co do losu potomstwa.

Nie mogę pominąć refleksji dotyczących organizacji **systemu opieki nad dzieckiem i rodziną**, gdyż ośrodek jest jednym z jego elementów. Na przestrzeni ostatnich dwudziestu lat nastąpiły dwie radykalne zmiany tego systemu, w tym też dotyczące adopcji w Polsce.

Ośrodek rozpoczynał swoją działalność 1 października 1994 roku, będąc częścią resoru oświaty. Podstawą był wpis do ewidencji szkół i placówek niepublicznych stołecznego województwa warszawskiego. Ośrodek otrzymał wówczas zgodę na przeprowadzanie adopcji zagranicznych na podstawie Rozporządzenia Ministra Pracy i Polityki Społecznej z dnia 8 grudnia 1998 roku.

Rok 1999, to początek reformy, której efektem było przejęcie zadań związanych z opieką nad dzieckiem i rodziną przez resort pracy i polityki społecznej, a realizacja tych zadań została powierzona nowym strukturom samorządowym – powiatom. Zasady i formy pieczy zastępczej nad dzieckiem zostały sformułowane w znowelizowanej dnia 18 lutego 2000 roku Ustawie o pomocy społecznej. Wówczas to Katolicki Ośrodek Adopcyjny, decyzją Wojewody Mazowieckiego, został wpisany do Rejestru ośrodków adopcyjno-opiekuńczych i podjął współpracę z Biurem Polityki Społecznej m.st. Warszawy. Tym samym stał się częścią systemu pomocy społecznej.

Kolejny przełom to 2012 rok, od którego zaczęła obowiązywać Ustawa o wspieraniu rodziny i systemie pieczy zastępczej. Obecnie ośrodki adopcyjne, w tym KOA, wchodzą w skład jednostek wspierania rodziny i systemu pieczy zastępczej funkcjonujących obok instytucji pomocy społecznej. Samorząd województwa, a nie powiatu, jest odpowiedzialny za realizowanie zadań z zakresu adopcji. Formalną podstawą funkcjonowania jest umieszczenie placówki w Biuletynie Informacji Publicznej w wykazie ośrodków, które na terenie województwa prowadzą postępowania adopcyjne, opublikowanym przez Marszałka Województwa Mazowieckiego. Ponadto, na postawie umieszczenia w Obwieszczeniu Ministra Pracy i Polityki Społecznej z dnia 30 stycznia 2012 roku, nadal posiada uprawnienia do prowadzenia procedur przysposobienia związanych ze zmianą miejsca zamieszkania dziecka poza Rzeczpospolitą Polską.

Jesteśmy wdzięczni i dziękujemy Organowi Prowadzącemu za to, że nieustannie jest dla nas oparciem, pracownikom – za ofiarną pracę, zaś wszystkim podmiotom systemu działającego na rzecz dzieci – za dobrą wolę i współpracę w działaniu na ich rzecz.

Dziękujemy kandydatom na rodziców – że zaufali nam, wybierając nas jako pomoc na drodze do odkrywania swojego adopcyjnego rodzicielstwa, a rodzicom biologicznym – za otwieranie się przed nami i odkrywanie bolesnych stron z księgi swojego życia.

Otoczmy troską życie człowieka

Niestety, nikt nie może zagwarantować, że każde z oczekujących małżeństw będzie miało szczęście rodzić dzieci. Rozumiemy targające wami myśli i emocje. W imię odpowiedzialności za prawdę musimy jednak powiedzieć, że w żadnym wypadku nie jest moralnie dozwolone uciekać się do zapłodnienia „in vitro". Bóg i tylko Bóg jest Panem życia. Dzieci są Jego darem, a nie jednym z dóbr konsumpcyjnych. Nie istnieje «prawo do dziecka».

Nieprzeniknione są [Boże] drogi, ale zawsze pełne miłości. W wielu wypadkach bezdzietność pozostaje tajemnicą, którą być może zrozumiemy dopiero po drugiej stronie życia. Zawsze jednak warto rozeznać, czy Bóg nie powołuje nas w ten sposób do szczególnej odpowiedzialności za dzieci już urodzone, które z różnych powodów nie mogą wychowywać się w swoich rodzinach naturalnych. Czy nie wzywa do szczytnej odpowiedzialności poprzez adopcję, rodzicielstwo zastępcze czy też prowadzenie z całym oddaniem rodzinnego domu dziecka. Nie bójmy się adoptować dzieci. Nie bójmy się rodzicielstwa zastępczego.

Pozwólcie dzieciom poznać ciepło rodzinnego domu. Wprawdzie ktoś inny urodził ich ciało, ale wy możecie „rodzić ich serce" i walczyć o kształt ich człowieczeństwa. Tutaj w szczególny sposób brzmią Chrystusowe słowa: «A kto by jedno takie dziecko przyjął w imię moje, Mnie przyjmuje». Całym sercem błogosławimy Wam Rodzice, którzy w taki sposób służycie dzieciom.

Podpisali: Kardynałowie, Arcybiskupi i Biskupi obecni na 346. Zebraniu Plenarnym
Konferencji Episkopatu Polski
Jasna Góra, 27 listopada 2008 Roku Pańskiego
/Konferencja Episkopatu Polski
List na Niedzielę Świętej Rodziny 28 grudnia 2008/

Małgorzata Mendez Varela
Specjalista ds. adopcji zagranicznych Katolickiego Ośrodka Adopcyjnego

RODZINY Z DALEKA

W Polsce dla każdego pozbawionego opieki rodzicielskiej dziecka, którego sytuacja prawna jest uregulowana, poszukujemy rodziny na terenie naszego kraju. Gdy w ściśle określonym ustawowo terminie (obecnie jest to 45 dni), taka rodzina się nie znajdzie, dopiero wówczas dziecko otrzymuje kwalifikację do adopcji zagranicznej. Karta Informacyjna Dziecka jest przekazywana do licencjonowanych organizacji adopcyjnych do krajów, z którymi współpracujemy. Obecnie są to: Włochy, USA, Szwecja, Holandia, Belgia, Hiszpania, Niemcy i Francja. Najwięcej dzieci znajduje swój nowy dom we Włoszech.

Do adopcji zagranicznej trafiają dzieci w różnym wieku: od rocznych maluchów do nastolatków. Małe dzieci mają zwykle poważne problemy zdrowotne wymagające specjalistycznego leczenia i szczególnej opieki. Starsze często, oprócz problemów ze zdrowiem, dodatkowo obciążone są niełatwą historią swego życia, a także świadome trudnej sytuacji, w której się znajdują. Często boją się adopcji, nie są w stanie podjąć decyzji o swoim dalszym życiu. Zdarza się, że pomimo chęci posiadania rodziców, nie są w stanie nawiązać więzi i odrzucają rodzinę, która przyjeżdża i chce je przysposobić.

Rodzeństwa trzy- cztero- pięcio- i sześcioosobowe, to kolejna grupa dzieci, które najczęściej nie znajdują rodzin w Polsce. Oczywiście trudno jest adoptować jednocześnie tak liczne rodzeństwo. Każde z dzieci ma nie tylko swoje specyficzne problemy, ale też ogromną potrzebę bycia zaopiekowanym indywidualnie, ze szczególnym uwzględnieniem swoich potrzeb. Jedynym często rozwiązaniem jest rozdzielenie rodzeństwa i poszukiwanie kilku rodzin gotowych do utrzymywania ze sobą kontaktów, tak, aby dzieci mogły się spotykać, mówić tym samym językiem, dora-

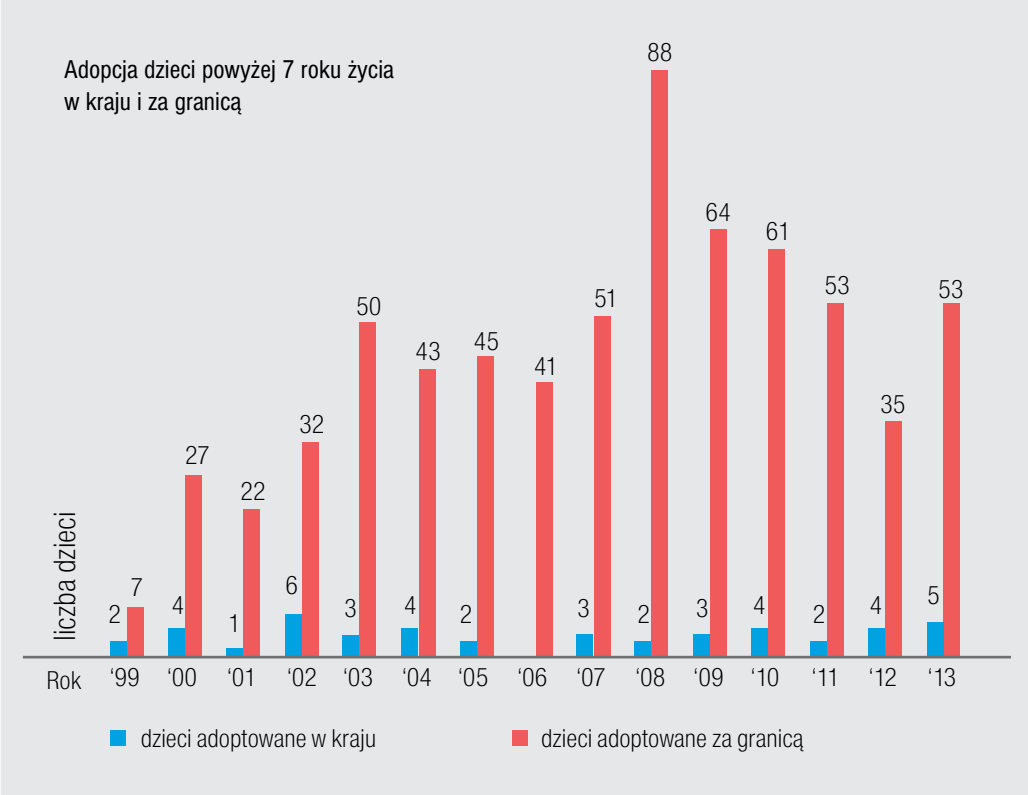

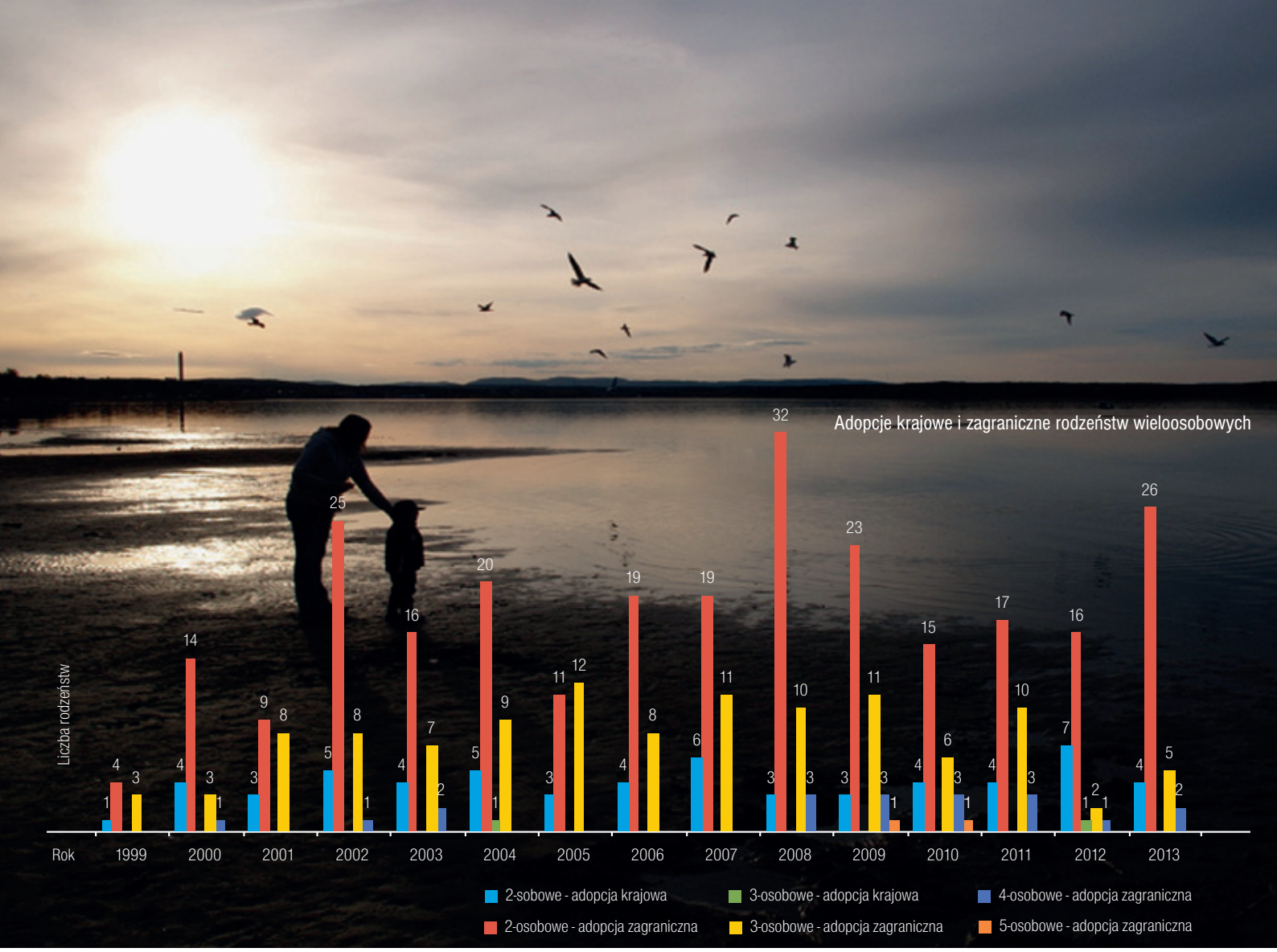

stać w tej samej kulturze i być dla siebie wsparciem. Najwięcej praktycznych doświadczeń w tym zakresie mają organizacje włoskie. Rodziny włoskie są otwarte na taką możliwość, nie boją się tego typu wyzwań i podejmują je z pełnym sukcesem.

Adopcja zagraniczna jest ogromnym wyzwaniem dla dzieci, które opuszczają nasz kraj i jadą w nieznane, gdzie wszystko jest obce: zapachy, jedzenie, klimat, kultura oraz nowi rodzice, do których już najczęściej mówią „mamo" i „tato", ale prawdziwą wagę tych słów poczują dopiero w przyszłości. Jest to trudne także dla małżonków, którzy zwykle w ciągu dwóch tygodni okresu osobistej styczności w Polsce zostają rodzicami dopiero co poznanego dziecka czy dzieci. Bardzo się starają i chcą jak najszybciej odnaleźć się w nowej roli, ale zwyczajnie nie znają jeszcze dobrze „swojego" dziecka. Minie trochę czasu, zanim je poczują, odkryją i „oswoją".

Bardzo ważnym elementem, od którego zależy sukces adopcji zagranicznej, jest przygotowanie zarówno dziecka, jak i przyszłych rodziców, do tego procesu. Wszystkie osoby towarzyszące tej procedurze mogą pomóc lub wręcz uniemożliwić przysposobienie. Szczególnie trudnym momentem jest opuszczenie przez dziecko dotychczasowego miejsca pobytu: domu dziecka czy rodziny zastępczej. Zdarza się, że opiekunowie „przywiązują" do siebie dzieci będące pod ich opieką, nie pozwalając im odejść. Tu pokłon i uznanie dla wszystkich tych, którzy pomimo bólu rozstania z dzieckiem patrzą dalej, widząc przede wszystkim jego dobro i przyszłe życie.

Ważnym zadaniem organizacji adopcyjnych w poszczególnych krajach jest takie przygotowanie kandydatów na rodziców, aby nie zaskoczyły ich przeróżne, często nieoczekiwane scenariusze wydarzeń w naszym kraju. Najczęściej takie sytuacje dotyczą komplikacji w procesie nawiązywania więzi, kiedy dziecko boi się wejść w bliską relację, testuje potencjalnych rodziców – granice ich wytrzymałości i akceptacji, nie chce współpracować, a czasem wręcz ich odrzuca. Nowi rodzice stają wówczas wobec poważnych wyzwań wychowawczych, w dodatku bez możliwości pełnej komunikacji

z dzieckiem. Muszą wykazać się cierpliwością, pomysłowością i elastycznością. W takich chwilach nieoceniona jest pomoc przedstawiciela organizacji adopcyjnej, którego zadaniem jest otoczenie rodziny opieką w czasie jej pobytu w Polsce.

Zagraniczne organizacje adopcyjne są zobowiązane do przesyłania nam raportów post-adopcyjnych o dzieciach, które zostały adoptowane do ich krajów. Mamy więc możliwość swoistego wglądu w to nowe życie naszych dzieci i ich rodziców. Nie jest ono pozbawione trudów i kłopotów różnego rodzaju, jak to zwykle w życiu, ale jeden wniosek przebija się szczególnie: wszystkie dzieci są kochane, należą do swoich poszerzonych rodzin, utożsamiają się z nimi, na miarę swoich możliwości dobrze sobie radzą, a ich rodzice są z nich dumni.

Podziękowanie należy się wszystkim, którzy pozwolili naszym dzieciom odnaleźć swój dom i swoje miejsce w świecie, gdziekolwiek ono jest.

Agnieszka Stasiak

List do moich Dzieci

Drogie Maluszki,

Piszę do Was pomału, cierpliwie,
Piszę do Was, Aniołki, nieśmiałe,
Choć serce nerwowo figluje,
Wiem, że nie pragnę Was przez kaprys
Lecz dojrzale!

Czekam na Was, Skarby, z uśmiechem,
Z radosnymi łzami i w ufności,
Że Pan Życia namalował świat tak,
Byście wolę Jego pokochały w nas
I żyły w godności!

Tęsknię za Wami ostrożnie, lecz czule,
Kreśląc Wasz obraz w barwnych marzeniach.
Tam kroczycie z pasją…
I tam jest też miłość
W ludzkich pragnieniach!

Dziękuję Panu, że jesteście moimi dziećmi
I proszę o siłę – także dla siebie,
Gdy zaś dopadnie Was nagły smutek,
Wspomnijcie te słowa: MIEJCIE WIARĘ,
Że lepiej będzie w niebie!

Wasza na zawsze Mama

Anna Maria Waszczyńska
Prezes Stowarzyszenia „La Cicogna" – Organizacja Pożytku Publicznego

ROZDZIELANIE RODZEŃSTWA W IMIĘ DOBRA DZIECI

Katolicki Ośrodek Adopcyjny w Warszawie świętuje już dwadzieścia lat działalności.

Z ogromną radością i satysfakcją skorzystałam z możliwości zaofiarowanej mi przez Ośrodek do wyrażenia kilku przemyśleń dotyczących problematyki będącej jednym z aspektów adopcji międzynarodowej; chodzi mianowicie o delikatny temat podziału rodzeństwa.

Od czternastu lat realizujemy procedury adopcji Polskich Dzieci przez rodziny włoskie; niektóre z tych dzieci same już są rodzicami. Do dnia dzisiejszego współpracowaliśmy przy 381 procedurach, dzięki którym znalazło rodzinę 570 dzieci, a większość z nich to dzieci oddzielone od rodzeństwa. Za każdym razem gdy polski sąd orzeka przysposobienie rozdzielonego rodzeństwa, zobowiązujemy się do czuwania nad tym, aby dzieci nie straciły kontaktu między sobą. Jak dotąd, udało się nam dotrzymać obietnicy.

Nie zawsze jednak zależy to od nas. Sprawy się komplikują w kilku przypadkach:

1. gdy część rodzeństwa został przysposobiona w Polsce, a część we Włoszech. W takim przypadku nie otrzymujemy informacji niezbędnych ku temu, aby wesprzeć włoską rodzinę w nawiązaniu kontaktu z rodziną polską;
2. gdy część rodzeństwa została przysposobiona we Włoszech, a część w innym kraju. Sytuacja jest wówczas analogiczna do poprzedniego przypadku;
3. gdy część rodzeństwa została przysposobiona za pośrednictwem organizacji „La Cicogna" a część, wprawdzie we Włoszech, ale przy współpracy innej autoryzowanej organizacji. Również i w tym przypadku sprawy stoją nie najlepiej, częściowo dlatego, że w gruncie rzeczy nie istnieje możliwość prawna zobowiązania rodzin do utrzymywania takich kontaktów, a częściowo dlatego, że organizacje po prostu nie otrzymały odpowiednich informacji od organów polskich.

Tak więc, w rzeczywistości możemy zagwarantować utrzymywanie kontaktów post-adopcyjnych między rodzeństwem tylko wtedy gdy wszystkie dzieci zostały przysposobione przez naszą organizację lub przez inne dwie, z którymi zawarliśmy umowę o współpracy („La Dimora" oraz „Brutia").

Pomimo to wydaje się, że posiadamy już wystarczająco bogate doświadczenie, aby pozwolić sobie na wyciągnięcie kilku wniosków. Oto one:

- najczęściej dzieci początkowo odmawiają kontaktu z rodzeństwem. Jedyne czego pragną, to zapewnienia, że rodzeństwo również znalazło rodzinę;
- pragnienie kontaktu z rodzeństwem rodzi się w dzieciach dopiero wówczas, gdy same zaczynają się czuć pełnoprawnymi członkami nowej rodziny. Na ogół następuje to mniej więcej rok po przyjeździe do Włoch;
- czasem zdarza się, że tylko jedno z dzieci pragnie nawiązać kontakt z rodzeństwem, a inne stanowczo tego odmawiają. Powierzamy wówczas rodzinę naszemu psychologowi lub ekipie adopcyjnej, która prowadzi całą procedurę post-adopcyjną rodziny;
- rodzice włoscy na ogół bardzo chętnie inicjują kontakty, najpierw między sobą, a potem między dziećmi. Włosi kulturowo przychylni są koncep-

cji rodziny otwartej, związanej „duchowym pokrewieństwem" i nierzadko w wyniku „wspólnej" adopcji całe rodziny nawiązują silną i trwałą więź przyjacielską. Tak się dzieje również dzięki temu, że w przypadku propozycji przysposobienia rozdzielonego rodzeństwa staramy się dobrać przyszłych rodziców tak, aby posiadali oni podobny status społeczny i intelektualny.

Kontakty między rodzinami i między dziećmi odbywają się zarówno telefonicznie, jak i poprzez Skype, jak i poprzez osobiste spotkania, wspólne weekendy, a nierzadko i wspólne pobyty wakacyjne. Czasem rodziny mieszkają dość dlatego od siebie, ale w rzeczywistości nie ma to znaczenia.

Staramy się śledzić losy wszystkich naszych rodzin, przynajmniej do momentu dojścia dzieci do pełnoletniości. Jak dotąd, tylko jedna rodzina stanowczo odmówiła kontaktu z drugą. W takim razie dopiero pełnoletniość przynajmniej jednego z dzieci stwarza sytuację prawną pozwalającą obejść tę przeszkodę i doprowadzić do spotkania rodzeństwa.

Jak dotąd, nigdy jeszcze nie zdarzyło się, aby rozdział rodzeństwa stanowił przyczynę kryzysów rodzinnych; wręcz przeciwnie, już kilkakrotnie zdarzyło się, że solidarna współpraca dorosłych i dzieci pomogła w rozwiązaniu szeregu problemów. Tak się dzieje zwłaszcza w okresie dojrzewania przysposobionych dzieci.

Truizmem jest stwierdzenie, że rozdzielenie rodzeństwa powinno nastąpić dla dobra dzieci, ale należy podkreślić, że **przychodzi moment, w którym dobro dzieci staje się jednoznaczne z dobrem dorosłych** (rodziców i rodziny rozszerzonej). Szczęście całej rodziny jest sumą i syntezą indywidualnej równowagi każdego z członków rodziny, a im bardziej rozszerzona rodzina uczestniczy w harmonijnej codzienności tym lepiej dla dzieci. Oznacza to na przykład, że przyszłym rodzicom nie powinno się proponować takiego przysposobienia, które prawdopodobnie byłoby dla nich nadmiernym obciążeniem. Staramy się tego unikać, aby nie stawiać rodzin w sytuacji moralnego przymusu, który spowodowałby ich zgodę na przysposobienie przekraczające ich możliwości (psychiczne, finansowe, organizacyjne).

Nie istnieje przepis na udaną adopcję. Żadne ze stosowanych przy łączeniu rodzin kryteriów (status społeczny, wiek, majętność, cechy charakteru itp.) nie stanowi samo w sobie gwarancji na przyszłość i nie powinno być traktowane w sposób sztywny, natomiast bardzo istotnych informacji dostarcza okres pożycia poprzedzającego posiedzenie adopcyjne, pod warunkiem, że nie przedłuża się on nadmiernie gdyż w takim przypadku staje się wręcz szkodliwy.

Warto zastanowić się nad sytuacją, w której rodzeństwo, nie znajdując jednej rodziny będącej w stanie je

Jesteśmy rodziną
Nie jesteś ciałem z mego ciała
ani kością z mojej kości
ale wciąż prawdziwie moja
nie zapominam o Tobie nawet na jedną minutę.
Nie rozwijałaś się pod moim sercem
ale w nim.
Dla mnie jesteś kimś wyjątkowym.
Fakt, że to nie ja Ciebie urodziłam
nie przeszkadza mi być Twoją matką
ani Tobie moją córką.
Bo być matką znaczy więcej niż urodzić dziecko
a dorastanie jest czymś
co możemy razem doświadczać…
Tęskniłam za Tobą
i kiedy w końcu wybrano Ciebie
staliśmy się rodziną.
W Twoim zachowaniu jak w lustrze
widzę swoje odbicie
a podobieństwo tworzy się
z miłości, ciepła i bezpieczeństwa.
/Claire Short/

przysposobić, nie zostaje rozdzielone i ostatecznie zostaje definitywnie zinstytucjonalizowane w imię ochrony więzi między dziećmi. Takie rozwiązanie, choć na pierwszy rzut oka atrakcyjne, na dłuższą metę nie wydaje się dobrym wyborem. Dzieci zostają w ten sposób pozbawione podstawowego prawa do życia w rodzinie, zostają skazane na samotność i brak oparcia w okresie wchodzenia w dorosłe życie, nie mówiąc już o stronie intelektualnej i kulturalnej, która w żadnym razie może równać się ze starannym, zindywidualizowanym wychowaniem w rodzinie. Warto zadać sobie pytanie, czy więź między rodzeństwem jest priorytetową w strukturze podstawowych potrzeb emocjonalnych? Gdyby tak było, to liczne rodzeństwa przebywające w placówkach byłyby szczęśliwe i nie potrzebowałyby więzi z dorosłymi, a tak przecież nie jest. Właśnie owa więź emocjonalna z dorosłym jest elementarną potrzebą dziecka porzuconego przez rodziców biologicznych. Umieszczenie licznego rodzeństwa nawet w kilku rodzinach i zapewnienie dzieciom kontaktu w celu podtrzymania więzi miedzy nimi wydaje się optymalnym rozwiązaniem w tej sytuacji.

Trzeba również wziąć pod uwagę sytuację, kiedy dzieci bezspornie połączone są wprawdzie więzią emocjonalną, nawet silną, ale jest to już, niestety, więź patologiczna. Dzieje się tak na przykład wówczas, gdy jedno z dzieci przejęło na siebie rolę rodzicielską. Po wejściu do środowiska rodzinnego taka więź jest już na ogół nie do przekształcenia. Dziecko-rodzic konkuruje wówczas z rodzicami, obarcza siebie i innych członków rodziny ciężarem, którego żadne z nich nie jest w stanie ponieść. Prowadzi to do bardzo smutnych konsekwencji, widocznych dopiero po kilku latach.

Można więc stwierdzić, że rozdział rodzeństwa, jeżeli został dokonany w odpowiedni sposób, przy starannym doborze kandydatów na rodziców, odpowiada w pełni warunkowi działania w imię najwyższego dobra dziecka.

Korzystam z tej wyjątkowej okazji, aby podziękować Katolickiemu Ośrodkowi Adopcyjnemu za owocną współpracę i za życzliwą atmosferą, dzięki której łatwiej jest nam wykonywać naszą skomplikowaną działalność.

Grażyna Nowodworska de Laat
Przedstawiciel organizacji Stichting Kind en Toekomst z Holandii

MOJE NIEOCZEKIWANE ZMAGANIA Z FAS

Wspólnie z mężem postanowiliśmy, że będziemy mieć czworo dzieci. Umówiliśmy się, że nasze adopcyjne dzieci musza być młodsze od biologicznych, a poza tym nie stawialiśmy żadnych warunków. Dokumenty na adopcję złożyliśmy w Holandii. Oczekiwanie na pozwolenie trwało trzy lata. W międzyczasie urodziłam dwoje dzieci, a potem adoptowaliśmy trojkę.

U nas w rodzinie nikt nie pił, poza kieliszkiem wina i to tylko przy wielkich okazjach. Może dlatego w trakcie trwania procedury adopcji, gdy dowiedziałam się, że ich matka jest alkoholiczką, pomyślałam sobie: jej wybór i jej strata, teraz ja je będę miała. Nie zapaliło się u mnie żadne czerwone światło, nie zdawałam sobie sprawy, że picie przez nią alkoholu „non stop", kiedy była z moimi dziećmi w ciąży, poczyni takie spustoszenia.

Telefon z Gdańska uradował nas. Bliźniaki – chłopiec i dziewczynka – miały po czternaście miesięcy. Zdrowe, ale słabe i opóźnione w rozwoju psychoruchowym, są do dziś nosicielami żółtaczki zakaźnej.

Nasze dzieci mają FAS. Ich rozwój był opóźniony i naznaczony syndromem, o którym nic nie widzieliśmy. Był rok 1983. Odkrywanie innej rzeczywistości – świata syndromu FAS, jego konsekwencji oraz zależności z tym związanych – trwa do dziś i chyba będzie trwało do końca naszego życia.

Dla moich dzieci FAS wiąże się z ograniczeniem ich możliwości działania i rozumienia tego, co się wokół nich dzieje. Poznawanie ich świata wzbogaciło mnie i zmieniło. Wychowaliśmy z mężem troje dzieci z FAS (i dwoje zdrowych), ale nie można ich ze sobą porównać. Każde dziecko z FAS jest inne. To, co mają wspólnego, to deprywacja alkoholowa z okresu ciąży oraz wielorakie tego konsekwencje.

Przypominam sobie moje pierwsze spotkanie z przedstawionymi nam bliźniętami. Było to również moje pierwsze, wtedy jeszcze nieświadome, spotkanie z FAS. Gdy je zobaczyłam, byłam zaszokowana i nieprzygotowana na taką inność. Nasze bliźnięta nie były podobne do żadnego małego dziecka, które znałam! Chłopiec miał dużą czaszkę z czołem bardzo wysuniętym do przodu, prawie jak przy czapce z daszkiem, i smutne oczy. Siedział na kolanach pielęgniarki, jakby do niej przymurowany. Patrzył na mnie, mając wciąż spuszczoną głowę. Wzięłam go na ręce, zupełnie nie zwracając uwagi na to, czy się nie boi. Tuliłam go do siebie — tak jakby musiał się dowiedzieć, o co w tym wszystkim chodzi. Henio był wystraszony, bo pielęgniarka to jego ulubiona ciocia.

Szczuplutka dziewczynka, mniejsza od chłopca, spięta jak kocurek, z nóżkami i rączkami wysuniętymi do przodu, z małą główką w kształcie beczki z trzema grubszymi obręczami. Twarz o wyrazie wesołkowatym, oczy zezujące we wszystkie strony.

Nie wiedziałam, czy ona patrzy na mnie, czy obok, czy się do mnie uśmiecha, czy krzywi na mój widok, czy się mnie boi, czy odpowiada na mój uśmiech? Nikt nie przygotował mnie do tego spotkania, nikt nie powiedział mi, że są tak zupełnie inne. Pierwsza wizyta trwała nie więcej niż pół godziny. Wyszłam z Domu Dziecka oszołomiona. Po wyjściu przedstawiciel komisji adopcyjnej zapytał mnie: „jak się tobie podobały dzieci?" Nie byłam w stanie nic powiedzieć, oprócz tego, żeby dał mi spokój.

Wcześniej postanowiliśmy z mężem że „bierzemy je", bo one na nas czekają. Już świadoma ich inności postanowiłam, jakby na przekór sobie, że to będą moje dzieci.

Obecnie, gdy jadę z rodzicami adopcyjnymi poznać ich przyszłe dziecko, mówię im o swoich doświadczeniach. Często widzę, że jest im trudno przyznać się, że inność twarzy dziecka jest dla nich problemem. Po rozmowie ze mną odczuwają ulgę, bo wiedzą, że nie tylko oni przeżyli szok. Tłumaczę, pokazując im zdjęcia swoich dzieci, że ich dzieci będą kiedyś ładne. W okresie dojrzewania te dzieci zmieniają się, zaczynają dominować cechy genetyczne. Twarz najczęściej pięknieje, ale niestety inne dolegliwości przeważnie się pogłębiają.

Gdy moje dzieci zaczęły pięknieć i zdrowieć nasz lekarz pierwszego kontaktu przyznał, że był zszokowany stanem ich zdrowia, a nie tylko wyglądem. Wypisując skierowania do specjalistów, nic nam nie powiedział. Zachował się wówczas nadzwyczaj taktownie.

Dla mnie i dla męża nastał czas bardzo absorbującej opieki nad pięciorgiem dzieci, z których trójka miała FAS. Nie będę opisywała wszystkich ułomności moich dzieci, ale czasami przez zaskoczenie odkrywałam, że jeszcze to… i jeszcze to... Lista nieprawidłowości prawie nie ma końca. U każdego dziecka coś innego. Rozpiętość uszkodzeń i ich konsekwencje są ogromne. Niedosłuch u Joanny odkryłam rok wcześniej. Lekarze zapewniali mnie, że nie mam racji, dopiero logopeda potwierdził moje spostrzeżenia i doradził audiologa. Epilepsje Rafała odkryłam w jego ósmym roku życia. Pamiętam, że denerwowałam się, że mnie nie słucha, a on wtedy miał wyłączenia świadomości, których ja nie zauważałam.

Po takich odkryciach miałam wyrzuty sumienia, że nie zauważyłam tego wcześniej. Często sama musiałam zwracać lekarzom uwagę na nieprawidłowości i sugerować że powodem może być FAS.

Zaczęły się mozolne fizykoterapie, ergo-terapie, logopedie – trzy razy w tygodniu. Konieczne były operacje przepukliny, oczu, stałe kontrole u specjalistów. Tak działo się z każdym adopcyjnym dzieckiem. Dzieci miały nie tylko inne twarze, dłonie, palce u nóg, proporcje ciała, brak odporności, alergie, parametry urodzeniowe: mały wzrost i waga, obwód głowy, powolny rozwój, spastyczność, szpotawość stopy, ale i zaburzenia równowagi. Moj syn, bliźniak Joasi, przewracał się co parę kroków, uderzając najpierw czołem o chodnik. Nie miał odruchu automatycznego wyciągania rak. Natomiast Joanna, chociaż bardziej poszkodowana – przy porodzie miał wylew krwi III stopnia do komór mózgowych – nie miała takich problemów.

Rafał nie panował nad kilkoma ruchami, które są niezbędne już w pierwszej klasie szkoły podstawowej, np. przy przepisywaniu z tablicy. Ławki w klasie były ustawione skośnie do tablicy, a on nie potrafił przenieść informacji tam zapisanych do zeszytu. Ławka, w której siedział Rafał, jako jedyna została postawiona na wprost tablicy i wtedy problem przestał istnieć.

Bliźnięta były niewrażliwe na ból, ale przeczulone na dotyk. Joanna ma wyostrzony węch, ale niedosłuch i problemy ze wzrokiem. Wszystkie przeszły po trzy operacje oczu. Ich system nerwowy był niedojrzały, bo dzieci przyszły na świat w 7 miesiącu ciąży, z wagą 1500 i 1600 g. Później, gdy dopytywały się, jak duże były przy urodzeniu, mówiłam im, że były tak ciężkie, jak półtora bochenka chleba – a one się z tego cieszyły.

Przez pierwsze pół roku dbałam o dzieci instynktownie, jak kwoka. Miały wszystko, co trzeba: dom, rodziców, były zadbane, natomiast ja chodziłam spięta. W końcu powiedziałam mężowi, że chyba nie jestem dobrą matką, ponieważ tyle mnie w nich drażni. Rozpłakałam się z bezsilności. Chociaż zmiany w dzieciach były ewidentne i pozytywnie postępujące, ja opadałam z sil. Moje przekonanie, że zawsze ze wszystkim sobie dam radę, zaczęło się chwiać. Mąż wziął mnie w ramiona i powiedział mi rzecz oczywistą, że miłość to jest proces i że wszystko jest na dobrej drodze. Wierzył we mnie, a ze mnie spadł ciężar wstydu przed nim, że nie podołam.

Zdaję sobie sprawę, że wielu rodziców adopcyjnych, i nie tylko, zauważając coraz to nowe zaburzenia zdrowotne, jakie niesie ze sobą FAS, może zwątpić, opaść z sił. Dobrze wiem, jak czasami jest ciężko w walce z przeciwnościami, jak trudno uwierzyć, że jutro będzie lepiej.

Tylko systematyczna praca daje dobre rezultaty. Im więcej czasu im się poświęca, tym bardziej jest się

Miłość, która przyjmuje opuszczone dziecko

Adoptowanie dziecka to wielkie dzieło miłości. Kto je podejmuje, wiele daje, ale też wiele otrzymuje. Jest to prawdziwa wymiana darów.
Adoptować dzieci, kochać je i traktować jak własne potomstwo, znaczy uznać, że miarą więzi między rodzicami a dziećmi nie są jedynie parametry genetyczne. Miłość, która rodzi, jest przede wszystkim darem z siebie. Istnieje «rodzenie», które urzeczywistnia się przez przyjęcie dziecka, opiekę nad nim, poświęcenie się mu. Więź, jaka dzięki temu powstaje, jest tak głęboka i trwała, że w niczym nie ustępuje więzi opartej na pokrewieństwie biologicznym. Gdy jest ona także chroniona przez prawo – jak w przypadku adopcji – w ramach rodziny trwale związanej małżeńskim węzłem, dziecko może żyć w klimacie bezpieczeństwa, otoczone miłością zarazem ojcowską i macierzyńską, która jest warunkiem jego w pełni ludzkiego rozwoju.
Każdy człowiek przychodzący na świat, w jakichkolwiek okolicznościach, nosi w sobie znak Bożej miłości. Chrystus narodził się i oddał życie za każde dziecko na świecie. Nie ma zatem dziecka, które by do Niego nie należało.

/Jan Paweł II *Do rodzin adopcyjnych* – 5 września 2000/

świadomym ich inności lub braków i tym skuteczniej można im pomóc.

Informowaliśmy szkołę o problemach naszych dzieci, prosząc o pomoc. Nauczyciele powinni wiedzieć, że dzieci nie są leniwe, tylko że mają duże problemy niewidoczne na pierwszy rzut oka.

Kiedy trzyletnia Joanna musiała zacząć nosić okulary, starałam się wytłumaczyć jej, że trzeba o nie dbać i że mamusia będzie je czyścić, kiedy się zabrudzą. Zdjęłam okulary z jej noska i specjalnym preparatem spryskałam szkła na poziomie jej twarzy, a ona wciągnęła powietrze cała piersią i powiedziała „lekker", co znaczy po holendersku „smaczne". Pamiętam swoje osłupienie i w tym momencie zdałam sobie sprawę, że ona przecież dobrze wie, jak smakuje alkohol, że przez całą ciążę u mamy biologicznej była pijana do utraty przytomności, bo matka

tyle piła. Od tego czasu zaczęłam zwracać uwagę na to, co podaję dzieciom, ponieważ alkohol jest w wielu produktach, takich jak lekarstwa, czekoladki, jajeczka wielkanocne, mazaki itd. Teraz sama Joasia informuje mnie, w jakich produktach jest alkohol. Na nasze i jej szczęście nie pije, ale gdy wypije piwo bezalkoholowe, zauważam że jest już inna, rozluźniona, weselsza (w Holandii piwo bezalkoholowe zawiera do 1% alkoholu).

Przyznaję, że w ciąży piłam kieliszek wina do obiadu, aby zadbać o właściwy poziom żelaza w organizmie, co zalecał mi lekarz. W czasie studiów miewałam anemię. Wiedziałam, że anemia szkodzi dziecku, nie wiedziałam, że wino jeszcze bardziej. W taki sposób każdy kieliszek był moim z dzieckiem wspólnym toastem – i to, o ironio, w imię jego zdrowia. Gdy patrzę na moje już dorosłe biologiczne dzieci, a widzę jakąś niezgrabność, drżącą rękę, to wiem, skąd się to mogło wziąć. Mam wyrzuty sumienia.

Obecnie już wiemy o destrukcyjnym działaniu alkoholu na rozwój wszystkich zmysłów już od poczęcia. Teraz jest to oczywiste, ale ja tego nie wiedziałam, nikt mi o tym nie powiedział. Musiałam odkrywać to sama. Często też musiałam uświadamiać, nawet fachowcom, że moja Joasia bardziej odczuwa ból organów wewnętrznych niż inni, natomiast syn Rafał – w ogóle nie odczuwa bólu. To, co rodzice sami powinni odkryć u swoich dzieci, to „mapa" destrukcji zmysłów każdego dziecka z osobna, jak również stopień tych destrukcji. W każdym przypadku jest ona inna, w zależności od tego, jak i co matka piła, ile piła oraz jaka była kondycja zdrowotna pijącej matki, a także jakie geny dostało dziecko.

Na przykład nasza córka jako małe dziecko wszystko wąchała – meble, buty, powietrze, własne ciało. Wchodząc rano do naszej sypialni zawsze wiedziała, że jest w niej zapach miłości, pomimo, że pokój był wietrzony.

Z kolei w czasie pobytu w Indiach nasz najmłodszy, ale dorosły syn jadał tak ostre potrawy, że Hindusi dziwili się jak on to może strawić. Wtedy zdałam sobie sprawę z tego, że on nie czuje bólu przewodu pokarmowego. Sypiał zawsze rozebrany, przy otwartym oknie na kołdrze. Czasami zastanawiałam się dlaczego nie przeziębia się, chociaż na dworze panuje mróz. Natomiast latem, w trzydziestostopniowe upały chodził w golfie i twierdził, że nie jest mu gorąco.

Rafał ma problem z widzeniem przestrzennym. Przez rok na zajęciach fizykoterapii uczył się jeździć na rowerze. Długo nie mógł zdać egzaminu na kartę pływacką, która w Holandii jest obowiązkowa do siódmego roku życia. Bał się pływać na grzbiecie – tracił orientację. Natomiast na wakacjach zimowych, jako pierwszy z naszych dzieci nauczył się jeździć na nartach szybko i zdecydowanie. Biała przestrzeń nie posiadała głębi. Tu górował nad innymi dziećmi do momentu gdy poszliśmy wieczorem pozjeżdżać przy zapalonych światłach. Zjechał na dół, ale nie potrafił wrócić – zawiódł go wzrok i wpadł w panikę.

Przy dzieciach z FAS często trzeba wybiegać myślami w przyszłość, przewidywać sytuacje, ponieważ te dzieci najczęściej nie uczą się na własnych błędach. Joasia jest osobą, która jeździ na rowerze i pokonuje wiele kilometrów dziennie, parkując rower w różnych miejscach. Średnio raz na rok, a czasami częściej, kradną jej rower. Rowery są zawsze ubezpieczone, wiec ma pieniądze na następny, ale ubezpieczenie musi zapłacić sama, a to kosztuje około 150 euro. Za każdym razem wścieka się, jak to jest możliwe, przecież zamknęła rower. Jednak często parkuje w miejscach, gdzie wiadomo, że kradną. Dwukrotnie zmienialiśmy ubezpieczyciela rowerów. Jak tak dalej pójdzie, nie będą chcieli ją ubezpieczać. Schemat jest wciąż ten sam.

Zauważyłam też u Joasi interesującą rzecz. Uczęszczała ona do szkoły życia dla dzieci z dużymi trudnościami w uczeniu się. Siadając nad książka, nie byłaby w stanie nauczyć się żadnego języka. Natomiast mówi płynnie dwoma językami: holenderskim i polskim. Mówi tak dobrze, jak nasze pozostałe dzieci, które funkcjonują na wyższym poziomie. Zawsze stymuluję rodziny adoptujące, aby wykorzystały tę wiedzę. Aby mówić do dzieci również w innym języku, np. na spacerze, przy stole itp.

Joasia czasami wybucha złością nieproporcjonalnie do sytuacji. Obraża nas i innych, używa wulgarnych słów, ale już po dziesięciu minutach przychodzi i przeprasza. To adrenalina, nad którą nie panuje. Tłumaczę rodzicom dorosłych dzieci, że nad takimi wybuchami

nie da się zapanować, że to mogą być zaburzenia związane z FAS. Wielu rodziców interpretuje to, jako złośliwość swoich podopiecznych.

Wychowując nasze adoptowane dzieci, zetknęłam się z wieloma elementami syndromu FAS. Organizacja adopcyjna, dla której pracuję, najczęściej zajmuje się ciężkimi przypadkami dzieci matek pijących. Nawet jeśli nie jest to zapisane w dokumentach, to trzeba się liczyć z taką ewentualnością i odpowiednio przygotować rodziców. Dzieci przeważnie dostajemy z patologicznych środowisk. Są to dzieci, dla których nie znaleziono rodzin adopcyjnych w Polsce.

Moja praca polega na tłumaczeniu danych dziecka, które przeszło przez „bank" danych w Warszawie i zostało zakwalifikowane do adopcji zagranicznej. Następnie, przed przedstawieniem ich rodzinie, odwiedzam dzieci, piszę sprawozdanie ze spotkania, robię zdjęcia (jesteśmy zobowiązani do pokazania zdjęć, ale już po akceptacji dziecka przez rodzinę). Opisuję otoczenie, w którym wzrasta, uczestniczę wraz z ośrodkiem adopcyjnym w pierwszym spotkaniu przyszłych rodziców z dzieckiem, prowadzę ich przez zawiłe zakamarki syndromu FAS. Rodzice muszą być świadomi, z jakim problemem się zetkną i jak temu zaradzić. Utrzymuję kontakt z rodziną przez cały proces adopcyjny, potem tłumaczę sprawozdania rodziny o postępach ich dziecka, składane w ciągu pięciu lat. Umożliwia to obserwowanie postępów dziecka przez kilka lat w okresie jego intensywnego rozwoju. Prowadzę i organizuję spotkania z biologiczną rodziną po latach.

Pewną prawidłowością jest, że matki, które rodzą dzieci z FAS, najczęściej są również dotknięte FAS. Kiedyś nie otrzymały one pomocy, co jest wynikiem opieszałości systemu, który powinien dbać i sprawować kontrolę nad środowiskami patologicznymi. Często dzieci, które zostały zaadoptowane, umknęły środowisku, w którym się urodziły, są od pokoleń pierwszą generacją mającą szansę na inną przyszłość, chociaż nie zawsze zdają sobie sprawę z tego szczęścia.

Wiem też o matkach dzieci, które zostały adoptowane, że w chwili obecnej ponownie są w ciąży i często są widziane w stanie upojenia. Wie o tym również opieka społeczna i kuratorzy sadowi, którzy taką rodzinę prowadzą. Pytam, w którym momencie zaczyna się ochrona życia poczętego? Czy jest prawdą, że dopiero po urodzeniu chorego dziecka?

Często szpitale wypisują dzieci do domu, nigdzie tego nie zgłaszają, chociaż wiadomo, że matka piła podczas ciąży. Ciekawa jestem, dlaczego opieszale reaguje się na sytuacje skrajne, gdzie nie ma szansy na zmianę warunków bytowych i zmianę stylu życia matki, a oddaje się jej dziecko do domu? Następnie odbiera, ale dopiero wtedy, gdy jest ono bardzo zaniedbane, albo jak się coś wydarzy?

Uważam, że dzieci, których matki stale piły podczas ciąży, są z urodzenia alkoholikami, takimi samymi jak alkoholicy po odwyku. Z powodu tego przekonania i dowodów, które posiadam, przygotowuję przyszłych rodziców na taką ewentualność. Tłumaczę, że ich dzieci mogą popaść w czynny alkoholizm, ponieważ gdy zaczną pić, szybciej są na wyższym poziomie alkoholizmu niż osoby bez takiej przeszłości. Proponuję rodzicom, aby zwrócili baczną uwagę na świadome wychowanie swoich dzieci, aby one wiedziały, co oznacza w ich przypadku picie i jakie są tego konsekwencje, żeby zainteresowali dzieci innymi przyjemnościami: sportem wyczynowym, skautingiem itd., aby picie nie stało się wartością samą w sobie i stylem życia. Zagrożenie jest duże, ponieważ dzieci te znają smak alkoholu, tak jak żadne inne w ich wieku, a co gorsza, mają do niego naturalny pociąg, ponieważ kiedyś były od niego uzależnione.

Dzieci trzeba uczyć asertywności, żeby wiedziały, jak bronić się przed presją grupy, aby poczuły wartość życia bez używek. Własny przykład jest tu również bardzo ważny.

Tę wiedzę zawdzięczam moim adopcyjnym dzieciom. Kochamy je takimi, jakie są, ale wiemy, że przez całe życie należy je wspierać i pomagać im. Kiedyś wyczytałam, że w średniowiecznej Wenecji dzieci trafiające do domu dziecka były znakowane wypalanym na pięcie piętnem. Przemknęło mi przez myśl, że nasze tyle wieków później, też zostały napiętnowane, ale czymś innym – alkoholem. Teraz muszą z tym żyć i dawać sobie radę do końca swoich dni.

29.09.2012 r.

Dorota Polańska
Dyrektor Interwencyjnego Ośrodka Preadopcyjnego w Otwocku
razem z zespołem IOP

PODĄŻAJĄC ZA DZIECKIEM

– Z RAPORTU INTERWENCYJNEGO OŚRODKA PREADOPCYJNEGO

Według danych Ministerstwa Zdrowia rocznie w Polsce, w samych tylko szpitalach, pozostawianych jest około 700 noworodków. Problem dzieci porzuconych w sposób szczególny ogniskuje się w Warszawie i powiatach ościennych. W województwie mazowieckim rodzi się około 200 dzieci rocznie, nad którymi rodzice nie mogą sprawować opieki lub porzucają je tuż po urodzeniu. Przez ostatnich kilka lat około 80 dzieci rocznie trafia do Interwencyjnego Ośrodka Preadopcyjnego. Placówka ta daje fachową, a zarazem zbliżoną do rodzinnej, opiekę dzieciom, które znalazły się w kryzysowej sytuacji, czekają na adopcję, przyjęcie przez rodzinę zastępczą lub powrót do rodziny biologicznej.

W ciągu 12 lat działalności objęliśmy opieką ponad 1000 osieroconych noworodków i niemowląt. Zdecydowana większość z nich trafiła do środowiska rodzinnego: 88% powierzyliśmy do rodzin adopcyjnych i zastępczych, 9% powróciło do swoich rodzin naturalnych, a tylko 3% z powodu bardzo złego stanu zdrowia lub nieuregulowanej sytuacji prawnej musiało być przeniesionych do placówek rodzinnych, domów małego dziecka lub zakładów opiekuńczo-leczniczych.

W 2013 roku opracowaliśmy raport w celu opisania sytuacji dziecka w wieku niemowlęcym czasowo lub trwale pozbawionego opieki rodzicielskiej i znajdującego się w instytucjonalnej pieczy zastępczej. Analizie poddaliśmy sytuacje 219 niemowląt pochodzących z terenu województwa mazowieckiego umieszczonych w IOP w Otwocku w latach 2010-2012. Były one w wieku od zera do pierwszego roku życia. Średni czas pobytu w IOP badanej populacji dzieci wyniósł 119 dni. Wnioski z analizy zebranych danych zaprezentowano poniżej.

Obserwujemy, że 99% matek dzieci przebywających w IOP podczas ciąży nie było objętych opieką lekarską. Nie jest to związane z brakiem dostępności opieki medycznej w Polsce, ale z odrzuceniem i porzuceniem emocjonalnym dziecka przez rodziców już od momentu poczęcia. Ponieważ matka wypiera, że jest w ciąży, nie tylko nie jest pod opieką lekarską, ale i nie zmienia swojego trybu życia. Oznacza to, że nie leczy się z uzależnienia od narkotyków, alkoholu, nikotyny i z używek tych nie rezygnuje; jest niedożywiona, ale nie bada się i nie przyjmuje witamin i minerałów; prowadzi zły tryb życia, a w przypadku przemocy nadal jest ofiarą. To daje wyraźne konsekwencje dla dalszego rozwoju dziecka.

Wśród badanej grupy tylko 29,4% dzieci, to zdrowe, donoszone niemowlęta. Blisko 31% to dzieci przedwcześnie urodzone (przed 37 Hbd) oraz urodzone o czasie, ale z niską wagą urodzeniową (hipotrofia i dystrofia wewnątrzmaciczna). Dla porównania: w Polsce w ogólnej populacji noworodków stanowi to od 5-11% urodzeń. W konsekwencji złego trybu życia matki podczas ciąży i braku opieki lekarskiej mamy dzieci narażone na różnego rodzaju zakażenia: z grupy TORCH – 2,4% (zakażenia m.in. cytomegalią i toksoplazmozą), wirusem HIV i HCV – 1,7%, chorobami wenerycznymi – 1,2%. Posiadając taką wiedzę o naszych podopiecznych, standardowo poddajemy je rozszerzonej diagnozie i obserwacji. W IOP dzieci są pod opieką dwóch lekarzy pediatrów, neurologa dziecięcego, fizjoterapeuty ruchowego, psychologa klinicznego i pedagoga.

Na rozwój psychoruchowy dziecka mają wpływ zarówno czynniki wewnętrzne, takie jak jego zdrowie, predyspozycje intelektualne, stan emocjonalny, jak również czynniki zewnętrzne, czyli warunki, w jakich

żyje, oraz dostępność otoczenia, stymulacja, jakiej doświadcza i warunki emocjonalne. Sytuacja zdrowego niemowlęcia – oczekiwanego, obdarzonego dobrymi uczuciami w czasie ciąży, na którym skupiona jest uwaga matki i całego otoczenia – różni się diametralnie od warunków, w jakich przebywa dziecko w placówce. O jego potrzeby nie dbano należycie już w okresie ciąży, a po urodzeniu musi się „dzielić" opiekunem z innymi niemowlętami. Jego potrzeby i sygnały nie są tak dobrze odczytywane. Jego rozwój i postępy jakie czyni, nie budzą takiego zachwytu, jak w przypadku dziecka będącego w rodzinnym domu.

W badanej grupie było tylko 39,3% dzieci rozwijających się w normie. Pozostałe – 60,7% – miały różnego rodzaju problemy rozwojowe wynikające ze stanu i uzależnień matek biologicznych (zespół odstawiennny – 3,1%, zespół FAS – 9,0%), braku opieki podczas trwania ciąży i złego jej prowadzenia. Pozostałe zaburzenia dzieci zostały przedstawione na wykresie poniżej.

PRZEBIEG ROZWOJU PSYCHORUCHOWEGO DZIECI W IOP

Opóźnienia i zaburzenia rozwoju wynikają z ograniczenia możliwości stymulacji dziecka w sytuacji, gdy opiekuje się nim więcej niż jedna osoba. Ponadto rozwój determinuje postępująca z każdym dniem choroba sieroca. Jest ona wynikiem pozbawienia dziecka obiektu przywiązania – jednej, niezmiennej osoby, która się nim opiekuje, i która jest z nim silnie emocjonalnie związana. Brak matki jest dla dziecka przeżyciem porównywalnym z lękiem przed śmiercią, ponieważ, jak każdy ssak, nie może przeżyć bez opiekuna. Dlatego też potrzebę przywiązania uznano za najsilniejszą pierwotną potrzebę człowieka.

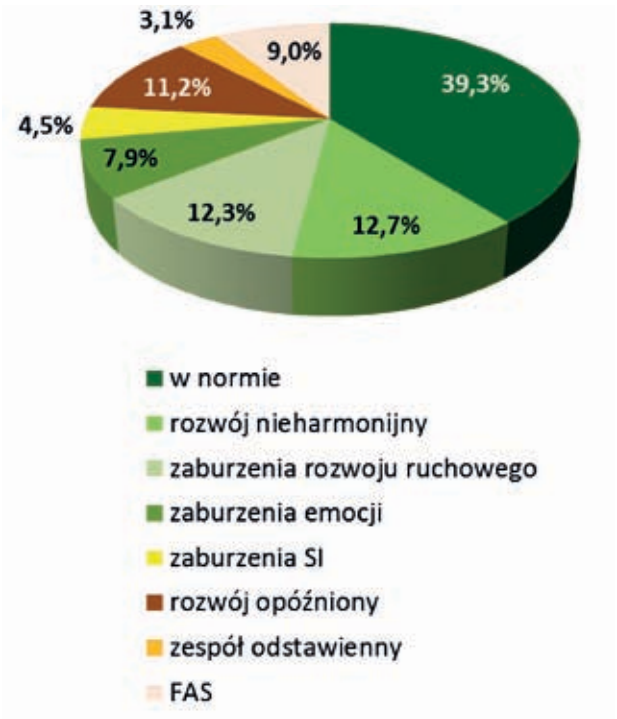

U noworodków i niemowląt w pierwszym okresie życia choroba objawia się podniesionym progiem lęku. Dzieci są niespokojne, często gorzej jedzą, wzięte na ręce prężą się tak, jakby chciały uciec, znacznie płycej zasypiają. Mogą mieć również problemy z nawiązaniem kontaktu wzrokowego, przytuleniem się lub stale domagają się uwagi. W miarę rozwoju dziecka pogłębiają się również objawy choroby sierocej, ponieważ rozwój sfery poznawczej jest podporządkowany konieczności zaspokojenia potrzeby przywiązania. Dziecko nie uczy się i nie poznaje świata, lecz zdobywa nowe umiejętności, by skutecznie zwrócić na siebie uwagę. Jednocześnie pewne sfery, zwłaszcza dotyczące kontaktu i komunikacji, nie rozwijają się prawidłowo bądź ich rozwój jest opóźniony.

Stopniowo pojawiają się też objawy zachowań patologicznych, takich jak kiwanie się, ssanie kciuka, nadmierny apetyt, płaczliwość, wycofywanie się z interakcji, lepszy kontakt wzrokowy z łóżeczka niż po wzięciu na ręce, kontakt powierzchowny, naśladowanie zachowań innych dzieci, by uzyskać uwagę, zabieranie przedmiotów, które ma inne dziecko, uciekanie, itp. Wynikają one z pogłębiania się choroby sierocej, czasu jej trwania i coraz większej świadomości cierpienia.

Przebieg prawidłowego rozwoju prowadzący do tego, że dziecko jest szczęśliwe, ciekawe świata i na

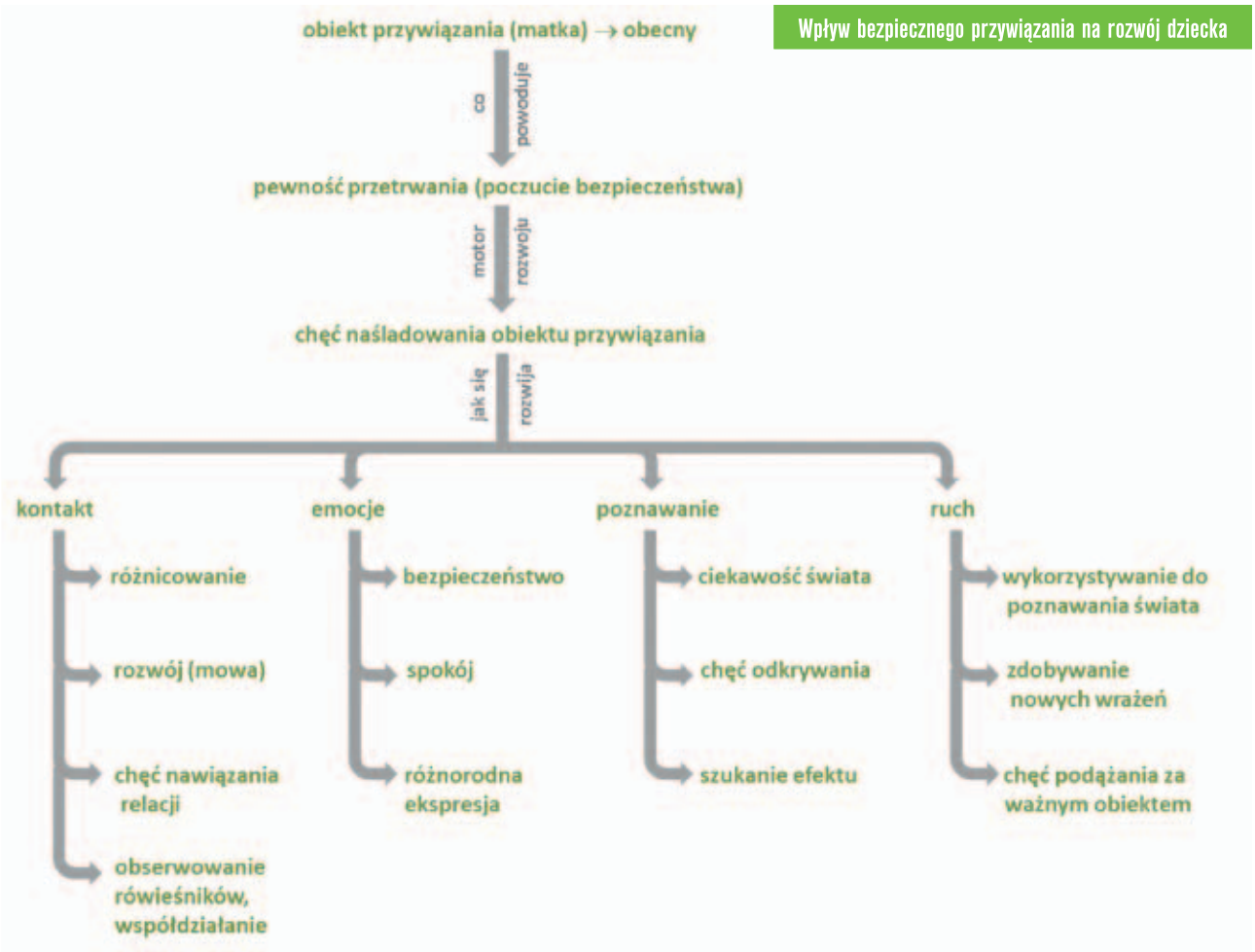

miarę swoich możliwości rozwija się harmonijnie, a także odważnie wchodzi w kontakty z rówieśnikami, obrazuje powyższy wykres.

Przebieg rozwoju zaburzonego, skutkującego tym, że dziecko we wszystkich sferach rozwija się nieharmonijnie, jest nieufne, ma zaburzone poczucie bezpieczeństwa, nieprawidłowe reakcje przywiązaniowe oraz zaniżone poczucie własnej wartości, przedstawia wykres obok.

Praca prowadzona w IOP ma na celu jak najskuteczniej niwelować skutki choroby sierocej. Dostosowywana jest do wieku i potrzeb każdego z podopiecznych. W pierwszym okresie życia dziecka ważna jest stałość i przewidywalność zdarzeń, dlatego pielęgnacja dziecka oparta jest na jednej metodzie (NDT). Karmienie przebiega według podobnego schematu: osoba, która bierze dziecko na ręce, najpierw informuje o tym, a potem robi to powoli. Uczymy się obserwować reakcje dziecka, by odpowiadać jak najlepiej na jego potrzeby. Poza tym poczucie bezpieczeństwa zapewniają mu smoczek i pieluszka układana blisko jego buzi. Każde dziecko dostaje też miękką pluszową zabawkę, która jest stale w jego łóżeczku.

Od trzeciego miesiąca życia dziecka opiekunowie muszą uwzględniać jego rosnącą świadomość, prawidłowo odczytywać wysyłane przez nie komunikaty oraz właściwie interpretować zachowania, tak, by nie powiększać jego cierpienia. Dużego znaczenia nabiera problem związku emocjonalnego, jaki tworzy się między opiekunem a dzieckiem. Ponieważ osoby będące z dziećmi nie są na stałe i nie dla jednego malucha, muszą kontrolować swe emocje, ale jednocześnie okazywać każdemu dziecku swoją życzliwość.

Dziećmi zajmuje się pedagog, który stanowi dla nich element stałości i daje im poczucie kontroli nad rzeczywistością. Dobrze zna ich potrzeby i właściwie odczytuje ich komunikaty. Stała zabawka, która towarzyszy dziecku od początku jego pobytu w placówce, nabiera dla niego znaczenia „osoby", która towarzyszy mu i może pomóc w trudnych chwilach. Zdajemy so-

bie sprawę, że rozwój emocjonalny dziecka zdrowego umożliwia traktowanie obiektu przejściowego (ulubionej zabawki), w kategoriach opisanych wyżej dopiero wtedy, kiedy obraz matki jest już w świadomości dziecka utrwalony. My odwracamy ten proces, bo jest to jedyna możliwość zapewnienia dziecku stałej i zawsze dostępnej „osoby". By stało się to możliwe, musimy taki związek w świadomości dzieci wytworzyć, np. przez łączenie osoby z tym przedmiotem, dbanie, by przedmiot ten towarzyszył mu we wszystkich ważnych chwilach, zwłaszcza tych trudnych.

Zdajemy sobie sprawę, że mimo tych działań nigdy choroby sierocej nie zniwelujemy całkowicie, dlatego też tak ogromne znaczenie ma czas przebywania dziecka w placówce. A jest on uzależniony od sytuacji rodzinnej dziecka i przyczyny umieszczenia go w instytucjonalnej pieczy zastępczej. Dzieci w IOP znajdują się albo na podstawie decyzji matki, która tuż po urodzeniu pozostawia go w szpitalu z zamiarem przekazania do adopcji, albo na podstawie interwencji i z postanowienia sądu.

W pierwszej sytuacji intencją matki jest przekazanie dziecka innym rodzicom, którzy zapewnią mu miłość i bezpieczeństwo. Matki deklarują trwałą nieobecność i zrzeczenie się władzy rodzicielskiej najczęściej z przyczyn ekonomicznych, takich jak bezrobocie (12,9%), ubóstwo (23,6%), brak odpowiednich warunków mieszkaniowych, co często jest związane z niewydolnością wychowawczą (23,9%) i samotnością w swoim najbliższym środowisku. Inni członkowie ich rodzin i najbliższe osoby nie są w stanie, lub nie chcą, przejąć obowiązków rodzicielskich i zapewnić dziecku opieki.

Matki już w szpitalu położniczym w oświadczeniu wskazują ośrodek adopcyjny, z którym będą dalej współpracować i który będzie udzielał im wszelkiego potrzebnego wsparcia. Aż 79% matek podejmuje ak-

Wpływ separacji od matki na rozwój dziecka

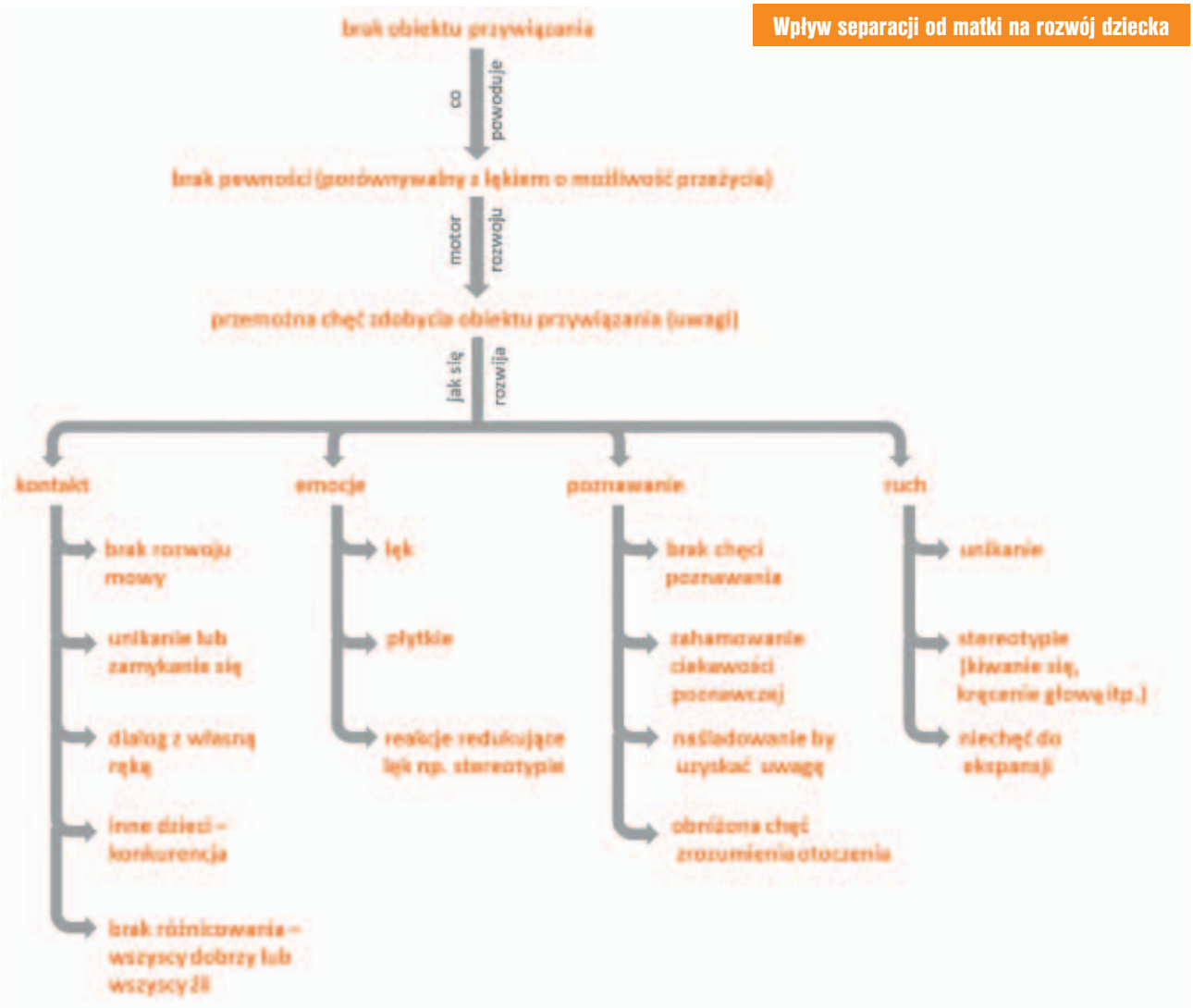

tywną współpracę z takim ośrodkiem dla dobra dziecka. W takiej sytuacji średni czas pobytu dziecka w IOP wynosi 61 dni.

Szczególną uwagę poświęcamy dzieciom, które znalazły się w IOP na podstawie interwencji i z postanowienia sądu. We wszystkich tych przypadkach dochodzi do zagrożenia bezpieczeństwa dziecka, jego zdrowia, a czasami życia z powodu występujących u rodziców, a w szczególności u matek, uzależnienia od alkoholu (20%), narkotyków (7%), niewydolności wychowawczej (12%) czy długotrwałej choroby, zaburzeń psychicznych i upośledzenia umysłowego. Chociaż dochodzi do interwencji służb socjalnych, sądu, a często policji, rodziny czują się niesprawiedliwe potraktowane i deklarują miłość do odebranych im dzieci. Niestety zaledwie 25 % z nich podejmuje aktywną walkę o odzyskanie dziecka. Prawie 70 % rodziców nie współpracuje z żadnymi służbami w celu odzyskania dziecka i nie ma też z nimi kontaktu. Średni czas pobytu dzieci w IOP umieszczonych na podstawie postanowienia sądu to aż 214 dni.

Wnioski z przeprowadzonych badań:

- Zaspokojenie najsilniejszej potrzeby człowieka, jaką jest potrzeba przywiązania, która jednocześnie jest motorem do działania i rozwoju, nie jest możliwe w czasie przebywania dziecka w instytucjonalnej pieczy zastępczej.
- Malutkie dziecko pozbawione opieki rodzicielskiej jest absolutnie bezradne i całkowicie zależne od innego dorosłego, nie komunikuje się werbalnie i dlatego często jest niezrozumiane. Podążanie za potrzebami dziecka jest naszym nadrzędnym celem.
- Choroba sieroca, która powstaje w wyniku niezaspokojenia potrzeby przywiązania, determinuje rozwój dziecka we wszystkich sferach, powodując że jego rozwój i funkcjonowanie nie przebiega prawidłowo. Doprowadza to w najlepszym wypadku do rozwoju nieharmonijnego, zaburzeń emocjonalnych w postaci złych reakcji przywiązaniowych, opóźnienia rozwoju poznawczego.
- Największym „wrogiem" dziecka pozbawionego rodziców jest czas.

PLANY NA PRZYSZŁOŚĆ

Wobec trudności, z jakimi nasze dzieci spotykają się już u progu swojego życia, wydaje się konieczne zapewnienie rodzinom adopcyjnym i zastępczym specjalistycznej pomocy po ich przyjęciu, zwłaszcza wtedy, gdy pojawią się jakieś kłopoty rozwojowe lub wychowawcze. Dlatego Fundacja Rodzin Adopcyjnych planuje w 2015 roku otwarcie Interdyscyplinarnej Poradni Dla Rodzin Adopcyjnych. Będzie to miejsce, w którym nasze dzieci otrzymają możliwość diagnozy i konsultacji, a rodziny uzyskają specjalistyczne poradnictwo i wsparcie.

Wojciech Pytel
Prezes Fundacji Rodzin Adopcyjnych

FUNDACJA RODZIN ADOPCYJNYCH – PRZYSZŁOŚĆ

Nasza Fundacja od lat znana jest ze swojego głównego programu jakim jest prowadzenie Interwencyjnego Ośrodka Preadopcyjnego. Ośrodka, gdzie dzieci pozbawione czasowo lub trwale opieki rodzicielskiej objęte są wszechstronną, specjalistyczna opieką. A to oznacza zarówno wspomożenie procesu regulacji sytuacji prawnej dziecka jak i przede wszystkim pogłębioną diagnostykę i terapię dziecka, pierwszy kontakt z rodzicami i przekazanie im maksimum pozyskanej wiedzy o dziecku, tak aby mogli dalej nim się opiekować i wychowywać. Rodzice w tym czasie zdobywają wiedzę w ośrodkach adopcyjnych, tak aby w momencie pierwszego kontaktu z dzieckiem mieć pełne zrozumienie jego potrzeb. Ten dwutorowy proces uzupełnia się i kończy udaną adopcją.

Po kilkunastu latach współpracy widzimy jednak potrzebę rozszerzenia naszej działalności o wsparcie rodziców po adopcji. O ile bowiem w czasie procesu adopcji i przygotowania do adopcji lub utworzenia rodziny

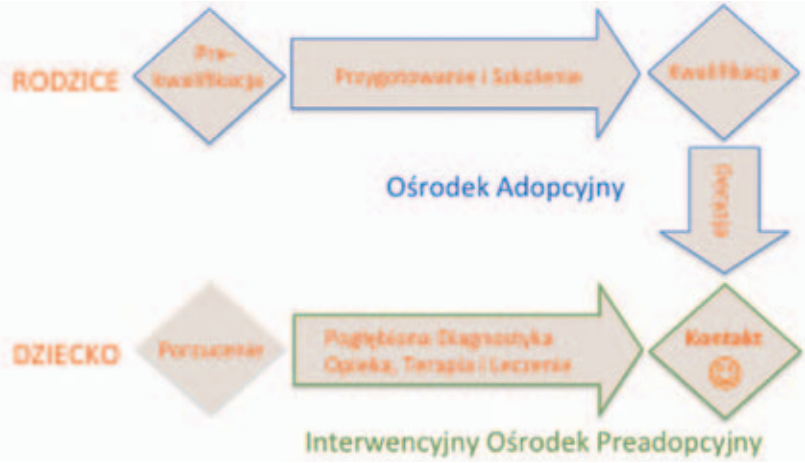

zastępczej, rodzinnego domu dziecka przyszli rodzice mogą liczyć na ukierunkowanie i pomoc ośrodków adopcyjnych i organizatorów pieczy zastępczej, a dzieci na wyspecjalizowaną opiekę w IOP, o tyle w okresie postadopcyjnym, w którym zarówno osieroconym dzieciom jak i rodzicom zastępczym i adopcyjnym niezbędne jest wsparcie i pomoc w wypełnianiu przez nich trudnych i obciążających zadań opiekuńczych, rehabilitacyjnych i wychowawczych – brakuje specjalistycznego wsparcia.

Dysfunkcje oraz problemy niemowlęcia umieszczonego poza własną rodziną wynikają z przeżycia porzucenia, zaniedbania oraz ogromnej tęsknoty są charakterystyczne jedynie dla tej grupy. Dlatego wsparcie dla dzieci i rodziców zastępczych oraz potrzebna terapia znacząco różnią się od tradycyjnych. Zrozumienie różnic i specjalizacja udzielonej pomocy są kluczowymi elementami prawidłowego wsparcia dla rodzin zastępczych (patrz raport www.adopcja.org.pl „Sytuacja niemowląt pozbawionych opieki rodzicielskiej" marzec 2013)

Także w wieku poniemowlęcym dzieci przysposobione i w rodzinach zastępczych mają zazwyczaj bardzo wiele trudności psychologicznych, związanych ze swoją historią (rodzina pochodzenia), zarówno z relacją ze swoimi naturalnymi rodzicami, jak i z budowaniem nowych relacji w rodzinie przysposabiajacej. Objawem tych trudności są często kłopoty w zachowaniu, zaburzenia snu, różnorakie choroby i trudności szkolne. Stosunkowo krucha tożsamość rodziców adopcyjnych jest narażona na pokonywanie tych trudności, które wiążą się z wychowywaniem dzieci „trudniejszych do wychowania". Stąd zrodził się projekt powołania **poradni wielospecjalistycznego wsparcia rodzicielstwa adopcyjnego i zastępczego** przy IOP.

Planujemy jej uruchomienie w 2015 roku. Mają trafiać do niej, za pośrednictwem poradni pediatrycznych, przedszkoli i szkół, dzieci w wieku od urodzenia do 10 roku życia, których rozwój przebiega nieprawidłowo, z opóźnieniem lub lekkim upośledzeniem umysłowym. Także rodzice zaniepokojeni brakiem postępów w rozwoju lub niezrozumiałymi dla nich reakcjami dziecka będą mogli zgłaszać się do poradni.

Planowany zakres pomocy:

- zagrożone nieprawidłowym rozwojem dzieci z grupy wysokiego ryzyka ciążowo-porodowego (wcześniaki, dzieci dystroficzne i dysmorficzne),
- dzieci opóźnione w rozwoju lub upośledzone umysłowo w stopniu lekkim z niepełnosprawnością sprzężoną w przebiegu różnych jednostek chorobowych,
- zespół FAS,
- zaburzenia więzi,
- trudności adaptacyjne w grupie, trudności wychowawcze, zaburzenia zachowania,
- zaburzeniami integracji sensorycznej,
- inne.

Metody pracy z dzieckiem będą dobierane w zależności od jego potrzeb rozwojowych.

Zachęcamy wszystkich do zaglądania na naszą stronę www.adopcja.org.pl

Mirosława Romanowska
Psycholog kliniczny w Interwencyjnym Ośrodku Preadopcyjnym w Otwocku

JAK NIEMOWLAK WIDZI ŚWIAT, GDY NIE MA PRZY NIM JEDNEJ, KOCHAJĄCEJ OSOBY?

Jestem psychologiem, od kilkunastu lat pracuję w Interwencyjnym Ośrodku Preadopcyjnym. Nasi podopieczni to niemowlęta do pierwszego roku życia. Chciałam podzielić się naszymi przemyśleniami i doświadczeniami z pracy.

Nasze dzieci to maluszki, które przeżyły, z różnych powodów, porzucenie. Od początku swego istnienia, od chwili poczęcia, nie były radością swych matek. Były zaskoczeniem, przeszkodą, powodem rozpaczy, czy bezradności. Nikt nie czekał na nie. W okresie życia prenatalnego dostały sporą dawkę efektów stresu swoich matek.

Po przyjściu do Ośrodka zostają otoczone wszechstronną troską o zdrowie i rozwój, mają zapewniony spokój, są diagnozowane, by zastosować właściwe leczenie. Regularnie są karmione na rękach opiekunek, otoczenie jest przyjazne i dostosowane do ich potrzeb.

Ale czy to wystarczy, by czuły się bezpieczne? Z całą pewnością nie. Dla zapewnienia prawidłowego rozwoju emocjonalnego, ruchowego i poznawczego niezbędny jest jeden podstawowy warunek: stały, niezmienny i przewidywalny, obiekt przywiązania. I tego właśnie, mimo najlepszej woli, nie możemy zapewnić.

Dzieci przeżywają to, czego nie powinno doświadczać żadne dziecko – boją się. Widać to, gdy uważnie obserwuje się ich zachowanie. Dzieci śpią płytko, nawet niewielki hałas je budzi. Brane na ręce często odwracają twarzyczki od opiekunów, unikają kontaktu wzrokowego. Często prężą się i odginają, tak jakby chciały uciec – przecież nie wiedzą, po co są brane na ręce.

Poczucie bezpieczeństwa zapewnia im sala, własne łóżeczko, nie człowiek. Podobnie jest z odpowiedzią na ich sygnały: nie zawsze są one natychmiast i właściwie odczytywane, na wołanie odpowiadają różne osoby.

W literaturze spotykamy opisy różnych zaburzeń więzi oraz konsekwencji różnego rodzaju zachowań osób, które stanowią dla dziecka obiekt przywiązania. Moim zdaniem mamy tu do czynienia z jeszcze innym aspektem: nasze dzieci „rezygnują" z obiektu przywiązania, jakim jest człowiek. Ponieważ nie istnieje jedna osobna dla nich znacząca, obiektem przywiązania stają się wszystkie elementy względnie stałe, przewidywalne. To one zapewniają dziecku poczucie bezpieczeństwa. Konsekwencją takiej sytuacji – w miarę dorastania dziecka – jest cały szereg zaburzeń, nie tylko rozwoju emocjonalnego, ale też pozostałych sfer rozwoju.

Dzieje się tak dlatego, że dzieci cały czas dążą do pozyskania uwagi osób je otaczających. Staje się to ich priorytetem. Uczą się nowych rzeczy, ale te umiejętności wykorzystują przede wszystkim do zdobycia uwagi i akceptacji. Kontakt, który nawiązują, jest płytki. Każda osoba stanowi dobry obiekt do zwrócenia na siebie uwagi. Przeciwnym rodzajem reakcji jest postępujące wycofywanie się z kontaktu, a w efekcie coraz chętniejsze „zwracanie się" do siebie – nie ma ludzi, ja sam zapewnię sobie towarzystwo.

Zdajemy sobie sprawę, że nie możemy w pełni przeciwdziałać tej sytuacji. Nawet gdybyśmy zapewniły dzieciom jednego opiekuna na stałe, to w momencie rozwiązania sytuacji prawnej dziecka lub gdy musi ono

Byłem dzieckiem i staliście się dla mnie rodziną.
Byłem dzieckiem osieroconym, a adoptowaliście Mnie,
wychowując jak własne dziecię.

/List do Rodzin Ojca Świętego Jana Pawła II z okazji Roku Rodziny.
W Rzymie, u Świętego Piotra, dnia 2 lutego 1994 roku, w Święto Ofiarowania Pańskiego,
w szesnastym roku Pontyfikatu/

od nas odejść z powodu wieku, przeżywałoby ono kolejne porzucenie. Dlatego w Ośrodku wypracowujemy taki model pracy z dzieckiem, by zapewnić mu możliwie jak najlepszy rozwój i opiekę, dać poczucie bezpieczeństwa, jednocześnie nie wiążąc nadmiernie dziecka z osobą. Wymaga to ogromnej odpowiedzialności personelu, wypracowania postawy: daję ci siebie tu i teraz, lecz nie oczekuję, że się do mnie przywiążesz. Jestem twoim towarzyszem, staram się ciebie zrozumieć, byś łatwiej „przeczekał" ten trudny okres. Będziemy razem szczęśliwi, gdy znajdziesz swe stałe miejsce i nową rodzinę.

Od momentu pojawienia się u nas dziecka staramy się dawać mu możliwie największe poczucie bezpieczeństwa. Zapewniamy spokój, odpowiadamy na jego sygnały, nie ignorujemy płaczu. Czasem dziecko musi poczekać, lecz wtedy dostaje sygnał: „słyszę cię, zaraz się tobą zajmę". Poza zapewnieniem mu troski o jego zdrowie i podstawowe potrzeby, staramy się, by zostało objęte opieką specjalistów, aby w jak najmniejszym stopniu odczuwało dyskomfort. Zapewniamy odpowiednią rehabilitację, właściwie dobieramy mleczko, smoczek i sposób karmienia. Konieczna jest stymulacja, by nie pozostawało w próżni lub – gdy tego potrzebuje – pomoc w przezwyciężaniu zaburzeń wrażliwości. Wreszcie staramy się o najlepsze środki czystości i higieny, by nie dopuszczać np. do odparzeń.

Jednocześnie staramy się być dla dzieci niezmienni i przewidywalni. Próbujemy też zapewnić dziecku stałość emocjonalną przez ulubioną „przytulankę", którą dziecko ma zawsze przy sobie i którą „obdarzamy emocjami". W sytuacji, gdy dziecko potrzebuje czułości czy pocieszenia, osoba kierująca podaje ją dziecku i łagodnie przemawia jakby w imieniu tej zabawki.

Najważniejszą sprawą jest, by dziecko było u nas jak najkrócej. W momencie kontaktu z nową rodziną lub powrotu do mamy biologicznej, jesteśmy najszczęśliwsi, ponieważ nasze starania osiągnęły zamierzony cel.

DLACZEGO MOJA MAMA BIOLOGICZNA MNIE ZOSTAWIŁA...

1 kwietnia 2014 roku minęło 10 lat od dnia, w którym zadzwonił do nas telefon z Ośrodka. Pamiętam ten dreszcz emocji: „Jest chłopiec, ma pół roku…" Po kilkunastu miesiącach szkolenia i oczekiwania, wcześniejszego wybierania imion (dla chłopca – Szymek, dla dziewczynki Marta), razem z dwójką starszych dzieci Jankiem i Małgosią, doczekaliśmy się wreszcie.

Kiedy go zobaczyliśmy, przytuliliśmy, wiedzieliśmy, że choćby nie wiem co, to jest nasz syn, Szymek, na którego czekaliśmy. Potem urodziła się jeszcze córka, Marta. Wierzymy, że Szymek utorował jej drogę do naszej rodziny – tyle lat nie mogliśmy mieć dzieci, a tutaj zaraz po adopcji – ciąża…

Od początku mówiliśmy Szymkowi o jego pochodzeniu, opowiadaliśmy o tym dniu, kiedy się spotkaliśmy, pokazywaliśmy zdjęcia. Wie, że urodziła go inna mama, która nie może go wychowywać, wie, że nie mógł się nam urodzić długo i wreszcie się odnaleźliśmy. Wie, jak pozostałe nasze dzieci, że adopcja to inna droga do stworzenia rodziny, tak samo dobra.

W tym roku znowu odwiedziliśmy ośrodek w Otwocku, gdzie przez pierwsze kilka miesięcy swojego życia czekał na nas Szymek. Przywieźliśmy tort z dziesięcioma świeczkami, każda za rok naszego wspólnego życia. Życia, które nie jest łatwe, bo jak w każdej rodzinie zdarzają się momenty bardzo trudne. Życia, którego nie żałujemy ani przez chwilę, bo jesteśmy razem.

Kiedy spacerowaliśmy po ośrodku, okazało się, że nadal pracuje w nim pielęgniarka, która pamięta Szymka z „tamtych czasów", kiedy jeszcze się nie spotkaliśmy. Szymek zapytał ją, czy był grzeczny jako niemowlak, czy ładnie jadł… I nagle wystrzelił: „a dlaczego moja Mama biologiczna mnie zostawiła?" Zdrętwiałam, bo przecież wielokrotnie o tym rozmawialiśmy, mówiliśmy, że jego biologiczna Mama miała kłopoty, nie mogła go wychowywać, nie mogła być jego Mamą, więc szukano innych

rodziców i to właśnie my nimi zostaliśmy. Mówiliśmy, że bardzo na niego czekaliśmy, że jest naszym skarbem, że kochamy go najbardziej na świecie, jak wszystkie nasze pozostałe dzieci. A jednak okazało się, że chciałby dowiedzieć się jeszcze od kogoś, jaka ta pierwsza mama była, dlaczego nie mógł być z nią. Szybko zareagowaliśmy – pani pielęgniarka biologicznej Mamy nie widziała, biologiczna Mama nie mogła go wychowywać, a teraz idziemy na tort i dmuchać świeczki…

Jednak to zdarzenie przypomniało mi jedno ze szkoleń przed adopcją, na którym rozmawialiśmy o tym, jak umożliwić dziecku docieranie do jego biologicznych korzeni, jak rozmawiać, jak nie zranić ani dziecka, ani kobiety, która oddając swoje dziecko, na

pewno przeszła dramatyczne chwile. Wtedy myśleliśmy, że to abstrakcja, że miną całe lata świetlne, zanim może nas to dotyczyć. Wtedy kupowaliśmy pieluchy i butelki, a teraz nasz syn, nasz najprawdziwszy, najukochańszy adoptowany syn, dał nam sygnał, że dzień odpowiedzi na trudne pytania i pozostawienia bez odpowiedzi tych, na które nie jesteśmy w stanie odpowiedzieć, nadejdzie. Już niedługo.

Wczoraj, w Dniu Matki, wszystkie nasze dzieci ustawiły się z kwiatami, laurkami, prezentami – dziewiętnastoletni Janek, siedemnastoletnia Małgosia, dziesięcioletni Szymek i dziewięcioletnia Marta. Za wszystkie jestem Panu Bogu ogromnie wdzięczna. To nasze największe skarby, najważniejsi ludzie na świecie. Jedno z nich ma jeszcze jedną Mamę, która nie dostała wczoraj laurki. Ale na modlitwę swojego syna i jego adopcyjnej rodziny może liczyć. Dzięki Niej, jej odwadze, mądrości i miłości Szymek żyje i ma się dobrze w naszej rodzinie. Dziękuję Pani, Mamo Biologiczna!

Agnieszka

Kimkolwiek jesteś ...

Zaczynałam ten list setki razy, nie wiedząc, co mam napisać.
Jak ubrać w słowa uczucia drzemiące we mnie.
Nie wiem, kim jesteś i pewnie nigdy się nie dowiem, choć powiadają, że nadzieja umiera ostatnia. Szukałam Cię na wszystkie możliwe sposoby i nie udało mi się. Porzuciłaś mnie osiemnaście lat temu, tak po prostu.
Nie wiem, czy było Ci łatwo, czy trudno.
Nie wiem, czemu mnie nie szukasz.
Dlaczego nie oddałaś mnie tak, abym mogła Cię odnaleźć?
Jednak chciałabym Ci podziękować. Wiem, że ta decyzja nie była łatwa, ale odsuwając na bok swój żal, widzę, że była słuszna.
Dzięki niej mam rodzinę, która mnie kocha.
Spotkałam najważniejszą osobę w moim życiu, która pokazała mi, jak kochać i jak to jest być kochaną bez odtrącenia, bez strachu przed porzuceniem.
Pamiętam, że gdy byłam mała, śniło mi się Twoje wyobrażenie – kobieta w czerwonej sukni. Taka piękna, tak delikatna, a jednak tak daleka. Żegnałam się z Tobą tysiące razy, lecz ten jest ostatni. Dziękuję za to, że mnie oddałaś.

styczeń 1996 r.
Autorka ma obecnie 18 lat

CZEKA NA NAS DWÓCH CHŁOPCÓW!

Pochodzę z rodziny wielodzietnej. Moje dwie siostry mają już po kilkoro dzieci, więc kiedy wyszłam za mąż i przez rok nie zaszliśmy w ciążę, pomyślałam: a jednak naturalne metody planowania rodziny skutkują, trzeba tylko umieć je stosować! Nasz niepokój wzbudziło to, że kiedy przestaliśmy już stosować NMR, on dalej skutkował brakiem ciąży…

Jesteśmy specyficzną rodziną. Poznaliśmy się z mężem w katolickiej wspólnocie, która prowadzi domy dla ludzi bezdomnych. Tu mieszkamy, żyjemy, pracujemy. Przez kilka lat całkowicie pochłaniało to naszą energię. Jednak brak dzieci coraz bardziej dawał się odczuć jako pustka, która domaga się wypełnienia. Różnego rodzaju próby diagnozy i leczenia nie przynosiły skutku, w końcu lekarz zaproponował nam in vitro.

Po pewnym czasie nasze problemy wywołały u mnie skrywaną przed otoczeniem depresję. Pewnego razu mąż zapytał, co myślę o adopcji. Szczerze mówiąc, był to dla mnie temat „jak z kosmosu" – tak bardzo skupiłam się na naszych problemach i na tym, że sytuacja jest beznadziejna, że nie mamy na nią wpływu i nawet nie brałam pod uwagę tego rodzaju rozwiązania. Nigdy nie miałam nic przeciwko adopcji, ale dopiero pytanie męża wyrwało mnie z odrętwienia i dało nadzieję.

Tak trafiliśmy do Katolickiego Ośrodka Adopcyjnego, gdzie po wstępnej rozmowie rozpoczęliśmy kurs przygotowawczy dla małżeństw planujących adopcję. Tam poznaliśmy inne pary borykające się z takimi samymi problemami. Dla mnie osobiście czas kursów był bardzo ważny, bo choć wychowałam się w domu pełnym dzieci, to warsztaty dobitnie uświadomiły mi, że problemy dzieci adoptowanych są często inne, ponieważ borykają się one z zupełnie innym, bolesnymi doświadczeniami, dlatego też wymagają innego podejścia. Uświadomiłam sobie bardzo wyraźnie, że dzieci nie są po to, aby spełniać nasze oczekiwania, ale po to, by otoczyć je miłością takimi, jakie są.

Zdecydowaliśmy, że chcielibyśmy przyjąć dwoje dzieci, prawdopodobnie rodzeństwo, w wieku około pięciu lat. Po ostatecznej akceptacji przez Ośrodek, zostaliśmy poinformowani, że rodziny, które ukończyły kurs, zazwyczaj w ciągu roku mogą się spodziewać informacji o czekającym na nie dziecku. Stwierdziliśmy więc, że mamy niecały rok na przygotowania. W naszym przypadku było to związane z koniecznością przeprowadzki z Warszawy do innego województwa, gdzie nasza wspólnota mogła nam zaoferować mieszkanie, które zapewni dzieciom odpowiednie warunki.

Nasze zdziwienie było naprawdę wielkie, gdy po niecałych dwóch miesiącach otrzymaliśmy telefon z Ośrodka. Mąż powiedział mi, że gdzieś tam czeka na nas dwóch chłopaków! Już z nowego domu pojechaliśmy do Warszawy, by zapoznać się z kartami dzieciaków, a potem podróż jeszcze dalej, w Polskę, by spotkać tych dwoje dzieci – dwie wielkie niewiadome. W kartach były tylko ogólne informacje, które można sprowadzić do stwierdzenia, że choć chłopcy rozwijają się fizycznie dobrze, to prawdopodobnie wskutek zaniedbania „nie potrafią" i „nie rozumieją". Na szczęście na te szczegóły nie zwróciliśmy uwagi.

Na pierwsze spotkanie pojechaliśmy z panią Anią Lipską z Ośrodka. Napięcie sięgało zenitu, kiedy oczekiwaliśmy na wejście chłopaków. Okazało się, że pięcioletni wówczas Kuba i niespełna czteroletni Jacek są równie spięci, jak my. Na początku spotkania, by dodać sobie odwagi, trzymali się razem, nie odstępując od siebie i kontaktując się głównie między sobą. Po godzinie starszy pokazał mężowi środkowy palec, a kiedy odjeżdżaliśmy, na pytanie, czy chcą, byśmy jeszcze przyjechali, stwierdził, że nie. A jednak wyjechaliśmy uskrzydleni.

Ze względu na dzielącą nas dużą odległość, po kolejnych odwiedzinach – oczekując na wyrok sądu – dostaliśmy pozwolenie na styczność, czyli zabranie chłopców do naszego domu. Te odwiedziny przebiegały

dużo bardziej serdecznie, chłopcy nie odstępowali nas na krok i pytali, czy nie odjedziemy bez nich. Ostatnią noc w domu dziecka pozwolono nam spędzić razem. Dzieci nie zdawały sobie sprawy ze wszystkich szczegółów i po prostu nie rozumiały całej sytuacji. Kuba całą noc przeszlochał.

Podekscytowani dotarliśmy wreszcie do naszego wspólnego już domu. Pokazaliśmy chłopcom ich nowy pokój, zabawki. Pierwsze dni były cudowne, a dzieci „grzeczniusieńkie". Po jakiś dwóch tygodniach sytuacja zaczęła się zmieniać. Chłopcy robili się coraz bardziej agresywni, na jakąkolwiek odmowę reagowali albo agresją, albo wycofaniem się w głąb siebie (brak kontaktu wzrokowego, brak komunikacji), nie słuchali się. Sytuacje konfliktowe natychmiast ich jednoczyły: łapali się za ręce, prowokowali śmiechem. Muszę przyznać, że nie było to łatwe. Na początku byłam cała poobijana, bo starszy okazał się całkiem silny, a w złości potrafił nawet rzucać krzesłami. W mężu chłopcy rozpoznali silniejszą osobowość, a „nową mamę" postanowili wypróbować jako łatwiejszy przypadek.

Nieraz myśleliśmy, że na rodziców po prostu się nie nadajemy… Do tego dochodziły problemy z podstawowymi brakami chłopców. Kubuś miesiąc po przyjeździe musiał iść do przedszkola, a nie znał nazw kolorów, nie umiał trzymać kredki w ręce, nie liczył do trzech. Tuż przed pójściem do przedszkola, kiedy rozmawialiśmy o tym, że tam będzie chodził, zakomunikował nam, że idzie do przedszkola i już do nas nie wróci. Byliśmy w szoku, zaczęliśmy mu tłumaczyć, że przecież wróci, że bardzo byśmy tęsknili i płakali, ale on konsekwentnie i bez żadnej złości mówił, że nie wróci…

Dopiero po kilku dniach zrozumieliśmy, że w jego głowie przedszkole jest kolejnym etapem: stary dom,

dom dziecka, my, przedszkole. To będzie kolejne miejsce, do którego zostanie przewieziony – takie życie… Jacek w ciągu dnia radził sobie lepiej, choć kiedy coś mu się nie podobało, często wpadał w histerię i rozbierał się do naga albo klął. W nocy męczyły go koszmary. On jednak był w lepszej sytuacji, bo nie pamiętał pierwszego domu, nie poszedł od razu do przedszkola, pamiętał mniej, a jednocześnie miał więcej czasu, by to sobie w małej główce poukładać.

Kuba obarczony był jeszcze jednym problemem. Chłopcy mieli młodszego brata, który razem z nimi został odebrany matce. Kuba i Jacek trafili razem do domu dziecka, a mały braciszek do rodziny zastępczej. Kuba, choć od półtora roku z nim się nie widział – w domu dziecka mówili, że nie wspominał ani słowem o starej rodzinie – doskonale pamiętał „dzidzię" i cały czas planował powrót do „starego domu", by móc opiekować się „dzidzią, która ryczy". W sklepie szukał mleka, pampersów i małych ubranek, bo dzidzia ich nie ma. Na nic zdały się nasze wyjaśnienia, że teraz to tu jest jego dom. Dopiero pani Ania wyjaśniła nam, że ta jego odpowiedzialność za młodszego brata blokuje jego przywiązanie się do nas. Przecież nie może się z nami wiązać, bo na niego czeka małe dziecko, którym musi się opiekować! Kuba miał wtedy pięć lat! Zgodnie z sugestią pani Ani, wyjaśniliśmy mu, że ich brat nie jest już malutką dzidzią, tylko chłopcem, który umie mówić, biegać i - tak jak oni – ma już nowych rodziców i nowy domek. Już nie płacze i jest wesoły, tak jak oni. Następnym razem Kuba zapytał o brata po dwóch miesiącach i nie planował już swojej wyprowadzki.

Ich brat został adoptowany przez rodzinę z Warszawy. Znamy się i jesteśmy przyjaciółmi. Chłopcy odwiedzają swojego młodszego brata. Mamy nadzieję, że te wspólne relacje pomogą całej trójce w przyszłości zmierzyć się ze swoją skomplikowaną historią.

Chłopaki są z nami już prawie dwa lata. Moglibyśmy opowiadać szereg historii, tych śmiesznych i tych mniej zabawnych. Dopiero teraz, kiedy o tym myślimy, zdajemy sobie sprawę z tego, że ich początkowa agresja to był objaw niesamowitego strachu i niepewności. Jacyś nowi nieznani ludzie, „tata" i „mama", wywieźli ich w nowe miejsce, oni nie mieli pojęcia, czego się można po nas spodziewać, a jednocześnie nie mieli na to żadnego wpływu. My też potrzebowaliśmy trochę czasu, by przyzwyczaić się do ciągłego chaosu i hałasu. W końcu przez sześć lat życia we dwójkę już zdążyliśmy je sobie poukładać.

Teraz widzimy, jak długą drogę przeszliśmy razem. Z pewnością jeszcze wiele przed nami, jednak możemy powiedzieć, że jesteśmy kochającą się rodziną. Kuba sam z siebie bardzo często mówi nam, że nas kocha, a Jacek nawet w przyszłości planuje się ze mną ożenić!

Podwójne obowiązki – podwójna radość

Jesteśmy rodzicami dwójki wspaniałych chłopców w wieku dwa i pół oraz trzy i pół roku. A wszystko zaczęło się od ślubu – a nawet wcześniej – myślą, że chcemy mieć dzieci. To był plan. Ale plany weryfikuje życie. Sprawa upragnionego rodzicielstwa wciąż czekała na spełnienie. Tułaliśmy się od lekarzy do innych lekarzy, nasze nastroje zmieniały się: była nadzieja, chwytanie się nowych pomysłów, gniew, złość na siebie, na innych i na Pana Boga, że wciąż nie mamy dzieci. Wreszcie, uznając swoją bezradność, zawierzyliśmy te sprawy Bogu, mając na uwadze, że znajdzie dla nas dobre rozwiązanie.

Po wspólnym namyśle mąż zadzwonił do Katolickiego Ośrodka Adopcyjnego (KOA), aby umówić spotkanie. Tuż przed Bożym Narodzeniem rozpoczęliśmy kurs, który pozwolił nam poznać, czym jest adopcja, jakie są jej aspekty prawne, nasze oczekiwanie na dziecko i jakie są potrzeby samego dziecka. Były również tematy z zakresu pielęgnacji, wychowania i opieki nad dzieckiem. Nasze comiesięczne spotkania w Ośrodku uświadomiły nam, że nie jesteśmy z tym problemem sami. Oprócz nas w kursie uczestniczyło kilkanaście podobnych nam par małżeńskich pragnących dziecka. Wreszcie odzyskaliśmy spokój, że tym razem się uda i staniemy się rodzicami.

Czas płynął i ani się nie obejrzeliśmy, kiedy w czerwcu kurs został przez nas ukończony. Jesień to czas kwalifikacji, którą uzyskaliśmy. Pozostało nam tylko czekać na telefon. Zgłosiliśmy w Ośrodku, że jesteśmy gotowi przyjąć dziecko w wieku do 1,5 roku (braliśmy też pod uwagę rodzeństwa czyli w tym przypadku raczej bliźniaki). Czekanie trochę się dłużyło, ale zimą wszystko potoczyło się błyskawicznie. Telefon, umówione spotkanie w Ośrodku i....okazało się, że czeka na nas dwóch synków – rodzeństwo w różnym wieku: czternasto- i dwumiesięczny chłopczyk.

Po wspólnym namyśle zdecydowaliśmy, że rodzeństwo będzie razem, a my z nimi. Tydzień po telefonie odwiedziliśmy w placówce naszego czternastomiesięcznego synka. Był tak rozbiegany, że ani razu nie stanął w miejscu, a nas początkowo traktował jak kolejne meble w pokoju. Powoli zaczęliśmy się poznawać i zdobywać jego zaufanie.

Rodzina i znajomi zareagowali z dużą życzliwością na naszą decyzję. Rozpuściliśmy wici, że nasza rodzina się powiększa, co dało efekt w postaci szybkiej zbiórki niezbędnych rzeczy. Adrenalina nam skoczyła tak, że praktycznie nie spaliśmy, w nocy myśleliśmy, co trzeba jeszcze załatwić, w ciągu dnia załatwialiśmy sprawy formalne, odwiedzaliśmy dzieci, a wieczorami jeździliśmy do znajomych, którzy dzwonili, że mają dla nas potrzebne rzeczy. Braliśmy wszystko, co dawali, a efekt był taki, że różnych rzeczy mieliśmy w nadmiarze (np. zorientowaliśmy się, że mamy dwa łóżeczka i trzy materacyki do nich).

Już po około trzech dniach od pierwszego spotkania starszy synek był u nas w domu, natomiast młodszego odwiedzaliśmy w Interwencyjnej Placówce Opiekuńczej (IPO). Po około dwóch tygodniach, mając wymagane zgody, mały dwumiesięczny dzidziuś zagościł u nas w domu. Jakie było zdziwienie starszego synka, gdy zobaczył nas wchodzących z maleństwem na rękach! Zrobił wtedy naprawdę „wielkie oczy".

Dziś, z perspektywy ponad dwóch lat, widzimy, że nasze życie zmieniło się diametralne. Dzieci od pierwszych chwil napełniły nasz dom radością, ale i hałasem, i rozgardiaszem. Nie ukrywamy, że początki były ciężkie, głównie ze względu na zmęczenie fizyczne. Czasem padaliśmy z wyczerpania, ale to przy dzieciach wyzbywaliśmy się naszego egoizmu. Nocami często, to mąż był „nocną matką karmiącą", kiedy żona próbowała odespać „upojny" dzień spędzony z dwójką dzieci.

Na szczęście nasze dzieci bardzo szybko powychodziły z różnych chorób i dolegliwości zdrowotnych, z którymi do nas trafiły. Rosną i rozwijają sie prawidłowo. Starszy synek od września tego roku chodzi do przedszkola i z powodzeniem sobie radzi, młodszy rozpocznie edukację przedszkolną za kilka miesięcy.

Tym, co rozmyślają o adopcji, chcemy powiedzieć, że przecież i Pan Jezus został zaadoptowany przez św. Józefa. Słowa przysięgi małżeńskiej, mówią o przyjęciu i wychowaniu po katolicku potomstwa. A to, czy dzieci będą z „brzuszka", czy też z „serduszka", jest kwestią drugorzędną.

LA MIA STORIA

Mi chiamo Anisoara e come tutti già saprete io sono la figlia di Angelo De Vita.

Io sono stata abbandonata a quattro anni con due sorelle, una di due anni e 1'altra di un anno dopo che mia madre morì.

Arrivata all'orfanotrofio io non sapevo come sarebbe stata la mia vita e se avessi saputo vivere in mezzo a tutto quell'odio che le inservienti mostravano anche se a me non importava tanto perché come tutti i bambini abbandonati anche io con il tempo imparai a fare la forte nascondendo le spine che avevo nel cuore.

Ho imparato così a farmi rispettare dagli altri e allo stesso tempo mi dedicavo alle mie sorelle. Cercavo di fare il possibile per vederle un po'serene, contente, perché quando non si ha nessuno basta una piccola illusione o una carezza per essere felici, ma se vedevo nel loro viso un velo di tristezza come una bambina, perché in realtà non ero che questo, mi rifugiavo in camera a piangere e a domandarmi dove avevo fallito.

Quando sono venuta in Italia ho avuto tanti problemi; per prima cosa il comunicare con i miei nuovi genitori ma ciò che mi spiazzò del tutto era il fatto che avevo delle regole da rispettare e ciò significava lasciare la regola del più forte.

Faticando sono riuscita ad entrare nell'ottica della famiglia anche se non ero del tutto felice.

Mia sorella Michaela era rimasta in Romania. Ero consapevole che era quasi impossibile farla venire, mio padre non mi ha mai illuso ma mi ha sempre trattata come un'adulta e ciò l'ho sempre apprezzato.

Guardavo me stessa allo specchio e mi sentivo incompleta e passavo le mie giornate con un cellulare giocattolo in mano facendo finta di parlare con mia sorella ancora troppo lontana da me.

Ho pregato tanto e infine il mio desiderio si è avverato, mia sorella stava venendo in Italia. Non potete immaginare la gioia quando mio padre mi diede la notizia, infatti la prima persona in assoluto a cui mio padre disse la buona novella non fu mia madre ma bensì io, una bambina di soli 10 anni.

L'anno scorso io ho compiuto 18 anni e per un attimo il mio pensiero si è rivolto a tutti quei bambini che non hanno la fortuna di trovare dei genitori perché molte persone egoiste li considerano troppo grandi per colmare il loro bisogno di maternità e, purtroppo, restano lì senza calore e con l'odio nel cuore.

L'adozione è un atto d'amore e l'amore non ha limiti di età e non dovete scambiare la maternità biologica con quella del cuore perché sono due vie completamente diverse che portano alla stessa meta, la formazione di una famiglia in cui i membri si rispettano tra di loro per quello che sono e non per quello che potevano essere.

Mi rivolgo soprattutto alle coppie che sono ancora in attesa di adozione, non abbiate paura ad accogliere nella vostra famiglia dei bambini più grandi e rispettateli per quelli che sono considerando la loro storia come una ricchezza e non un qualcosa da cancellare.

Vorrei aggiungere un ultimo pensiero, quando avevo 14 ani e ritornavo a casa piangendo perché alcuni elementi della mia classe non mi vedevano come un „Italiana" ma bensì come una straniera „Rumena", tutte queste volte mio padre prendendomi in braccio mi ripeteva sempre una piccola frase che adesso voglio condividerla con voi:

I FIGLI NON SONO DI COLORO CHE LI FANNO MA DI COLORO CHE LI AMANO, CHE LI ACCETTANO E CHE LI AIUTANO A FARSI UN FUTURO.

MOJA HISTORIA

Nazywam się Anisoara i jak zapewne już wiecie, jestem córką Angelo De Vita.

Kiedy miałam cztery lata, po śmierci mojej mamy zostałam porzucona razem z dwiema młodszymi siostrami. Jedna miała dwa lata, druga rok.

Kiedy przyjechałam do domu dziecka, nie wiedziałam, jak będzie wyglądać moje życie i czy będę umiała żyć w tej atmosferze nienawiści, jaką okazywali nam pracownicy. Nie bardzo się tym jednak przejmowałam, bo jak wszystkie porzucone dzieci z czasem nauczyłam się tego, a ból skrywałam w sercu.

Nauczyłam się, jak wymagać szacunku od innych, a jednocześnie zajmowałam się moimi siostrami. Starałam się zrobić wszystko, aby zobaczyć, że są szczęśliwe i zadowolone. Bo kiedy nie masz nikogo, wystarczy złudzenie, jakiś pieszczotliwy gest, aby poczuć się szczęśliwym. Ale kiedy widziałam na ich twarzach chociaż cień smutku, to jak mała dziewczynka – bo w rzeczywistości nią byłam – uciekałam do swego pokoju, tam płakałam i zadawałam sobie pytanie: dokąd ja trafiłam?

Kiedy przyjechałam do Włoch, miałam mnóstwo problemów. Przede wszystkim z porozumiewaniem się z moimi rodzicami, ale najbardziej wyprowadzały mnie z równowagi zasady, których musiałam przestrzegać, a to oznaczało, że musiałam zapomnieć o prawie silniejszego.

Z trudem wkroczyłam w optykę rodziny, jednak nie byłam do końca szczęśliwa. Moja siostra Michaela została w Rumunii. Miałam świadomość, że sprowadzenie jej było wręcz niemożliwe. Mój ojciec nigdy nie robił mi złudzeń, zawsze traktował mnie jak dorosłą i zawsze to sobie ceniłam.

Patrzyłam na siebie w lustrze i czułam się niepełna, pozbawiona czegoś. Całe dnie spędzałam z telefonem zabawkowym w dłoni, udając, że rozmawiam z moją siostrą. Gorąco się modliłam. Wreszcie moje pragnienie się spełniło – moja siostra miała przyjechać do Włoch. Nie możecie sobie wyobrazić, jak bardzo się cieszyłam, kiedy mój ojciec o tym mi powiedział. To ja byłam pierwszą osobą, której oznajmił tę dobrą nowinę, nie mojej matce, ale mnie – dziesięcioletniej dziewczynce.

W zeszłym roku skończyłam 18 lat i przez chwilę wróciłam myślą do wszystkich tych dzieci, które nie miały tyle szczęścia, żeby znaleźć rodziców, bo jacyś egoistycznie myślący ludzie uznali je za zbyt duże, aby zaspokoić swoje pragnienie macierzyństwa. I tak niestety pozostają bez miłości, z nienawiścią w sercu.

Przysposobienie jest aktem miłości, a miłość nie ma granic wiekowych. Nie można też mylić biologicznego macierzyństwa z macierzyństwem serca, bo to dwie całkiem różne drogi prowadzące do jednego celu: stworzenie rodziny, gdzie wszyscy się szanują za to, kim są, a nie za to, kim mogliby być.

Zwracam się przede wszystkim do małżeństw, które czekają na przysposobienie: nie bójcie się przyjąć do waszej rodziny starszych dzieci, szanujcie je za to, kim są, traktujcie ich historię jako bogactwo, a nie jak coś, co należy wymazać.

Na zakończenie chciałabym coś dodać. Kiedy miałam 14 lat i wracałam do domu z płaczem, bo niektórzy moi koledzy nie traktowali mnie jak Włoszkę, ale jak Rumunkę, za każdym razem tata mnie przytulał i powtarzał to jedno zdanie, którym chcę się z W podzielić:

JEST SIĘ DZIECKIEM NIE TEGO, KTO CIĘ WYDAŁ NA ŚWIAT, ALE TEGO, KTO CIĘ KOCHA, KTO CIĘ AKCEPTUJE, KTO CI POMAGA I KTO STWARZA CI PRZYSZŁOŚĆ.

ŚWIADECTWO **RODZICÓW**

Jesteśmy szczęśliwą rodziną. Mamy obecnie troje dzieci. Trzy lata temu zdecydowaliśmy się adoptować dziecko, mając już dwie własne córeczki. Dla naszej rodziny była to ważna i radosna decyzja. Starsza córka, która miała wówczas 10 lat, nie mogła doczekać się chwili, kiedy przyjmiemy do domu malucha. Młodsza, zaledwie dwulatka, z każdym miesiącem była coraz bardziej świadoma, że przybędzie do nas młodsze od niej dziecko.

Niezapomniane pozostanie dla nas pierwsze spotkanie z naszym adoptowanym synkiem – obecnie już dwulatkiem. Tego dnia każda z dziewczynek wzięła na kolanka swojego małego braciszka i przytulała go najczulej jak umiała.

Dziś, z perspektywy dwóch lat możemy powiedzieć, że jesteśmy oczywiście bogatsi o doświadczenie procesu adopcji, ale nasza rodzina jest nadal jedną z wielu normalnych, cieszących się życiem, rodzin katolickich. Fakt, że najmłodsze jest adoptowane, tym bardziej motywuje nas do dzielenia się ciepłem rodzinnym.

Z dnia na dzień przekonujemy się, że dzieci są dla rodziców darem od Pana Boga na miłowanie i wychowanie. Staramy się pielęgnować wśród naszych pociech poczucie, że każde z nich jest dla nas równie ważne. Codzienność pokazuje, że są chwile, kiedy mama lub tata wygląda jak jabłoń obwieszona owocami, bo w jednej chwili cała trójka wciska się na kolana lub wiesza się na szyi, ale tak naprawdę daje nam to jeszcze większą siłę. Pomimo wielu obowiązków domowych i zawodowych, dbamy o pogłębianie naszej wiary, zarówno rodziców, jak i dzieci, poprzez modlitwę, msze św., rozważanie Biblii, czy spotkania wspólnoty. Dla nas najcenniejsze jest przede wszystkim wzajemne przebywanie ze sobą, rozmowy i dyskusje, a także zabawy, a wręcz wspólne dziecięce szaleństwa, bo dzięki temu jesteśmy sobie coraz bliżsi.

Wiele osób pyta nas: przyjęliście do rodziny obce dziecko, czy nie macie problemu, że własne będziecie kochać bardziej, albo odwrotnie? Z naszego doświadczenia wynika, że gdy w rodzinie z własnymi dziećmi jest dużo miłości, a warunki materialne i finansowe są dobre, zawsze znajdzie się miejsce dla dziecka, którego mama biologiczna nie mogła wychować. Jeśli rzeczywiście staramy się uzmysłowić sobie, że dziecko jest darem od Boga, fakt, że trafiło ono do rodziny, jako owoc małżeńskiego aktu poczęcia czy owoc adopcji nie ma znaczenia. Problemy wychowawcze są z każdym dzieckiem. Nad wychowaniem każdego muszą pracować rodzice.

Według nas, istotną rolę pełni również starsze rodzeństwo, bo to ono z czasem staje się autorytetem dla młodszych. Bardzo dużym wsparciem dla nas jest najstarsza córka, która dzięki swej troskliwości i odpowiedzialności, potrafi wspaniale spędzać czas z rodzeństwem. Ponadto wydarzenia takie jak: choroby dzieci, wspólne wakacje czy problemy szkolne pomagają nam jeszcze bardziej scalić rodzinę.

Dla tych, którzy mają wątpliwości czy przyjąć adoptowane dziecko, mając już własne, chcielibyśmy powiedzieć za słowami Jana Pawła II: „Nie lękajcie się", bo dzieci czekają. Jak w większości rodzin będą wzloty i upadki, ciężka praca i poczucie, że serce Wam rośnie.

Rodzice trójki pociech

PS. Biorąc powyższe pod uwagę oraz wierząc przysłowiu, że „Szczęście chodzi parami", podjęliśmy starania o kolejne nasze dziecko adoptowane.
Marzec 2009 r.

• • •

Kolejną decyzję o adopcji podjęliśmy szybko, ale w międzyczasie dojrzeliśmy, że powinniśmy starać się o dziecko większej troski. Wiedzieliśmy, że są chore dzieci, które jeszcze bardziej potrzebują nowej rodziny, domu, oparcia. Byliśmy gotowi, a jednak, gdy otrzymaliśmy propozycję dziecka, nogi się pod nami ugięły. Tydzień walczyliśmy ze sobą, modląc się o właściwą decyzję. Jednak po rozmowie z gronem lekarzy w IPO, w jednej chwili spojrzeliśmy na siebie i wiedzieliśmy, że to na pewno jest nasza córeczka. Będziemy ją rehabilitować, aby mogła sprawnie chodzić i władać chorą rączką. Nasze starsze dzieci przyjęły swoją najmłodszą siostrzyczkę wspaniale. Słowa, jakie wtedy padały w domu to: „ona jest taka słodka", „nasza najmaleńsza", „moja Pysia", „już dobrze – jesteś z nami", a nasza najmłodsza pociecha odpowiadała prześlicznym uśmiechem i tak jest codziennie. Dziś jesteśmy jeszcze szczęśliwsi. Mamy już czwórkę: trzy dziewczynki i jednego synka.

Rodzice czwórki pociech
Sierpień 2009 roku

ŚWIADECTWO **SIOSTRY**

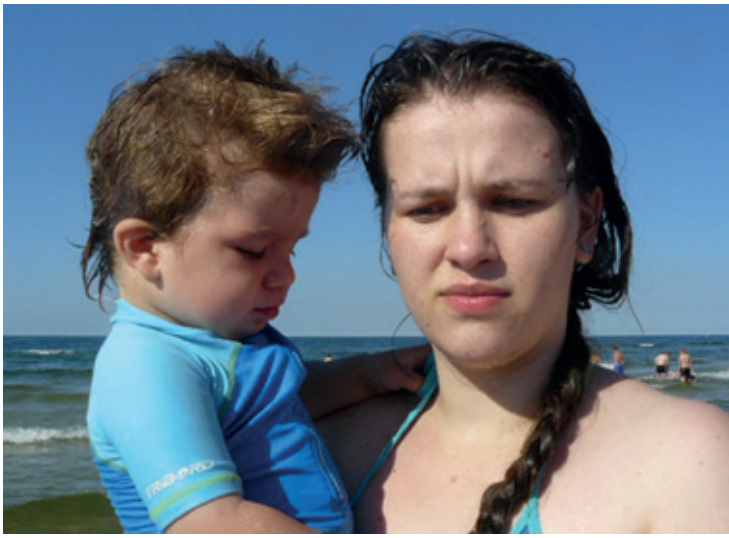

Jestem szczęśliwą 13–letnią siostrą dla trojga mojego młodszego rodzeństwa. Długo, bo aż osiem lat, musiałam czekać na pierwszą rodzoną siostrę. Gdy miałam 10 lat, rodzice zapytali mnie: czy chciałabym mieć adoptowane rodzeństwo? Odpowiedziałam: tak.

Jednak przy pierwszej adopcji nie byłam pewna, czy podołam temu zadaniu. Jeszcze wtedy nie wiedziałam, że będę miała malutkiego braciszka, choć na początku spodziewałam się, że będzie to siostra w moim wieku.

Natomiast w trakcie drugiej adopcji – mojej najmłodszej siostrzyczki, która wymaga rehabilitacji – zadawałam sobie wiele pytań, tj.: czy rodzice będą mieli czas dla moich sióstr, brata i dla mnie, wtedy, gdy będę szła do nowej szkoły – gimnazjum? Czy ja będę miała czas dla koleżanek? Czy rodziców będzie wtedy stać na zagraniczne wakacje? itp.

Obecnie mogę powiedzieć, że bycie siostrą dla adoptowanego rodzeństwa jest rzeczą wspaniałą, ponieważ w ten sposób można okazywać miłość tym, którzy jej nie doświadczyli w przeszłości, nie licząc Pana Boga. Codziennie, gdy rano budzę moje siostrzyczki i braciszka, oni ślą mi tysiące uśmiechów. Dzięki nim, każdy dzień jest weselszy.

Gdybym teraz nie jeździła na adopcyjne msze św. do kościoła św. Floriana, zapomniałabym, że mam adoptowane rodzeństwo, bo tak bardzo, bardzo, bardzo je kocham.

Najstarsza siostra
Sierpień 2009 roku

SIEDMIORO WSPANIAŁYCH

Początek marca tego roku rozpoczęliśmy z nadzieją i ogromnym oczekiwaniem na kolejne, szóste już dziecko. Na telefon z ośrodka adopcyjnego byliśmy przygotowani w każdej godzinie, ale nie przypuszczaliśmy, że wszystko nabierze tak zawrotnego tempa.

Wróciliśmy z ferii zimowych, gdzie odwiedzaliśmy jeszcze bł. Jana Pawła II w Wadowicach, św. Faustynę w Łagiewnikach i patronkę naszej rodziny św. Ritę w Krakowie. Dwa dni później na spotkaniu z panią dyrektor Z. Dłutek i panią M. Romanowską otrzymaliśmy informację, że to drobniutki pięciomiesięczny chłopczyk z problemem FAS, wymagający zabiegu chirurgicznego. Tym razem, mimo faktu, że rozumieliśmy, z czym wiąże się opieka nad takim dzieckiem, (m.in. terapia wczesnej interwencji, dieta bardzo niskocukrowa i bezglutenowa), to od razu czuliśmy, że to nasz synek. Dwa dni później z trójką naszych dzieci jechaliśmy do Interwencyjnego Ośrodka Preadopcyjnego w Owocku, żeby zobaczyć nasze najmłodsze dziecko.

Była to przecież dla nas już czwarta adopcja, ale gdy wzięliśmy go w ramion, wzruszenie z jednej strony spowodowało łzy radości, a jednocześnie pragnienie natychmiastowego zabrania go do domu. Z powodu infekcji, jakie przechodziły tam niemowlęta, nasze starsze córki nie dostały zgody na wejście do placówki, jednak przez okienko mogły go zobaczyć. Wtedy nastąpiła pełna mobilizacja sił nas jako rodziny, p. Beaty Jasiorowskiej z KOA oraz p. dyrektor z IOP.

Cztery godziny później, po nieco złożonej logistyce, dokumenty w sprawie osobistej pieczy trafiły do biura podawczego w sądzie. Następnego dnia udało się zabrać naszego upragnionego, ślicznego i pogodnego synka do domu. Dzieci przyjęły malucha jak „małego króla". Każde, łącznie z naszym niespełna trzylatkiem, chciało go przytulać i brać na ręce.

Najszczęśliwszy był nasz najstarszy syn, który modlił się o braciszka. On potrzebował „żeby było sprawiedliwie: trzy siostry i trzech braci". Zwłaszcza, że maluch miał być razem z nim w pokoju i jest do niego bardzo podobny.

I wszystko byłoby pięknie, ale spokoju nie dawała nam wiadomość otrzymana podczas pierwszego spotkania dotyczącego synka. Dowiedzieliśmy się wtedy, że gdzieś w domu dziecka czeka jego starsza siostra, która z bliżej nieokreślonej przyczyny nie ma jeszcze uregulowanej sytuacji prawnej. Wydawało się to jeszcze odległe w czasie. Dopiero dostosowywaliśmy się do nowej sytuacji. Odbywaliśmy pierwsze wizyty u lekarzy specjalistów. Sądziliśmy, że nocne wstawanie do najmłodszego i jego potrzeby emocjonalne, plus codzienność z piątką pozostałych dzieci na tyle nas pochłonie, że nie będzie miejsca na myśl o kolejnym dziecku.

A tu okazało się, że maleństwo jest bardzo pogodne, przesypia całe noce, chętnie je, nie płacze, a jedynie jest wytchnieniem dla każdego członka rodziny w jego słabszych momentach. On zawsze się uśmiecha, jakby rozumiał, że taka jest jego rola.

Z dzisiejszej perspektywy możemy powiedzieć, że on jakby swoim cichym, nieabsorbującym zachowaniem przygotowywał miejsce swojej siostrze.

Wielkim zaskoczeniem dla nas była otrzymana miesiąc później informacja, że sytuacja prawna małej się krystalizuje i za kilka tygodni będzie mogła być

adoptowana. Oczywiście, jak powiedziała p. Beata, mamy pierwszeństwo w przysposobieniu jej, ale powinniśmy się nad tym zastanowić, żeby nie przerosło to naszej rodziny. Co mieliśmy robić? Modliliśmy się gorąco i pytaliśmy Pana Boga, czy to dla nas? Podsumowaliśmy: logistykę rodzinną da się ułożyć, jeśli wyślemy trzylatka do przedszkola, ubranka dla dziewczynki najmłodszej w rodzinie już są, miejsce w domu na kolejne łóżeczko jest. Dzieci na wieść o kolejnym dziecku, a zwłaszcza o siostrze, są bardzo otwarte, a ponadto najmłodszy nie sprawia żadnego problemu. Prawdę mówiąc, starsze siostry wcześniej bardziej modliły się o młodszą siostrzyczkę, a tu przyszedł tylko braciszek.

W efekcie podjęliśmy decyzję o naszej gotowości na przyjęcie najmłodszej tym razem dwuletniej córeczki.

Od tej chwili ilość i tempo wydarzeń jeszcze bardziej wzrosło. Przygotowania do świąt, wizyta p. dyrektor i p. Beaty z ośrodka adopcyjnego w naszym domu, święta Wielkanocne z szóstką dzieci, zaraz po świętach pobyt z małym synkiem w szpitalu na chirurgii, przygotowanie drugiego synka – średniaka do przedszkola, stres – jak sobie da radę w przedszkolu, potem kwalifikacja naszej rodziny do przysposobienia siostrzyczki biologicznej naszej najmłodszej pociechy.

Wreszcie dzień pełen silnych emocji – pierwsza wizyta w domu dziecka, w tym spotkanie z dyrektorem, psychologiem i opiekunem prawnym, a następnie z naszą najmłodszą córeczką. To wszystko w ciągu niespełna trzech tygodni, a przy tym na dworze zimno, deszcze i pytanie, kiedy w końcu przyjdzie wiosna? Może z latem?

Wiedzieliśmy, że dziewczynka jest zdrowa, ale ma silną chorobę sierocą, która daje się we znaki zwłaszcza w nocy. Uprzedzono nas, że przy pierwszym widzeniu może przywitać nas płaczem lub wycofaniem. I w końcu ona – malutka, śliczna, figlarna i chętna do zabawy – po prostu nasza. Znowu gorące pragnienie zabrania jej od razu do domu. A tu trzeba czekać na domknięcie formalności prawnych, przestawić rodzinę na tryb codziennych odwiedzin w domu dziecka. Wydawało się, że będzie bardzo trudno, ale otwartość i serce dla dzieci ze strony pracowników domu dziecka sprawiły, że czas ten wspominamy jako błogosławiony.

Pogoda się poprawiła. Każdy członek rodziny, tak często, jak tylko mógł, odwiedzał „małą księżniczkę w zamku". Szczególnie siostry były gotowe zrezygnować ze swoich zajęć, aby móc do niej pojechać.

Ku naszemu zaskoczeniu i pewnie również pracowników placówki, przy silnym wsparciu p. Beaty i opiekuna prawnego małej, udało się złożyć dokumenty w sądzie i całą rodziną następnego dnia pojechaliśmy po naszą córeczkę, żeby zabrać ją nareszcie do domu. Wówczas doświadczyliśmy kolejnego wyzwania. Odbył się krótki poczęstunek pożegnalny dla dzieci z oddziału i powinniśmy już wychodzić. Jednak dzieciom trudno było rozstać się z nią, a nam serce się krajało, że tylko ją mogliśmy zabrać. Zamieszanie związane z naszymi synami pozwoliło skoncentrować się na szybkim opuszczeniu placówki.

Dziś mamy siedmioro wspaniałych dzieci, w tym jedną pełnoletnią córkę, drugą nastolatkę, troje przedszkolaków i dwoje maluchów. Pogoda jest rewelacyjna i odzwierciedla naszą radość – upały 25-30° C. Ogród zapuszczony, ale kipi kwiatami i zielenią. Dzieci ką-

Rodzina (…) jest prawdziwym sanktuarium życia (…) miejscem, w którym życie może w sposób właściwy być przyjęte i chronione (…). Niezależnie od związków ciała i krwi, prawdziwa miłość ojcowska i macierzyńska gotowa jest przyjąć także dzieci pochodzące z innych rodzin, obdarzając je tym wszystkim, co jest im potrzebne do życia i pełnego rozwoju.

/Jan Paweł II z *Evangelium vitae*/

pią się w ogrodzie. Jest pięknie. Wiadomo, że przyjdą znowu deszcze i wiatry, może mróz i śnieg, ale nasza rodzina jest teraz większa i silniejsza, bo sporo wspólnie przechodzimy i to nas buduje. Wszystko oddajemy dobremu Bogu, bo co sami możemy?

Na koniec chcieliśmy podziękować wszystkim, których spotkaliśmy na naszej adopcyjnej drodze, za wszystkie gesty wsparcia, konkretne działania, modlitwę, ale też za słowa ostrzeżenia, które sprowadzają nas na ziemię. Bez zrozumienia, ogromnej wrażliwości i zaangażowania dyrekcji i pracowników KAO, IOP w Otwocku, domu dziecka w Warszawie oraz sędziów z wydziałów rodzinnych nie byłoby tak pozytywnego scenariusza naszych adopcji, a tym samym szczęścia dzieci i rodziców.

My, rodzice, dedykujemy również ten tekst naszym kochanym dzieciom, poczynając od Oliwii, której pomoc jest nieoceniona, Amelce – za jej troskę o maluchy, Ricie – za matczyne odruchy, Kornelowi – za opiekę nad najmłodszym, Ernestowi za rozbawianie całej rodziny oraz Bernardowi i Stelli za uśmiech i pogodę, jaką wnieśli do naszego domu.

Warszawa, maj 2014 roku

Naszym wspólnym pragnieniem była liczna rodzina. Od początku powierzaliśmy to Bogu, gdyż wiedzieliśmy, że bez tego nasze plany mogą pozostać tylko planami. Znane przysłowie mówi, że jeżeli chcesz rozśmieszyć Pana Boga, opowiedz Mu o swoich planach.

A jednak planowaliśmy...

BYĆ **TATĄ**

MÓJ PLAN

Jednym z moich planów na przyszłość z Anią były dzieci – mieć kilkoro rodzonych, a w późniejszym czasie jedno adoptować. Po cichu myślałem jednak, że może się okazać, że z *własną* dwójką będzie na tyle dużo pracy, że temat adopcji zwyczajnie rozejdzie się po kościach. Przecież jest tyle innych rodzin bardziej potrzebujących niż my. Plany były aktualne do pierwszej mojej wizyty u lekarza... Jedno badanie, potem kolejne. Diagnoza i cios... Pozostałem z pytaniem: Boże, dlaczego? Czy to kara? Nagle mężczyzna przestaje się czuć w pełni mężczyzną – staje się taki samotny... Jak przyjąć świadomość, że może nigdy nie dam życia dziecku??? Przecież prawdziwy mężczyzna musi spłodzić syna, posadzić drzewo i wybudować dom. Dotychczas nie zdawałem sobie sprawy, ile zakorzeniono w nas raniących przekonań. Wtedy życie okazało się o wiele bardziej okrutne niż je sobie wcześniej wyobrażałem. Jedną z osób, które wówczas okazały mi prawdziwe wsparcie, był mój brat.

Pomocą w kolejnych trudnych chwilach był dla mnie ziemski opiekun Jezusa, św. Józef. To właśnie on powinien być patronem rodzin adopcyjnych, a szczególnie ojców adopcyjnych; Sam przygarnął Jezusa, niejako adoptował Go. Wtedy też jak błyskawica powróciła do mnie myśl, że Bóg uznał, iż mam być tatą, ale w trochę inny sposób, nie tak, jak większość. Wierząc w Boga, wybieramy często tę trudniejszą ścieżkę życia. Święty Józef przyjął DAR BYCIA OJCEM i wypełniał go do końca swoich dni.

BOŻY PLAN

Zacząłem się oswajać z planem Boga wobec mnie, mając przy tym duże wsparcie od żony. Zgłosiliśmy się do KOAO i od stycznia 2011 r. uczestniczyliśmy w kursie przygotowującym do adopcji. W jego trakcie odbyliśmy rekolekcje dla rodzin bezdzietnych, organizowane przez Domowy Kościół. To podczas nich utwierdziliśmy się w decyzji, że adopcja jest naszym powołaniem. **Ostatnio Ania zauważyła, że właśnie wtedy, w czasie rekolekcji, dosłownie w tym samym dniu, kiedy podejmowaliśmy decyzję na TAK, w innym mieście 300 km od nas przyszedł na świat NASZ SYN. To jest kolejny dowód na to, że Bóg spełnia nasze marzenia, zanim jeszcze jesteśmy na nie gotowi. Spotkać się mieliśmy dopiero za 10 miesięcy…**

WYZWANIE, KWALIFIKACJA

W całym procesie adopcyjnym największym wyzwaniem była dla mnie ostatnia wizyta pani psycholog u nas w domu, podczas której mieliśmy potwierdzić cechy naszego przyszłego dziecka – kolor skóry, płeć, choroby. Przecież jak dziecko się rodzi, to przyjmuję je takie, jakie Pan Bóg daje... a tutaj mam wybierać?

Dzięki kursowi zrozumiałem, że zawsze należy mówić o tym, na co jest się gotowym, a na co nie, gdyż dziecko było już raz odrzucone i teraz musi być w peł-

ni przeze mnie zaakceptowane. Oboje z żoną byliśmy otwarci na wszelkie choroby, które są uleczalne, kolor skóry był dla nas obojętny, odległość dojazdu do dziecka przed adopcją nie miała znaczenia. W głowie ciągle myśl o św. Józefie.

Za jakiś czas telefon z Ośrodka, że otrzymaliśmy kwalifikację i jesteśmy na liście rodzin oczekujących na dziecko. Kilka dni później nagła śmierć mojego brata. Przez kilkanaście tygodni nie było czasu na myślenie o oczekiwaniu, a może wtedy tym bardziej pragnąłem, aby na wyświetlaczu komórki pojawił się numer z KOAO, jako promyk radości w tym przemijającym życiu.

„TEN" TELEFON I SPOTKANIE

Środek lata, poniedziałek, jestem w biurze. Nagle telefon od żony: „Dzwonili z Ośrodka z pytaniem, kiedy możemy ich odwiedzić...". Za 40 minut byliśmy już w KOAO. Nie pamiętam dokładnie, co pani psycholog wtedy mówiła: że ma inny kolor skóry, że jest wcześniakiem, że ma 10 miesięcy, że może być chorowity, że jest 480 km od Warszawy.

Ale ja chcę go zobaczyć! Później informacja, że nie mają żadnego zdjęcia dziecka. Wyjazd dopiero w piątek. Ile można czekać!!! Na zewnątrz spokój, opanowanie, aby być przy żonie podporą, a w środku strach, jak to będzie, kiedy go pierwszy raz zobaczę. W końcu dzień wyjazdu. Na szczęście pojechała z nami pani Ania psycholog z KOAO. Całą drogę dodawała nam otuchy i bez przerwy nas zagadywała. Dzięki niej podróż stała się bardziej znośna, a przerażenie już tak nas nie paraliżowało. Czas oczekiwania na spotkanie z SYNEM był dla mnie takim czasem porodu, kiedy jedyną rzeczą, jaką mogę zrobić, jest chodzenie w kółko i czekanie.

Na drugi dzień rano pojechaliśmy na spotkanie. Serce w gardle, łzy w oczach... Pierwszy wziąłem Antka w ramiona. Jego spojrzenie i moja myśl: „Boże, jakiego pięknego syna mi dałeś. Tylko czy ja jestem na pewno gotowy...?"

OJCOWSKA DUMA

Dwadzieścia miesięcy później Antoś z radością biega wkoło i krzyczy: „Mamaa, tataa! Mama, tata!", podbiega, patrzy na mnie czarnymi oczami i w trzy sekundy rozbraja spojrzeniem i uśmiechem. Wtedy rozpiera mnie duma i myślę, jak cudownie być tatą. Te pierwsze miesiące były trudnym czasem wypełnionym pragnieniem, aby zbudować więź z Synem, aby nam zaufał. Gdy zasypia w moich ramionach, wiem, że czuje się przy mnie bezpieczny, a ja wiem, że chcę, aby mógł na mnie liczyć do końca mojego ziemskiego życia. Chociaż jestem świadomy tego, że najcięższy trud wychowania dopiero przed nami.

BYĆ **MAMĄ**

MÓJ PLAN

Myśl o adopcji pojawiła się w moim życiu już w liceum. Wtedy miałam taką wizję: dwoje dzieci urodzę, trzecie z mężem adoptujemy. Nie pamiętam, czy wtedy chęć adopcji była podyktowana jakimś porywem serca: „Uratować i dać dom osieroconemu dziecku". Z tym ukrytym, a potem uśpionym przez kolejne lata marzeniem szłam dalej przez życie. Na studiach poznałam Piotrka i „zaraziłam" go planem. Ślub, szczęśliwa codzienność, moja pierwsza praca, rozwijanie pasji, cieszenie się wolnością we dwoje.

W drugim roku małżeństwa coraz częściej pojawiały się pytania rodziców i znajomych o to, kiedy ciąża. Może i racja, starania czas zacząć. Efektów nie było przez ponad rok. Z każdym kolejnym miesiącem smutek i żal, a pytania otoczenia jakby bardziej natrętne i niestosowne. Zapisałam się na warsztaty dotyczące radzenia sobie z trudem oczekiwania na dziecko. Potrzebowałam jakiegoś wsparcia i sposobów na wścibskie i wówczas raniące nas pytania: kiedy dziecko, a dlaczego nie in vitro, ile jeszcze życia tylko dla siebie? Na takie teksty reagowaliśmy z mężem niemal słowną agresją i ogromnym stresem. Warsztaty zrobiły swoje – pozwoliły mi uświadomić sobie, że ja wcale nie potrzebuję być w ciąży, w głębi serca poczułam i całą sobą zrozumiałam, że po prostu CHCĘ BYĆ MAMĄ. Nie

chciałam koncentrować się jedynie na swoim chceniu, szukaniu przyczyn, nierzadko eksperymentowaniu i wieloletniemu leczeniu. Był koniec 2009 r. Wtedy powoli zaczęła budzić się we mnie myśl o adopcji.

CIOS WYZWOLENIEM

Dla męża ciosem, a dla mnie swoistym wybawieniem i ulgą była wiadomość o jego (naszej) ograniczonej płodności. Nareszcie coś wiadomo. I może właśnie teraz jest ten moment, że adopcja to kierunek dla nas. Czekałam jednak na Męża, na jego gotowość. Czekałam kilka długich miesięcy. Któregoś dnia zadał pytanie: To jak, dzwonimy?

Do KOAO zgłosiliśmy się w grudniu 2010 r. Tam miały nas zaskoczyć dwie kwestie. Pierwsza, że zostaniemy przyjęci na kurs adopcyjny dopiero wówczas, gdy zdeklarujemy, że zaprzestajemy leczenia. Wówczas było to w naszym odczuciu niesprawiedliwe. Teraz wiemy i podpisujemy się pod tym obiema (czterema) rękami. Jeśli chcemy odnaleźć swoje dziecko i w pełni je przyjąć, zamykamy etap starania się o biologiczne dziecko, a skupiamy się na adopcji w 100%. Wszystkiego się dowiadujemy, czytamy na ten temat i dalej rozeznajemy, czy to droga dla nas, czy damy radę. Drugim zaskoczeniem było to, że… panie w Ośrodku nie gryzą, nie są jędzami, jak o tym trąbiły niektóre osoby na internetowych forach dyskusyjnych. Przyjazna atmosfera, luźna rozmowa rozładowały we mnie całe napięcie i dały pewność, że to miejsce jest dla nas.

NOWINA

Tak jak z radością informuje się o ciąży, tak i my zapragnęliśmy poinformować naszych rodziców o tym, że też będziemy mieli dziecko, tyle, że **drogą adopcji** i że w styczniu zaczynamy kurs przygotowawczy. W przekazaniu wiadomości pomogła nam płyta DVD z filmem pt. „Chłopiec z Marsa" o przepięknej miłości adopcyjnej ojca do syna. Siedzieliśmy jak na szpilkach, ukradkiem obserwując ich reakcje i czekając końcowych napisów. Wtedy oboje wiedzieliśmy, że ADOPCJA JEST NASZĄ DROGĄ i nikt nie odwiedzie nas od tej myśli, od naszego pragnienia. O chęci adoptowania dziecka niejednokrotnie wspominaliśmy rodzicom już wcześniej, więc mogli wyczuć co się święci, jednak takie przedstawienie sprawy u jednych i drugich wywołało ogromne zaskoczenie, wzruszenie. Dziękujemy im za okazywane wsparcie i wiarę, że wszystko się uda.

Comiesięczne spotkania w Ośrodku pomogły nam poznać adopcję „od kuchni". Panie prowadzące, a także różne historie rodzin adopcyjnych pokazały nam tę drogę rodzicielstwa jako niesamowitą przygodę życia, podróżą w nieznane i pewną tajemnicę – taką jak ta, kiedy chłopak poznaje dziewczynę, zakochuje się w niej, daje jej czas na oswojenie się z nim i jego uczuciami, pozwala na spokojne budzenie się zaufania, budowanie więzi, nie pospiesza i cierpliwie czeka na otwarcie serca i odwzajemnienie uczucia ukochanej. Taka droga czekała nas, z naszym Dzieckiem.

OCZEKIWANIE

Gdy zakończyliśmy kurs i otrzymaliśmy kwalifikacje (niesamowita ulga), nastał dla mnie najtrudniejszy czas – oczekiwanie. Pierwszy miesiąc spokój. „Musiałby się wydarzyć cud, żeby teraz zadzwonili z Ośrodka", myślałam. Drugi, trzeci, piąty. Pokoik gotowy, wózek, łóżeczko i komoda skręcona przez męża. Nie wiadomo, co robić, nie wiesz, kiedy zadzwonią, nie wiesz, czy planować wakacje, a jeśli już – to gdzieś blisko, żeby

Ludzka i chrześcijańska godność prokreacji

Kościół poświęca wiele uwagi cierpieniu par bezpłodnych, troszczy się o nie i z tego właśnie powodu popiera badania medyczne. Jednakże nauka nie zawsze jest w stanie zaspokoić pragnienia wielu par.
Chciałbym zatem przypomnieć małżonkom dotkniętym niepłodnością, że nie oznacza to, iż nie mogą zrealizować swojego powołania małżeńskiego. Małżonkowie na mocy swego powołania chrzcielnego i małżeńskiego są zawsze powołani do współpracy z Bogiem w tworzeniu nowej ludzkości. Powołanie do miłości jest bowiem wezwaniem do ofiarowania siebie, i tego nie może uniemożliwić żadne uwarunkowanie organiczne. Tak więc tam, gdzie nauka nie znajduje odpowiedzi, odpowiedź dająca światło przychodzi od Chrystusa.

/Przemówienie Benedykta XVI do uczestników zgromadzenia generalnego Papieskiej Akademii «Pro Vita» 25 lutego 2012/

można było szybko wrócić. Każdy dźwięk telefonu wywoływał u mnie mocniejsze bicie serca. Co rusz zerkałam na wyświetlacz. Cisza. Zwariować można. „Tego" telefonu nie odebrałam. Wnosiłam akurat zakupy do domu. Natychmiast oddzwoniłam, ledwo trzymając się na nogach. „Chciałabym zaprosić Państwa na spotkanie". „Ale Pani Aniu, czy to już?". Uśmiechnięty głos w słuchawce zapewnił nas, że poczeka na nas tyle, ile będzie to konieczne. Byliśmy za 40 min.

POZNAJEMY SIĘ

Po kilku spotkaniach i dojazdach na drugi koniec Polski nasz Syn jest z nami w domu. Od września 2012 r. W pierwszym tygodniu Mąż spędza z nami każdą chwilę, potem wraca do pracy. Śpimy we troje w pokoiku Antosia, ja budzę się co noc, zrywając się do niego, szukam go przez sen, sprawdzam, czy jest w łóżeczku. Raz nawet przewijałam go przez sen, tyle, że pampersa chciałam nałożyć Mężowi. Mąż parska śmiechem, wywraca oczami, ale wspiera, tłumaczy, że to tylko sen. Całodzienne emocje muszą kiedyś ze mnie wyjść. Ale to chyba znak, że mam instynkt macierzyński, że wszystko ze mną w porządku…?

Antoś jest spokojny, jego uśmiech wyłapuję jak najcenniejszą zdobycz. Jeśli uda się zarejestrować na zdjęciu – wysyłam do Męża i rodziców. Cieszą się, są dumni i zachwyceni. Nasz Syn powoli, w swoim tempie, oswaja się z nowym otoczeniem. A ja z faktem, że mamy swój własny rytm rozwoju, swoją historię, swoje własne przepełniające nas dumą postępy. Odległe od tych z tabel, od dzieci znajomych. NASZE postępy, sukcesy, radości i triumfy. Na rehabilitacji wzmacniamy nóżki Antosia, gdy ma roczek, zaczyna siadać, wychodzą mu kolejne ząbki. Ze wszystkim na nas czekał.

Dziękujemy Ci Synku. I tak jak ta dziewczyna, w której zakochał się chłopak, tak i my cierpliwie czekamy i uczymy się siebie nawzajem: dotyku, przytulania, zapachu, głosu i upodobań. Aparat mam ciągle przy sobie, tysiące zdjęć, pierwsze uniesienie pupy, raczkowanie, pierwsze wołanie mnie na pomoc – z oczu lecą mu łzy jak grochy. On płacze, a ja się cieszę, bo to znak, że on jest mój, a ja dla niego.

NIE(CODZIENNOŚĆ)

Nasz Syn jest naszą radością i dumą, której nie umiem opisać słowami. Fruwamy pod sufit jak balony, gdy widzimy, jak każdego dnia się rozwija, rozkwita, coraz częściej się śmieje i w oczach pięknieje. Typowy 2, 5 latek, który chce wszystko robić „siam". Bałagani (tak, tak, uczymy porządku), jest dowcipny, tworzy swoje pierwsze zdania i zaczyna powtarzać nowe słowa. Dziś tata kupił mu „ato" (auto).

Antoś codziennie uczy nas patrzenia na świat przez pryzmat tego, co mamy, ile niesamowitych rzeczy nas otacza, co może zachwycać i intrygować. Niejednokrotnie zawstydza nas swoją dziecięcą prostotą, ucząc pokory, podczas gdy my tak wiele oczekujemy i wymagamy od Pana Boga, od siebie, od innych ludzi, od życia, zapominając jaki ogrom łask i miłości otrzymaliśmy i ciągle otrzymujemy.

Gdy to piszę, Antoś słodko sobie śpi, co jakiś czas popiskując przez sen jak kociak. W tym małym ciele i umyśle kołacze się tyle niesamowitych wrażeń z minionego dnia. Moje wcześniejsze wyobrażenia o macierzyństwie czy też podpatrywanie, jak bycie mamą przeżywają inne kobiety, mają się nijak do tego, czego sama doświadczam – cudownego daru BYCIA MAMĄ.

O naszym rodzicielstwie możemy śmiało powiedzieć, że jest niezwykłym, pełnym wyzwań i radości, wymodlonym i bardzo świadomym. Chcemy szczególnie podkreślić, że rodzicielstwo adopcyjne to wybór bardzo świadomy, żaden substytut, zamiennik, żadne pokrętne podejście „że jak adoptujemy, to może nam się odblokuje i urodzimy". Nie. Antoś jest naszym Synem, wymodlonym, wymarzonym, ukochanym i długo wyczekiwanym. To oczekiwanie bywało często trudne i męczące. Ale jednocześnie było niezwykle ważne i potrzebne – pozwoliło nam poukładać myśli, wyobrażenia na temat siebie jako rodziców, uprościć nasze oczekiwania, dało też czas na zrozumienie, jak bardzo pragniemy poznawać świat i dzielić się miłością z Kimś, kto przyjmie ją bezwarunkowo. A Antoś przyjmuje ją właśnie tak i uczy nas tego samego każdego dnia.

Anna i Piotr Drac

Dziękuję

Mam na imię Marcin. W grudniu skończyłem 18 lat. Chodzę do trzeciej klasy Technikum Leśnego, w przyszłości chciałbym zostać leśniczym. Mam siostrę, która - tak jak ja - jest adoptowana. O mojej adopcji wiem w zasadzie „od zawsze". Moi rodzice nigdy nie robili z tego tajemnicy ani przede mną, ani przed moją siostrą Alicją. Od dziecka opowiadali nam o tym, jak zostaliśmy przez nich wybrani. Nigdy też nasi rodzice nam nie pobłażali ani nie „odpuszczali". Starają się wychować nas tak, jak najlepiej potrafią. Nie zawsze moje postępowanie jest takie, jak by sobie tego życzyli, ale tata mówi, że wiek dorastania rządzi się innymi prawami i wszystko jest do przeżycia. W zasadzie do okresu dojrzewania nie miałem problemu z moją adopcją. Od pewnego czasu jednak zadaję sobie pytanie, dlaczego oddano mnie do adopcji, czemu mnie nie chcieli? Rodzice zrobili wszystko, żeby pomóc mi w poznaniu odpowiedzi na te pytania. Długo i niepotrzebnie ukrywałem przed rodzicami, co tak naprawdę mnie gnębiło. Kiedy wreszcie zdecydowałem się powiedzieć, rodzice okazali mi wiele zrozumienia. Myślę, że dobrze się stało, że mam dom, kochających rodziców i fajną siostrę. Dziś myślę, że gdyby oni nie zdecydowali się na adopcję, to ja nie miałbym tego, co dziś mam. Codziennie moi rodzice Bogu dziękują za nas, a my Bogu dziękujemy za nich, bo to On połączył nasze drogi i nasze życie.

Chciałbym podziękować swoim rodzicom za trud, który wkładają w moje wychowanie, za to, że pomagają mi i są zawsze, kiedy ich potrzebuję. Chcę podziękować także Pani Zosi Dłutek za wsparcie i pomoc w uzyskaniu odpowiedzi na moje wątpliwości.

Pozdrawiam Marcin

Piotrek lat 17

Witam ☺!

Zostałem adoptowany trzy miesiące po narodzinach. Mam też siostrę, również adoptowaną.

Chodzę do pierwszej klasy technikum informatycznego w Warszawie, interesuję się komputerami i muzyką. Mam małe plany, ambicje, marzenia.

Jestem szczęśliwy i dziękuje Bogu, że mam normalną katolicką rodzinę. To jest coś wspaniałego.

Były sobie kiedyś dwie kobiety...

Były sobie kiedyś dwie kobiety,
Które się nigdy nie spotkały.
Jednej nie pamiętasz,
Do drugiej mówisz „mamo".

Dwa różne życia,
Które wypełniły to jedno: twoje życie.
Jedna była twoją dobrą gwiazdą,
Druga twoim słońcem.

Pierwsza dała ci życie,
Druga nauczyła cię, jak żyć.
Pierwsza wzbudziła w tobie potrzebę miłości,
Druga była tuż obok, aby ją zaspokoić.

Jedna dała ci korzenie,
Druga ofiarowała ci swoje imię.
Pierwsza przekazała ci swoje dary,
Druga wskazała ci cel.

Jedna wzbudziła w tobie emocje,
Druga uspokoiła twoje lęki.
Jedna ujrzała twój pierwszy uśmiech,
Druga osuszyła twoje łzy.

Jedna dała cię do adopcji,
To było wszystko, co mogła dla ciebie zrobić.
Druga modliła się o dziecko
I Bóg przyprowadził ją do ciebie.

A teraz, kiedy płacząc,
Stawiasz mi odwieczne pytanie:
Naturalne dziedzictwo czy wychowanie,
Czyim jestem owocem?

Ani jednego, ani drugiego, moje dziecko.
Po prostu dwóch różnych przejawów miłości.

/anonim/

HEJ KÄRA **FOSTERFAMILJ!**

Tack så mycket för den fina födelsedagspresenten. Jag blev jätteglad och tycker särskilt mycket om målarböckerna. Att måla älskar jag och jag tycker att jag kan måla jättefint. Särskilt på väggen, bordet och golvet, men papper går också bra om jag måste. Tyvärr fixade mamma en sorts svamp som kan ta bort alla de fina teckningarna på olämpliga platser. Hon säger att man bara får måla på papper men det är ju tråkigt.

I alla fall så kommer här en liten höst- och julhälsning från mig, mamma och pappa. Vi har haft en jättefin sommar och tiden flyger bara iväg. Jag har vuxit en hel del under sommaren och jag började att, som mamma säger, ”hitta mig själv”. Mamma tycker inte om ordet ”trotsålder” utan tycker att ”hitta mig själv” passar mycket bättre och det tycker jag med!

Under sommaren badade jag jättemycket. Jag testade allt som man kunde bada i: havet, sjön, simhallen, badkaret, den lilla poolen på vår uteplatsen och så vattenpölar saklart! Vi var mycket ute i skogen och vi har plockad mycket bär. Lingon är min stora favorit och jag gjorde med mammas hjälp både saft och

DZIEŃ DOBRY **KOCHANE POGOTOWIE RODZINNE!**

Bardzo dziękuję za piękny prezent urodzinowy! Bardzo się ucieszyłem, a najbardziej z książeczek do malowania. Uwielbiam malować i moim zdaniem robię to świetnie. Zwłaszcza po ścianach, stołach i na podłodze, ale na papierze też mogę, jeśli już muszę. Niestety mama ma teraz gąbkę, za pomocą której znikają wszystkie rysunki z miejsc nieodpowiednich. Mama mówi, że mogę malować tylko na papierze, ale to przecież nudne.

W każdym razie przesyłam pozdrowienia jesienno-bożonarodzeniowe ode mnie, od mamy i taty. Mieliśmy bardzo fajne lato i czas po prostu uciekł. Sporo urosłem w tym czasie i jak mówi mama „odnalazłem się”.

Mama nie lubi wyrażenia ”wiek przekory”, woli „odnaleźć się”. Mama uważa, że to bardziej pasuje i ja też tak myślę!

Latem bardzo dużo się kąpałem. Próbowałem wszystkiego, gdzie można się kąpać: morza, jeziora, basenu, wanny i małego baseniku na placu zabaw, a także kałuż (co oczywiste). Byliśmy sporo w lesie i zbieraliśmy jagody. Borówki są moimi ulubionymi jagodami i z pomocą mamy zrobiłem z nich sok i dżem. Lubię także jagody, maliny i porzeczki. Codziennie chodziliśmy zbierać i codzienne byłem niebieski na buzi od tego zbierania. Potrafię rozpoznać różne jagody i wiem, gdzie rosną te najlepsze! Potrafię także znaleźć jagody w lesie za domem. Potrafię się wspinać jak wiewiórka i wszędzie odnajdować ścieżki, ale nie muszę. Rozpoznaję wiele zwierząt i kilka gatunków drzew i wiem, jak się nazywają. Znam adres do mojego domu i wiem, jak się wszyscy, którzy ze mną mieszkają, nazywają: mama, tata, a także świnki morskie. Poza tym znam kolory i potrafię sam się ubrać. Gdy już jestem ubrany, zawsze ładnie wyglądam, moim zdaniem. Koszulka lub spodnie są czasem założono trochę krzywo, tył na przód, ale zrobiłem to sam i dlatego jest to ładnie! Kocham robić rzeczy sam.

sylt av dem. Men jag tycker också om blåbär, hallon och vinbär. Varje dag gick vi och plockade bär och jag brukade se ut som en blåbär runt munnen. Jag känner till skillnaden mellan de olika bären och jag vet var de bästa bären växer!

Jag hittar ocksa bra i skogen bakom huset. Jag kan klättra som en ekorre och hitta stigar överallt, men det behöver jag inte. Jag känner igen många djur och nagra träd och vet vad de heter. Jag kan adressen till vår bostad och namnen på alla som bor med mig, både mamma och pappa och marsvinen. Färgerna kan jag ocksa förresten och jag kan klä på mig själv. När jag är klar ser jag alltid fin ut tycker jag. Tröja och byxor sitter kanske bakfram eller lite snett, men jag har gjort det själv och därför är jag fin! Jag älskar att göra saker själv.

Språket går också jättebra. Jag sjunger hela dagen och vill inte vara tyst. På svenska använder jag nu ibland meningar med upp till sex ord och jag kommenterar allt. Jag har börjat böja substantiv och verb och kan räkna lite grand ocksa. En gång när jag åkte bil med pappa och vi åkte förbi en hästhage sa jag ”Titta pappa, två hästarna”. Det var ocksa två hästar i hagen. Tyska kan jag i alla fall några ord, men förstar en hel del. Jo jag kan en mening på tyska! “Oma, Ich wünsche mir einen Traktor”, som betyder ”mormor, jag önskar mig en traktor”. Den meningen har jag tränat en hel eftermiddag med mamma. Vi träffade nämligen en av mammas och pappas kompisar och jag fick åka traktor igen. Då visste jag vad jag ville ha av mormor på min födelsedag! Och mormor kan ju bara tyska.

Den 30 september började jag på dagis. Det är ett litet dagis med bara 25-30 barn. Jag stormtrivs där. Vi är 9 barn och 2- 3 fröken i min grupp. Jag är där 15 timmar i veckan och det tycker mina föräldrar är lagom. Andra dagen som jag var på dagis bjöd en liten flicka som heter Ellen mig hem till sig och gav mig en puss. Och efter en vecka på dagis tröstade jag en av de andra killarna när han blev ledsen och längtade efter sin mamma. Min mamma och pappa har lovat att jag får bjuda hem kompisar när jag vill. Det tyckte jag var snällt av dem.

Men jag är ocksa snäll. Mina föräldrar är helt fascinerade över hur kärleksfull jag är mot yngre barn.

Robię bardzo duże postępy w mowie. Całymi dniami śpiewam i nie chcę być cicho. Po szwedzku mówię czasami zdania składające się z sześciu wyrazów i wszystko komentuję. Zaczynam odmieniać rzeczowniki i czasowniki i trochę umiem liczyć. Kiedyś, gdy jechałem z tatą samochodem, powiedziałem „patrz tata dwa konie”. I rzeczywiście, były tam dwa konie! Niemiecki także znam, a w każdym razie kilka słów, ale sporo rozumiem. Ale, ale, znam przecież całe zdanie po niemiecku. Potrafię powiedzieć „Babciu, chciałbym dostać traktor”. To zdanie trenowałem z mamą przez całe popołudnie.

Było tak, że udało mi się znowu pojeździć na traktorze, jak byłem u kolegów mamy i taty. Wtedy już wiedziałem, co chcę dostać od babci na moje urodziny! A babcia mówi tylko po niemiecku.

Dnia 30 września poszedłem po raz pierwszy do przedszkola. W przedszkolu jest tylko 25-30 dzieci. W mojej grupie jest dziewięcioro dzieci i mamy 2-3 Panie. Świetnie się czuję w przedszkolu. Chodzę tam na 15 godzin w tygodniu, a mama i tata uważają, że to w sam raz. Drugiego dnia w przedszkolu jedna z dziewczynek, Elin, dała mi całusa i zaprosiła do siebie do domu. Po tygodniu pocieszyłem w przedszkolu jednego z kolegów, któremu się zrobiło smutno i zatęsknił do swojej mamy. Moi rodzice obiecują, że będę mógł zapraszać do siebie koleżanki i kolegów, kiedy tylko zechcę. To miło z ich strony.

Ale ja także jestem miły. Moi rodzice nie mogą się nadziwić, jaki ja jestem dobry wobec mniejszych dzieci. One bardzo lubią widzieć, jak reagują w różnych sytuacjach, jak jestem taki kochany, ale także, gdy jestem uparty. Gdy mówię „One” mam na myśli w zasadzie Siri. Siri to mała dziewczynka, niemowlę, o której często mówię i chyba jestem w niej trochę zakochany. Gdy mama Siri, która jest koleżanką mojej mamy, powiedziała o Siri „dzidziuś” ostro zaprotestowałem, bo to przecież nie żaden dzidziuś tylko Siri!!!

Wiem, czego chcę i wyraźnie to pokazuję. Czasami nie jest to do końca to samo, co chcą mama i tata. Niestety, to oni często mają rację, ale OK. Są przecież starsi ode mnie.

Ja bardzo lubię wiele rzeczy sam wypróbować. Natomiast nie lubię, gdy okazuje się, że mama i tata

De tycker så mycket om att se mina reaktioner, mitt kärleksfulla uppträdande och även min envishet. Jag menar, om man heter Siri då är man Siri. (Siri är en liten bebis som jag pratar ofta om, kanske är jag lite kär i henne.) När Siris mamma, som är kompis med min mamma och pappa, sade att Siri var en bebis, da protesterade jag högljutt. Det är ingen bebis!!! Det är Siri!!!

Jag vet vad jag vill och visar det tydligt. Ibland passar det inte riktig ihop med vad mamma och pappa vill. Tyvärr har de ofta rätt, men det är ok. De är ju lite äldre än jag. Det som jag tycker om är att jag får testa många saker själv. Det som jag inte tycker om när jag märker att de har rätt. Om jag t.ex. bestämmer mig för att inte sitta i min stol i bilen, blir det promenad i stället eller ännu värre att vi stannar hemma. Då brukar jag oftast ändra mig och vill sitta i min bilstol i alla fall. Mamma är verkligen bra på att vinna sina strider med mig. Mina föräldrar tar ocksa ofta kort av mig. Jag får väl kolla alla kort som ska följa med brevet till er, så att jag vet vilka kort de skickar.

Det fungerar fortfarande bra med marsvinen och jag visar inga tecken på att vara allergisk mot dem! Det är vi väldigt glada över. Det enda som är nytt angående marsvinen är att jag har fatt två egna marsvin! De bor ihop med mammas marsvin. Det är två honor. Jag gav en av dem namnet Maria. Den andra heter Tabea. Det namnet valde mamma. Jag tycker att de är så fina och jag längtar efter att få klappa dem, men båda är så blyga. Men en av mammas honor får jag klappa.

Vi har börjat mata fåglarna framför fönster nu till vintern och jag känner igen blames, talgoxe, skata, hackspett och sparv. Dem kan jag inte heller klappa. Men pa väg till dagis träffade vi två av mina radjur. Och om vi börjar mata dem tidigt, da får jag säkert klappa rådjur. Det har jag bestämt! Visste ni att jag kan vara lite envis? Det maste ju finnas något djur i närheten som man får klappa! Jag ger inte upp.

Helgen innan jag började på dagis var mamma på något som heter Klädbytardagen. Jag var lite rädd och varför ska man ge bort kläderna när man precis har lärt sig att man behöver kläder? Det tog nagra dagar tills jag vågade berätta att jag var rädd. Jag har ibland lite svårt att berätta saker. I alla fall hade vi en strålande

mają rację. Jeśli np. nie chcę siedzieć w foteliku w samochodzie, to idziemy pieszo albo zostaję w domu. Najczęściej więc muszę się poddać i siadam w foteliku. Mama jest dobra w wygrywaniu swoich potyczek ze mną. Moi rodzice często robią mi zdjęcia. Muszę więc sprawdzić, jakie wybiorą, by wysłać do Was. Przecież muszę to wiedzieć!

Nadal wszystko dobrze funkcjonuje ze świnkami morskimi. Nie zauważyłem żadnych alergii. Bardzo się z tego cieszymy. Z nowości o świnkach mogę powiedzieć, że mam teraz dwie nowe, tylko moje. Mieszkają razem z mamą świnką. To są dwie dziewczynki. Dałem jednej imię Maria, a imię dla drugiej wybrała mama. Ta druga nazywa się Tabea. Świnki są śliczne, bardzo lubię je głaskać. Ale one są nieśmiałe. Jedną ze świnek mamy mogę głaskać.

Karmię ptaki, które są za oknem. Przylatują tu różne: jemiołuszka, wróbel, sikorka, kos i sikorka czubatka. Ich też nie mogę głaskać. Ale w drodze do przedszkola spotkałem dwie sarenki. Jeśli zaczniemy je wcześnie dokarmiać, na pewno pozwolą się pogłaskać. Tak już zdecydowałem. Czy wiecie, że ja potrafię być uparty? Tu w pobliżu musi być przecież jakieś zwierzę, które pozwoli mi się pogłaskać! Nie poddaję się.

Tydzień przed pójściem do przedszkola mieliśmy coś, co nazywa się „Dzień wymiany ubrań". Trochę się bałem. Dlaczego trzeba oddawać ubrania, gdy dopiero co dowiedziałem się, że ubrania są potrzebne? Kilka dni trwało zanim odważyłem się o tym mówić. Tak to czasami jest, że trudno mi o czymś mówić. Okazało się, że ten dzień, to świetny pomysł. Ja wiedziałem, że ubrania są potrzebne, ale nie wiedziałem, że się z nich wyrasta. Ale to wiedziała mama. Na dodatek są dzieci, na które te za małe ubrania pasują bardzo dobrze. Dlaczego więc nie pomodlić się za te dzieci, by poznały Jezusa i by Jezus wypełnił ich serca? Ja to chciałem zrobić. Więc spakowaliśmy karton z za małymi ubraniami i pomodliliśmy się za dzieci, i pojechaliśmy razem oddać ubrania.

Potem pojechaliśmy poszukać zimowych ubrań dla mnie. Dostałem piżamkę z piłką nożną i traktorem, koszulki z gitarą, motocyklem i wieloma innymi rzeczami, które lubię. Mama znalazła spodnie i buty, które na mnie pasują i najlepsze z tego wszystkiego:

ide. Att man behöver kläder visste jag ju. Att nagra av dem har blivit för små visste mamma. Jag ville inte att kläderna ska vara för små. Men någonstans finns det barn som kläderna passar perfekt på. Varför ska vi inte be för de barnen att de lär känna Jesus och att Jesus far bor i barnens hjärta? Det ville jag! Så vi packade en kartong med de för små kläderna och bad för barnen och sen åkte vi tillsammans och lämnade in kläderna.

Och när den stora dagen var då åkte mamma och letade efter vinterkläder at mig. Jag fick en pyjamas med fotboll och en med traktor, jag fick tröjor med gitarr, moped och massor av andra saker som jag brukar gilla. Mamma hittade byxor och skor och till sist det bästa av: hon hittade en tomtedräkt som passar mig! Jag ville ju ha många tomtar i december! Men innan dess ska jag fylla år säger mamma och pappa hela tiden.

Och det blev en fantastiskt dag! Mamma, pappa och dagisfröken försökte förklara vad födelsedagen egentligen är. Men så riktig har jag inte begripit det egentligen. Tre dagar innan jag fyllde år började jag sjunga "Ja ma han leva". Att det var mamma och pappa som skulle sjunga begrep jag först på morgonen på min födelsedag. För då kom mina föräldrar med tre ljus och en present till sängen och väckte mig. Jag fick stora och lysande ögon, säger de. Och när jag senare gick upp upptäckte jag att det fanns ett presentbord i vardagsrummet. Mamma fixade det på natten efter jag hade somnat. Hon hade till och med bakad en traktortårta. Många fina presenter blev det. Musik, målarböcker och sångmikrofoner från er, en elektriskt tandborste, verktygslada, pussel och en traktor så klart från mormor. På eftermiddagen kom farmor och hälsade på och det var en jättebra dag.

Dagen efter var det första advent. Vi tände adventsljus och stjärnorna som vi hängt upp i fönstret. Mamma ställde äntligen fram kakburken! Jag har ju bakat och pyntat hemma och hjälpt till mycket så att det blev fint på första advent. Och när vi tänder det fjärde ljuset då är det snart jul. Då fyller Jesus år. Nu när jag vet vad födelsedag är, blir julen en dag som jag längtar efter. Hoppas, hoppas att tiden går snabbt.

Varmaste hälsningar,

Daniel

przebranie dla Mikołaja. Chciałem, by w grudniu było wielu świętych Mikołajów. Mama powiedziała, że najpierw będę miał urodziny.

Dzień urodzin to był fantastyczny dzień. Mama, tata i Pani w przedszkolu – wszyscy próbowali mi wytłumaczyć, co to jest właściwie dzień urodzin. Ale tak do końca to jeszcze nie rozumiem. Trzy dni przed urodzinami zacząłem sobie śpiewać „sto lat". Ale dopiero rano w urodziny zrozumiałem, że to mama i tata będą śpiewać dla mnie. Najpierw moi rodzice, jak jeszcze byłem w łóżku, przyszli z trzema świeczkami i z prezentem, i obudzili mnie. Powiedzieli mi potem, że miałem wielkie i śmiejące się oczy, jak na to patrzyłem. A potem odkryłem, że w salonie był stolik z prezentami. Mama przygotowała to w nocy, gdy ja już spałem. Mama upiekła mi nawet tort – traktor. Dostałem wiele pięknych prezentów; Książeczki z piosenkami, malowanki i mikrofon od Was, elektryczną szczoteczkę do zębów, walizkę z narzędziami, puzzle i traktor (oczywiście od babci). Po południu przyszła druga babcia i miałem piękny dzień.

Następnego dnia zaczął się adwent. Zapaliliśmy świecę i powiesiliśmy w oknach gwiazdy. Mama wreszcie wystawiła puszkę z ciastkami. W domu były wypieki i dom był przystrojony tak, że zrobiło się pięknie w tę pierwszą adwentową niedzielę. A jak zapalimy czwartą świecę, to już zaraz będzie Boże Narodzenie. Wtedy ma urodziny Jezus. Teraz, gdy wiem, co to są urodziny, nie mogę się doczekać na Boże Narodzenie. Mam nadzieję, że czas będzie szybko mijał.

Najgorętsze pozdrowienia,

Daniel

NAJPIĘKNIEJSZY **PREZENT**

Dzisiaj jest szesnasty czerwca, pamiętny dzień i to nie tylko dlatego, że moja Żona obchodzi urodziny. Jaki byłby najlepszy prezent? Wielokrotnie zastanawiałem się nad tym, co razem z naszą Córeczką zorganizujemy, aby sprawić jej radość!

Zapadła już noc i moje dziewczyny już śpią. Jednak myślę, że bez względu na to, co wspólnie zorganizujemy, i tak dzisiejszy prezent od Katolickiego Ośrodka Adopcyjnego był najwspanialszym darem urodzinowym dla mojej żony. Oczywiście nie tylko dla niej, bo cała rodzina miała łzy szczęścia, gdy żona w telefonie komórkowym odczytała wiadomość od Pani Beaty, że „czekamy na nowego członka rodziny".

Myślałem, że tę noc spędzimy na rozmowach i zastanawianiu się, jak bardzo zmieni się nasze życie po raz drugi, ile to będzie radości oraz czy podołamy wyzwaniu. Tymczasem Dziewczyny śpią – jednak emocje zrobiły swoje i moje myśli wracają do przeszłości.

Od czasu pojawienia się Karolinki w naszym życiu – niedługo będzie cztery lata – wszystko się zmieniło. Pamiętam, jak będąc w delegacji, w pewien listopadowy dzień dojechałem do hotelu w Gdańsku. Tam odebrałem telefon od mojej żony: „Kochanie czeka na nas dziewczynka, jutro mamy spotkanie w KOA. Przyjedź do Warszawy na godzinę 16.00". Zaparło mi dech, a łzy szczęścia leciały same.

Tamtej nocy nie spaliśmy w ogóle. Ja będąc w Gdańsku, Ania w Warszawie. Przez całą noc mieliśmy w głowach te same pytania. Z jednej strony przeplatała się radość, z drugiej zaś obawa. Będziemy rodzicami, ale czy podołamy i jak się sprawdzimy w tej roli? Myślę, że to naturalne pytania, jakie stawiają sobie Rodzice.

W tym roku Karolinka będzie miała już cztery latka i choć jest to sam początek naszej wspólnej drogi, to każdego dnia drobnostki sprawiają, że jestem najszczęśliwszym Tatą i Mężem na świecie. Miłość mojej żony powoduje, że budząc się rano, mam ochotę lecieć na Księżyc. Naprawdę mam wrażenie, że posiadam skrzydła. Codziennie czuję, jak bardzo mnie kocha. Choć czasami może nie umiem jej tego w pełni okazać, ale chciałbym, aby wiedziała, że jest miłością mojego życia.

Nasza Karolinka jest wyjątkowym dzieckiem i nie mam na myśli faktu, że nie lubi czekolady i słodyczy, co u czterolatki może wydawać się dziwne. Wcześniej nie wyobrażałem sobie, jak dużo można dowiedzieć się od dziecka. Karolinka nauczyła mnie zwracać uwagę na małe rzeczy i cieszyć się z nich. Pokazała nam, że życie składa się z drobiazgów, a radość z nich sprawi, że będziemy radośni na co dzień. Nauczyła mnie cierpliwości, no bo ile razy z rzędu można odpowiadać na pytanie: „dlaczego?". Nauczyła mnie wytrwałości, bo „kazała" na siebie tak długo czekać.

Dziś wiem, że wszystko, czego razem z Żoną doświadczyliśmy, pozwoli nam być lepszymi, a nasz Nauczyciel jeszcze wiele razy pokaże swoją Mądrość.

Światła już pogaszone, jedynie komputer rozjaśnia ciemności. Idę dać całusa na dobranoc Karolince i Ani – najwspanialszym Kobietom mojego życia. A te urodziny zapewne zapamiętamy na zawsze.

Najszczęśliwszy Mąż.

MAMY WOBEC PAŃSTWA PEWNE PLANY...

Nasza historia czekania i odnalezienia naszych dzieci jest dość długa i burzliwa. Zaczęła się pięć lat temu, kiedy zgłosiliśmy się do ośrodka adopcyjnego świeckiego (nie mieliśmy wówczas stażu wymaganego przez ośrodek katolicki). Przeszliśmy całą procedurę i rozpoczęliśmy oczekiwanie na dzieci. Od początku chcieliśmy przyjąć dwoje dzieci, a kiedy padło pytanie o trójkę, nie powiedzieliśmy „nie", choć to wydawało się zupełnym szaleństwem.

Po roku naszego oczekiwania weszła w życie nowa ustawa i tamten ośrodek zlikwidowano. Historia zatoczyła koło, a mając już wymagany staż małżeński, zwróciliśmy się do Ośrodka na Grochowskiej. Poczuliśmy się tam bardzo dobrze, rozumieliśmy się światopoglądowo, co niestety nie miało miejsca w pierwszym ośrodku.

Byliśmy przekonani, że mając już za sobą kwalifikację oraz rok czekania na dzieci, cała procedura będzie szybką formalnością. O słodka naiwności! Pokornie przyjęliśmy fakt ponownych badań psychologicznych, kilku dodatkowych warsztatów i udziału w rekolekcjach. Nie wiem czemu, ale ufaliśmy, że jest w tym jakiś Boży plan, a zdobytej wiedzy nigdy za wiele.

Jednak upłynęło kolejnych pięć bardzo długich miesięcy i powoli zbliżaliśmy się do końca trzeciego roku oczekiwania na nasze dzieci. W pewnym momencie naprawdę miałam już dość i stwierdziłam, że chyba Pan Bóg nie chce, byśmy doczekali się na dzieci, wobec tego w ostrych słowach nawet Mu to wygarnęłam. To było kilka dni przed naszą piątą rocznicą ślubu, na którą wyjechaliśmy na kilka dni do Torunia. Tydzień później mój mąż miał zaplanowany od roku męski wyjazd w ukochane Tatry.

I właśnie wtedy zadzwonił telefon – Mamy wobec Państwa pewne plany – usłyszeliśmy. Moja wyobraźnia zadziałała, a ponieważ nie wiedzieliśmy na pewno, czy dostaliśmy drugą kwalifikację, nie muszę pisać, w jakim kierunku podążyła. „Pewne plany" – pewnie chcą nas wysłać na jakiś kurs, terapię albo powiedzieć, że nam dziękują – myślałam sobie, ale w głębi serca czułam jednak, że chyba chodzi o to, że odnalazły się nasze dzieci. Nareszcie!

Pojechaliśmy na Grochowską. Emocje, jakie wtedy przeżywaliśmy, w zasadzie są nie do opisania słowami. Na rozmowie usłyszeliśmy: – Mamy dla Państwa propozycję, aczkolwiek jest ona trochę inna, niż Państwo chcieli. Milion myśli w ułamku sekundy: „trochę inna", znaczy dzieci poważnie chore albo mocno starsze. I wtedy usłyszałam: Państwo chcieli dwoje dzieci, a my mamy TRÓJKĘ. Nic nie wiedziałam o tych dzieciach, a w zasadzie wiedziałam już wszystko.

TAK, TAK, TAK! Pani Ania zaczęła czytać karty dzieci, a ja tylko się utwierdzałam, że są nasze. Mąż spojrzał na mnie pytająco, co ja na trójkę, a ja kiwnęłam tylko głową i nic nie musieliśmy już mówić. Panie Boże jesteś taki hojny!

Wychodząc z Ośrodka, płakałam z radości. Dzieci miały wówczas: pierwsze – rok i dziewięć miesięcy, drugie – dwa lata i osiem miesięcy, trzecie – trzy lata i osiem miesięcy. Jednym słowem: maluchy ☺! Dano nam dwa dni na ochłonięcie. Po tym czasie pojechaliśmy do naszych dzieci. Najpierw opowiedziano nam dość szczegółowo o tym, jakie są, potem spytano, czy jesteśmy dalej zainteresowani spotkaniem i poznaniem ich. Byliśmy!

Pojechaliśmy do filii Domu Dziecka. Wchodząc po schodach, myślałam sobie: Zaraz poznamy nasze dzieci! Nie mogłam uwierzyć, że w końcu nadszedł ten moment. Weszliśmy. Przedstawiono nam każde z dzieci, wcześniej uprzedzając, jakie są imiona naszych dzieci. Poinformowano też, że wchodzimy jako goście do wszystkich.

Spojrzałam na nasze dzieci – były najpiękniejsze! Nie mogłam uwierzyć w ogrom szczęścia, jaki nas spo-

tkał. Nogi trzęsły mi się tak bardzo, że od razu usiadałam na dywanie i zaczęłam się bawić z najstarszym.

Po tym pierwszym spotkaniu czas w zasadzie przestał istnieć. Przez kolejne dwanaście dni mało jedliśmy, prawie nie spaliśmy, dwa razy dziennie odwiedzaliśmy dzieci, jeździliśmy po sklepach dokupując potrzebne rzeczy. Nasi znajomi ze wspólnoty stanęli na wysokości zadania i po czterech dniach mieliśmy w domu trzy łóżka, wózek

spacerowy, tony ubranek, a zabawek tyle, że niejedno przedszkole by się nie powstydziło. Dokupiliśmy foteliki samochodowe, pościel i kilka drobiazgów.

Drugiego dnia mąż delikatnie powiedział do najstarszego synka: – Jeśli chcesz, możesz mówić do mnie „tato". Synek się zdziwił, nawet zaprzeczył, ale panie nam mówiły, że gdy wyszliśmy, opowiadał dzieciom, że był u niego tata. Następnego dnia po otwarciu drzwi usłyszeliśmy jego krzyk: – Mój tata przyjechał!

Ja zaś na kolejnym spacerze usłyszałam średniego synka wołającego do mnie z tyłu: „mama!"

Dwanaście dni później przywieźliśmy nasze dzieci do domu. Pierwszy wieczór był dość trudny, bo przez ponad trzy godziny dzieci nie chciały się położyć spać. Każda próba położenia ich do łóżeczek kończyła się okropnym płaczem. Mimo że bardzo cieszyły się, jadąc do nowego domu, myślę, że bały się nowego miejsca. Jednak znalazłam skuteczną metodę i w końcu zasnęły, a mój mąż spytał, co takiego zrobiłam, że się to udało. Kolejnego dnia usypianie zajęło nam już tylko 15 minut ☺.

Po trzech dniach najmłodsza córeczka dostała bardzo wysokiej gorączki, co wywołało moje ogromne zdenerwowanie. Bałam się, że ja coś zaniedbałam i dziecko tak się pochorowało. Okazało się, że ma zapalenie oskrzeli, ale szczęśliwie przeszła je dość łagodnie. Za to po kolejnych dwóch tygodniach zachorowała na ospę, można więc powiedzieć, że start był dość nerwowy i burzliwy.

Najwyraźniej jednak dziecięce wirusy są dość zjadliwe dla dorosłych. Przez pierwszy rok, jak tylko dzieciom przydarzał się jakiś katar, ja chorowałam znacznie ciężej, z zapaleniem płuc włącznie. Było to dla mnie zaskoczeniem, gdyż wcześniej nie chorowałam praktycznie wcale.

Pierwszy wspólny wieczór sylwestrowy spędzaliśmy wszyscy, cała piątka, w łóżkach. Każdy z nas miał temperaturę powyżej 39 stopni! Dzieciom to jakoś specjalnie nie przeszkadzało w funkcjonowaniu, w przeciwieństwie do rodziców. Ale daliśmy radę.

Po roku wróciłam do wcześniejszej formy i teraz na zdrowie narzekać już raczej nie możemy. Dzieci również chorują bardzo mało, co jest naszą radością.

Przez pierwszy miesiąc nie wprowadzaliśmy w życie dzieci żadnych nowych osób. Byliśmy tylko my i one. Na każdym kroku uczyliśmy je, że od całowania i przytulania jest mama i tata. Po jakimś czasie ta nauka zaczęła procentować. Teraz dzieci świetnie rozróżniają „swój" i „obcy". Po miesiącu przyszedł czas na poznanie babci i dziadka, którzy oszaleli na punkcie wnucząt.

Mąż przez blisko dwa miesiące był z nami w domu i dopiero potem wrócił do pracy. Bardzo mi pomagał i pomaga nadal.

Przez dość długi czas trzymaliśmy się planu dnia,

jaki funkcjonował w domu dziecka. Dzieciom dawało to poczucie bezpieczeństwa i przewidywalności tego, co będzie dalej. Nam ułatwiało organizację dnia. Później plan dnia modyfikowaliśmy w zależności od potrzeb. Staraliśmy się też być bardzo konsekwentni. Inaczej ciężko by mi było wyjść z trójką maluchów na plac zabaw czy na spacer, gdyby np. dzieci nie słuchały się i robiły to, co chcą.

Dzieci od początku były radosne, przyjazne i bardzo lubiły się przytulać. Początkowo średni synek kilka razy budził się w nocy z płaczem, po miesiącu czy dwóch te zachowania zniknęły.

Po trzech miesiącach przyszedł czas na chrzest, który był dla nas ogromną radością. Dzieci, mimo że już stosunkowo duże, nie były ochrzczone. Mieliśmy szczęście, że to właśnie my organizowaliśmy im tę uroczystość. Uszyliśmy im białe komże na chrzest, ale następnego dnia przed wyjściem na spacer była awantura, bo koniecznie chciały wyjść w białych szatkach na dwór.

Wszyscy się dziwili i byli w szoku – jak to, troje? Naraz? Jak wy sobie poradzicie? A my patrzyliśmy na nich i kompletnie nie rozumieliśmy, o co chodzi. Radziliśmy sobie normalnie i nie widzieliśmy nic szczególnego w adopcji trójki małych dzieci (choć gdyby nam ktoś wcześniej powiedział, że tak się stanie, też chyba bylibyśmy wystraszeni).

Owszem, czasem było nerwowo, jak np. jedno z nas musiało zostać samo wieczorem i wykąpać całą trójkę po kolei, tak, by wszyscy wyszli żywi z tej procedury, ale w sumie z perspektywy minionego czasu są to historie bardziej do śmiechu niż do nerwów.

Początkowo planowaliśmy po roku posłać dzieci do przedszkola. Jednak zmieniliśmy zdanie. Ja zostałam z nimi w domu i prowadzę zajęcia przedszkolne w ramach edukacji domowej. Jak Bóg pozwoli, będziemy chcieli realizować w podobny sposób również program szkolny. Sprawia nam to dużo frajdy, a dzieci tylko korzystają na tym, że nie przebywają cały dzień w placówce, tylko z mamą.

Dzieci dostarczają nam ogromnej radości, pokochaliśmy je bardzo szybko. Wielu znajomych mówi nam, że są do nas podobne i chyba coś w tym jest. W tej chwili nie wyobrażamy sobie, że mogłoby ich nie być, nie wyobrażamy sobie teraz już mniejszej liczby dzieci niż troje ☺. Za to większą – jak najbardziej tak. Może nas jeszcze Pan Bóg zaskoczy, kto wie?

Ania i Marcin

Księżniczki swojego taty

Nasza przygoda zaczęła się w sierpniu 2010 roku. Blanka miała wówczas 6 tygodni, a Maja rok i 8 miesięcy. Byliśmy gotowi na dziecko z „jakąś" niepełnosprawnością. U naszej starszej córki podejrzewano autyzm. Nie wahaliśmy się ani chwili.

Na początku było ciężko. Diagnozy, rehabilitacje, lekarze, badania, dużo stresu, ale i wiary, że będzie dobrze! Maja nie umiała pić, bała się skórzanej kanapy, na dźwięk suszarki reagowała histerią. Irytował ją płacz małego dziecka, a przecież jej młodsza siostra miała niespełna dwa miesiące.

Kilka razy dziennie realizowaliśmy z Mają program terapeutyczny przygotowany specjalnie dla niej przez Fundację Synapsis. Zaczęła uczęszczać na integrację sensoryczną i na zajęcia logopedyczne. Mając około trzech lat, zaczęła mówić. Terapia słuchowa pomogła jej w zaakceptowaniu dźwięków z otoczenia.

Najlepszym terapeutą stała się dla niej Blanka. Razem jeżdżą na rolkach, razem bawią się klockami, razem skaczą na kanapie, czasem się kłócą, żeby później się pogodzić. Razem chodzą także do przedszkola – Maja do starszaków, a Blanka do maluchów.

Nasze córki mają dwie biologiczne siostry – obie adoptowane przez rodzinę z Białegostoku. Weronika jest najstarsza, później na świat przyszła Maja, za nią Blanka, a dwa lata temu Pola. Za pośrednictwem Katolickiego Ośrodka Adopcyjnego nawiązaliśmy kontakt z rodzicami adopcyjnymi sióstr moich dzieci. Kilka razy w roku odwiedzamy się wzajemnie i wyjeżdżamy razem na wakacje. Dziewczyny wiedzą, że są siostrami i to jest piękne!!!! Ja ze swoim mężem Krzysztofem jesteśmy rodzicami chrzestnymi Poli. Nasza wspólna historia tak naprawdę dopiero się zaczyna, mimo iż znamy się już trzy lata.

Bardzo kochamy nasze dzieci i dlatego mówiliśmy im od początku, że są adoptowane. Są wyjątkowe, bo były u mamy w serduszku! Znają swoje rodzeństwo od zawsze, więc nie będą musiały szukać! A tata jest nieustająco dumny, że ma TAKIE KSIĘŻNICZKI!!!

PODWÓJNE SZCZĘŚCIE

Z INNYM POCZĄTKIEM

„Najpierw ślub był w kościele, potem było wesele", a potem już tylko piękne życie razem. Taka jest właśnie wizja życia zakochanej pary. I nasza była również taka.

W kazaniu głoszonym na naszym ślubie ksiądz powiedział:

- Pamiętajcie, że długie życie przed Wami, a w tym życiu dużo pięknych chwil. Ale pamiętajcie też, że w życiu będą chwile trudne i bolesne. Bo takie jest właśnie życie.

Pobraliśmy się z prawdziwej miłości. Mieliśmy dom, pracę i plany na bycie rodzicami. W zasadzie tylko dziecka brakowało do „pełni szczęścia".

Staraliśmy się o potomstwo rok, po czym postanowiliśmy poddać się szczegółowym badaniom. Wynik badań brzmiał jak wyrok śmierci dla naszych planów rodzicielskich – azoospremia, czyli brak plemników.

Pamiętam ten dzień, ten szok i niedowierzanie. Długo milczeliśmy, zanim zaczęły się rozmowy, co dalej. Udaliśmy się do znanej kliniki leczenia niepłodności, która zaproponowała nam szereg różnych możliwości zapłodnienia (min. in vitro przy opcji znalezienia plemników w biopsji jądra, zapłodnienie nasieniem dawcy). W zasadzie lekarze w klinice powiedzieli nam, że możemy zostać rodzicami. To, w jaki sposób, wybór należy do nas. Plan był taki, że przeprowadzimy biopsję jądra i zdecydujemy, co dalej.

Nie byliśmy przekonani do metody in vitro. Daje ona niesamowite szczęście – dziecko, ale przerażała nas myśl o tym, że nadliczbowe embriony będą zamrożone na zawsze lub oddane do adopcji innym parom. Na biopsję poszliśmy z myślą: na pewno nie znajdą żadnego plemnika. I tak się stało. Pozostała opcja wykonania biopsji mapującej (czyli szukania dalej) lub zapłodnienie przy wykorzystaniu obcego materiału genetycznego. Dla mężczyzny bycie bezpłodnym to nie jest prosta sprawa. Przetrawienie tej informacji i dojście do siebie to proces długotrwały pod znakiem łez i załamania. W takim przypadku w dużej mierze wyjście na prostą zależy od kobiety.

Odłożyliśmy temat dziecka na półkę. Czy cały świat kręci się wokół dzieci? Zajęliśmy się swoimi sprawami, pracowaliśmy, podróżowaliśmy, bawiliśmy się.

Tak minęło kilka lat.

Wokół rodziły się dzieci i w pewnym momencie zaczęło mieć to na nas destrukcyjny wpływ. Chyba wszyscy wokół sprzysięgli się przeciwko nam i co chwilę dostawaliśmy informacje o kolejnej ciąży. A nam jakby ktoś wbijał szpilę w serce. Całe nasze wnętrze krzyczało – czy tak ma wyglądać całe nasze życie?

Postanowiliśmy wrócić do tematu. Jeden fakt był jasny – chcemy być rodzicami. Powrót do tematu oznaczał podjęcie chyba jednej z najtrudniejszych decyzji w życiu: jaką drogę wybrać do bycia rodzicami? Czy zdecydować się na adopcję dziecka, czy skorzystać z banku nasienia? Długo przerabialiśmy temat wewnątrz samych siebie, dużo nocy spędziliśmy na lekturze internetowych stron, dużo rozmawialiśmy i kreowaliśmy wizje, co będzie, gdy...

Pewnego dnia postanowiliśmy zadzwonić do Katolickiego Ośrodka Adopcyjnego – tak tylko, żeby porozmawiać. Pani z Ośrodka była tak miła, że idąc „za ciosem", zapisaliśmy się na pierwszą rozmowę. A za dziesięć miesięcy mieliśmy już kwalifikacje rodziny adopcyjnej.

W naszym przypadku, szczerze możemy powiedzieć, że cała procedura otrzymania kwalifikacji nie była jakaś uciążliwa, męcząca itp. To był piękny czas przygotowania do bycia rodzicami.

Kwalifikacje otrzymaliśmy we wrześniu 2011 r., natomiast w styczniu 2012 r. zadzwonił „ten" telefon. Ile on wywołał radości, a ile niepokoju….

Poznaliśmy dwóch cudownych chłopców – bliźniaków. Obraz pierwszego spotkania na zawsze został nam w pamięci. Te piękne oczy patrzyły na nas wystraszone

– znowu nowi, obcy ludzie. To nie były oczy, które nam ufały, które czuły się w naszej obecności bezpiecznie. My natomiast zauroczyliśmy się chłopcami od pierwszego wejrzenia.

Sprawy dotyczące adopcji toczyły się kilka miesięcy. Był to wyczerpujący i trudny okres, ale dzięki zaangażowaniu innych Dobrych Ludzi skończyły się szczęśliwie. Chłopcy zamieszkali z nami i tak zaczęło się nasze rodzicielstwo.

Kiedy nie ma się własnych, rodzonych dzieci, wyobrażenie o macierzyństwie i ojcostwie jest całkowicie inne niż rzeczywistość. Myśleliśmy, że rodzicielstwo jest banalnie proste, że dziecko uzupełni brakującą lukę i osiągniemy upragniony stan szczęścia. Przychodzi codzienność i okazuje się, że życie z dzieckiem, a w naszym przypadku z dwojgiem dzieci, nie jest tak banalnie proste, jak miało być. Życie tylko we dwoje przez wiele lat przyzwyczaja do pewnego porządku, harmonii, jest dość przewidywalne i ułożone. Nagle okazuje się, że nie możemy robić rzeczy, które zawsze robiliśmy, że to nie my jesteśmy najważniejsi, lecz wszystko robimy „pod dziecko".

Dzieci to w dużej mierze rezygnacja z samych siebie. Z dwójką małych dzieci już nie pojedziemy na zdobywanie szczytów, choćby w Tatrach, nie będziemy czytać namiętnie książek, bo nie będziemy mieli wieczorami siły. Sama organizacja życia wymaga niebywałej siły zarówno fizycznej, jak i psychicznej, a ciągłe zapracowanie i zmęczenie niekorzystnie wpływa na związek małżeński.

Po dłuższym okresie bycia razem z dziećmi dogadaliśmy się co do organizacji życia w domu, ustaliliśmy hierarchię spraw i obowiązków. Mamy pod opieką naszych skrzydeł dwie skrzywdzone istoty, dla których staramy się być wsparciem i przykładem. Wzięliśmy za nich odpowiedzialność, aby wychować ich na dobrych ludzi, aby mieli prawdziwe dzieciństwo, kochanych rodziców i przykład miłości małżeńskiej. Mimo że czasami jest ciężko, nigdy nie podjęlibyśmy innej decyzji, jak tej o adopcji chłopców.

Czasami myślimy, że najpiękniejszym darem w życiu jest biologiczne dziecko – kiedy widzisz swój uśmiech w jego uśmiechu, kiedy widzisz swoje oczy w jego oczach. Nam dane jest rodzicielstwo adopcyjne – kiedy ich uśmiech nie jest naszym uśmiechem, a ich oczy nie są naszymi oczami. Nie mamy biologicznego dziecka, więc nie wiemy, jak to jest. Natomiast wiemy, jak jest z rodzicielstwem adopcyjnym.

Chłopcy są dla nas najważniejsi w życiu. Nic i nikt nie ma takiego znaczenia, jak oni.

W naszych sercach pełno jest pozytywnych emocji.

Kiedy chłopcy zdobywają nowe umiejętności, kiedy ładnie się rozwijają – w sercu radość i duma. Kiedy coś źle się dzieje z ich zdrowiem – w sercu lęk i obawa. Kiedy wyjeżdżają do babci na kilka dni – w sercu tęsknota. Kiedy patrzymy na nich, śpiących po całym dniu rozrabiania – w sercu przeogromna miłość.

To jest miłość matczyna i ojcowska, tu i teraz, bez patrzenia w przeszłość.

Anna i Tomasz
Rodzice Jasia i Antosia

Wiara, nadzieja i miłość…

Pewnego wiosennego wieczoru podczas spaceru, małżeństwo rozmawiało o przysiędze, którą złożyli sobie kilka lat temu. Ślubując miłość małżeńską w kościele i odpowiadając na pytanie: Czy chcecie z miłością przyjąć i po katolicku wychować potomstwo, **którym was Bóg obdarzy** - odpowiedzieli: „Tak, chcemy". Jakże ważna to była przysięga. Dopiero teraz zaczęli interpretować to pytanie z wielką wiarą i ufnością. Przecież mają przyjąć potomstwo, którym ich Bóg obdarzy, a Bóg chce obdarzyć ich dzieckiem, które urodzi inna kobieta. Pytanie to przecież nie brzmi: Czy chcecie z miłością przyjąć i po katolicku wychować potomstwo, które urodzi żona. Nie ma w tym pytaniu informacji, w jaki sposób Bóg obdarzy małżeństwo potomstwem. I to jest wielka tajemnica wiary. Czyż to nie cudowne? W końcu Pan dał im jasną podpowiedź, jaką drogą mają pójść.

Szczęśliwi rodzice Julii

KOCHAM CIĘ, MAMO!

Czy warto opisać swoje doświadczenie związane z przebytym procesem adopcji? Warto! Bo kto z nas nie lubi dzielić się szczęściem? Choć od czasu podjęcia decyzji o powiększeniu rodziny nie zawsze czuliśmy tylko radość, to finał był szczęśliwy, bardzo szczęśliwy.

Ale zacznijmy od początku, to miłe wspomnienia. Poznaliśmy się z Piotrem w 1991 r., kiedy rozpoczęliśmy naukę w liceum. Zbliżenie się do siebie zajęło nam prawie dwa lata, parą zostaliśmy w czerwcu 1993 r. To był miły okres. Pomimo nauki i obowiązków pełen zabawy i beztroski. Poznawaliśmy swoje zalety, wady, przyzwyczajenia, zamiłowania. Wspieraliśmy się w ważnych okresach naszego życia: matura, decyzja o kierunku studiów, egzaminy, praca. Zawsze razem.

Czas płynął, mijały kolejne lata, było nam razem dobrze, więc stwierdziliśmy, że czas podjąć decyzję o ślubie, dać świadectwo naszej miłości. Zmobilizował nas ksiądz Andrzej. Kiedy na kolejnej wizycie duszpasterskiej w marcu 1999 r. zastał Piotra u mnie w domu, zapytał: „kiedy w końcu weźmiecie ślub?" Pragnęlibyśmy w czerwcu, ale brak terminów i myślimy, że jest to niemożliwe, by zorganizować wszystko w tak krótkim czasie. Niewzruszony ksiądz Andrzej stwierdził: „przyjdźcie do mnie we wtorek, a na pewno damy radę". I daliśmy. Ustawił tak terminy innych ślubów, by w dniu 26 czerwca 1999 r. było miejsce również i dla nas. Sala weselna? Nic prostszego, gdy szuka cała rodzina! Szwagier zapytał w pobliskim kasynie wojskowym i okazało się, że interesujący nas termin jest wolny, bo właśnie jedna z par zrezygnowała z hucznego wesela. I jak tu się nie dopatrywać ręki Boga?

Podjęliśmy szybko decyzję i rozpoczęliśmy przygotowania do ważnej uroczystości. 26 czerwca 1999 r. wypowiedzieliśmy słowa przysięgi małżeńskiej. Czułam się cudownie w tym dniu, taka dumna, ważna i kochana.

Rozpoczęliśmy wspólne życie i zaczęliśmy myśleć o powiększeniu naszej rodziny. Wielu znajomych mówiło nam, że będziemy dobrymi rodzicami. Czekaliśmy na nasze potomstwo, ale jakoś nie chciało się pojawić w moim brzuszku. Po pewnym czasie zaczęliśmy się niepokoić. Postanowiliśmy sprawdzić, czy wszystko jest w porządku. Rozpoczęliśmy trudny czas badań i wizyt u specjalistów. To był okres pełen nadziei, a później zawodów, niepokoju i ogromnego stresu.

Diagnozy lekarzy były druzgocące. Straciliśmy nadzieję i cały zapał, choć mieliśmy ogromne wsparcie bliskich. Wtedy „potrząsnął nami" nasz przyjaciel Andrzej i wspomniał o adopcji. Umówił spotkanie z zaprzyjaźnioną parą, która adoptowała córeczkę. Młodzi ludzie opowiedzieli nam swoją historię, drogę, jaką przeszli, co czuli i co czują. Biło od nich szczęście i spełnienie. Do dziś jest to szczęśliwa rodzina.

Wiele rozmawialiśmy z Piotrem o badaniach, jak również o adopcji. Doszliśmy do wniosku, że życie napisało nam trochę inny scenariusz. Czy Bóg pozwoli nam sprawdzić się, jako rodzice adopcyjni? Spróbujmy! Przecież chcemy tego oboje.

W 2005 r. zgłosiliśmy się na rozmowę do Katolickiego Ośrodka Adopcyjnego. To była miła rozmowa, choć bardzo stresująca. Dostaliśmy wykaz do-

kumentów, które musimy dostarczyć i warsztatów, które musimy przebyć. Największym wyzwaniem był „list do Dziecka". Ciężko było nam napisać list, do jeszcze nieznanej nam Osóbki.

Dla mnie najmilszym elementem przygotowań było „spotkanie małżeńskie". Doświadczenie to pozwoliło nam w pełni otworzyć się przed sobą i poruszyć tematy, o których nigdy nie rozmawialiśmy. Łezka w oku się kręci na samo wspomnienie. Dowiedzieliśmy się o sobie wielu nowych rzeczy. Z każdym przebytym warsztatem dowiadywaliśmy się coraz więcej i przybliżaliśmy się do upragnionego celu. Każde spotkanie potwierdzało o słuszności procedur adopcyjnych. Dobrze, że ktoś nas oceni, czy to właśnie my powinniśmy zostać rodzicami. Było to wszystko dla dobra dziecka. Kiedy zakończyliśmy kurs i okazało się, że na Komisji oceniono nas pozytywnie, była radość i nadzieja, że niedługo będziemy mieli nasz Skarb.

Rodzina i znajomi cieszyli się razem z nami, choć były też osoby przeciwne adopcji. Co prawda tylko dwie, ale zawsze... wymiana poglądów nic nie dawała, my swoje – sceptycy swoje. Zaraz, zaraz przecież nasze szczęście nie może zależeć od dwóch osób. Trudno, wszystkich nie przekonasz! Działamy dalej! Czekaliśmy na telefon, niestety on milczał aż do 28 grudnia 2006 r. Tego dnia pani Ula zadzwoniła z wieścią, że czeka na nas Córeczka i czy chcielibyśmy ją poznać?

Do spotkania doszło 2 stycznia 2007 r. Była przerwa sylwestrowa i musieliśmy czekać. Czas nam się dłużył, można powiedzieć, że to był najdłuższy koniec roku, jaki przeżyliśmy! Zastanawialiśmy się, jak to będzie, co będziemy czuć, jak się zachowamy, widząc nasze Maleństwo. Jednym słowem, cała masa pytań. Kiedy zobaczyliśmy naszą Córeczkę, poczuliśmy wzruszenie, radość i wdzięczność Bogu. Pamiętam, jak wzięłam Wiktorię po raz pierwszy na ręce, a Piotr przytulił nas obie. To uczucie pielęgnuję w sobie do dziś, przez te wszystkie lata. W końcu poczułam, że jesteśmy już razem, na zawsze.

Mamy Córeczkę! Piotr wysłał nasze zdjęcie najbliższym. Wszyscy odetchnęli z ulgą, że nasza wytrwałość dała nam Szczęście. Były gratulacje i radość, a my cieszyliśmy się sobą. Przez tydzień jeździliśmy do Wiktorii. Mogliśmy przebywać z nią od godziny 8.00 do 20.00. O ile rano była ogromna radość, to wieczorem było nam ciężko się rozstać.

Już po dwóch dniach mieliśmy wrażenie, że nas poznaje i uśmiecha się do nas. Zawładnęła naszymi sercami. Tak zostało do dziś. Wiktoria przyjechała z nami do domu 8 stycznia 2007 r. W domu czekały na nas babcie. Były łzy radości i szczęścia, które lały się strumyczkami. Wszyscy przyjęli Wiktorię bardzo ciepło. A te dwie sceptycznie nastawione osoby, to aktualnie najlepsze ciocie. Dopiero gdy ją zobaczyły i poznały, to naprawdę pokochały.

Dziś Wiktoria ma prawie 8 lat. Te siedem minęło szybko, zbyt szybko. Cudownie jest brać udział w jej rozwoju, patrzeć jak rośnie, jak się rozwija, pokonuje trudności. Jest dla nas ogromną radością, tematem rozmów i dumą. To bardzo mądra i dobra dziewczynka! Okazuje nam wiele miłości i czujemy, że jest jej dobrze w naszej rodzinie.

I choć każdy wie, że wychowanie dziecka, to ogromna odpowiedzialność i trudna praca, to kiedy Wiki patrzy na nas swymi niebieskimi oczkami i mówi: „kocham was, moi kochani rodzice", to wiemy, że podjęliśmy najlepszą i najsłuszniejszą decyzję. Wiktoria ostatnio napisała sama do mnie sms'a „kohamciemamo". I tak czuję. Czuję się kochana i szczęśliwa.

Dziękuję Bogu za moją rodzinę. A co Bóg jeszcze napisze w scenariuszu naszego życia??? To czas pokaże. Czy będziemy mogli być rodzicami drugiego dziecka? W październiku zeszłego roku zgłosiliśmy się do KAO. Chcielibyśmy powiększyć naszą Rodzinę. Zakończyliśmy już przygotowania, jeszcze Komisja. Wydawałoby się, że drugi raz jest już łatwiejszy. I mimo iż warsztatów i rozmów było już mniej niż za pierwszym razem, to jednak emocji jest równie wiele. Staramy się cierpliwie czekać.

Chcemy skorzystać z okazji i podziękować Pani Dyrektor za ogromne zaufanie, jakim nas obdarzyła. Paniom z KOA za wskazówki, porady, i pracę, jakiej dokonały. Również naszemu przyjacielowi Andrzejowi za wskazanie nam drogi.

Dziękujemy!!

Ilona i Piotr Mystkowscy

NASZA **RODZINKA**

Chcemy się podzielić naszym szczęściem, DAREM, który otrzymaliśmy od Pana Boga. Wszystko zaczęło się na początku naszego małżeństwa, kiedy pragnęliśmy mieć dzieci. Staraliśmy się, by nasza rodzina mogła się powiększyć, ale nic nie wychodziło. Właściwie to w pewnym momencie żyliśmy w ogromnym cierpieniu, wszystko przestało się liczyć… pustka, tęsknota, niezrozumienie, pytanie: dlaczego? Dlaczego, Boże, nie dajesz nam dzieci?

Po paru latach, kiedy otrzymaliśmy informację, że tylko przez in vitro możemy zostać rodzicami, przeżyliśmy wstrząs. Byliśmy gotowi zrobić wszystko, ale na szczęście tu granica została osiągnięta. Z płaczem, ale również z ulgą, wyszliśmy z kliniki. Już wiedzieliśmy na czym stoimy. To koniec. Razem spojrzeliśmy z mężem na siebie i ze łzami powiedzieliśmy: dobrze, Boże, niech się dzieje Twoja Wola, poddajemy się, Ty wiesz lepiej, daj nam wierzyć i przyjmować to, co dajesz.

Kiedy zaakceptowaliśmy ten fakt, wszystko się zmieniło. Modliliśmy się dalej, powierzając naszą sytuację Bogu. Dzięki naszym znajomym trafiliśmy do Katolickiego Ośrodka Adopcyjnego na Grochowie. Czuliśmy, że to nasze miejsce, że w końcu trafiliśmy pod właściwy adres, że dla naszej rodziny przewidziane jest coś wspaniałego. Coś, czego nie możemy sobie wyobrazić, ani zaplanować.

Po półtorarocznym przygotowaniu, dzięki pomocy Ośrodka, powitaliśmy w domu Naszą Córeczkę Antosię. Miała 7 tygodni, była maleńka i piękna. Tej radości nie da się opisać, istne szaleństwo. Zawsze jednak pragnęliśmy być większą rodziną. Kiedy Antosia miała około dwóch lat, zgłosiliśmy się ponownie do Ośrodka o pomoc w przysposobieniu kolejnego dziecka. To wcale nie był dla nas łatwy czas. Antosia była dziewczynką absorbującą. No i ten „bunt dwulatka” ☹.

Po otrzymaniu informacji, że zostaliśmy zakwalifikowani i możemy oczekiwać kolejnego dziecka, spokojnie czekaliśmy, skupiając uwagę i czas na Antosi. Oczywiście kiedy były trudniejsze dni, zastanawialiśmy się, czy to na pewno ten czas, czy damy sobie radę z kolejnym dzieckiem. Każda nasza decyzja była przemodlona, a Pan Bóg drążył w naszych sercach i otrzymywaliśmy tę tęsknotę, i pragnienie dziecka. Wręcz można powiedzieć, że my tylko odpowiadaliśmy na wołanie Pana Boga i zawsze otrzymywaliśmy potwierdzenie naszych wyborów. Tak to właśnie było z naszym synkiem.

Kiedy trwaliśmy w oczekiwaniu na kolejne dziecko, otrzymaliśmy informację z Katolickiego Ośrodka Adopcyjnego, że naszej córeczce urodził się brat biologiczny i na nas czeka. Przyszedł na świat, bo na niego czekaliśmy. Szok. Wszelkie wątpliwości odeszły. Bóg znów potwierdził nasze decyzje, że to On daje życie naszym dzieciom, a one są największym Darem dla nas. Dzisiaj nasza córeczka Antosia ma 9 lat, synek Szymonek 7 i mamy jeszcze jedno szczęście w domu.

Po dwóch latach modlitw naszych dzieci o siostrę lub brata, otrzymaliśmy kolejną ogromną niespodziankę – Oleńkę. Zabraliśmy ją do domu w lutym tego roku. Ma już 7 miesięcy. Uśmiech od ucha do ucha nie znika z jej buzi. Antosia z Szymonkiem bardzo kochają swoją siostrę, a my jesteśmy najszczęśliwszymi osobami na świecie. Nasze dzieci są największym szczęściem, jakie mogliśmy sobie wymarzyć. To jest sens życia.

Dziękujemy Wszystkim pracownikom Katolickiego Ośrodka Adopcyjnego w Warszawie, którzy przyczynili się do tego szczęścia, a szczególnie Pani Ani Bałut. Wielkie Bóg zapłać!

Małgorzata i Piotr

MIŁOŚĆ JEDNAKOWA I BEZINTERESOWNA

Kiedy zawierasz związek małżeński, to masz na myśli „rodzina". Zakładamy ją, aby stworzyć fundament dla następnego pokolenia. My również chcieliśmy, aby nasza rodzina miała w tym swój udział. Rok po ślubie zaczęliśmy starać się o dziecko. Pomimo leczenia i podejmowanych prób, nie przyniosło to oczekiwanego efektu.

Nasze starania o dziecko doszły do takiego punktu, w którym zdaliśmy sobie sprawę, że liczy się jedynie ono, a nie to, w jaki sposób pojawi się w naszej rodzinie.

Wybór ośrodka był jednoznaczny. Jesteśmy katolikami i wiedzieliśmy, że do takiego ośrodka musimy się zgłosić. Katolicki Ośrodek Adopcyjny był jedynym wyborem. Po umówieniu się na pierwsze spotkanie czuliśmy, że trafiliśmy we właściwe miejsce. Po warsztatach, które były dla nas nieocenioną pomocą i źródłem wiedzy, po wizycie w naszym domu pracownika Ośrodka, czekaliśmy na upragnioną kwalifikację.

Pamiętam jak dziś. Był poniedziałkowy wieczór, gdy dostaliśmy sms z informacją o zakwalifikowaniu się. Nasza radość była ogromna, ponieważ „narodziny" naszego dziecka były tylko kwestią czasu. I tak się stało. Dokładnie po sześciu tygodniach dostaliśmy przez telefon wiadomość, że „urodził się nam syn". Trudno opisać nasze uczucia, które w tym momencie się pojawiły. Radość, która przepełniała nasze serca, była przeogromna.

Kiedy nasz syn znalazł się po raz pierwszy w moich ramionach, czułam wypełniającą serce miłość do tego dziecka. Był doskonały i nasz.

Bardzo szybko z pomocą Ośrodka załatwiliśmy wszelkie formalności i nareszcie nasz syn znalazł się w swoim domu. Pierwsze dni były trudne. Pamiętam, jak bardzo chciałam postępować zgodnie ze wskazaniami i w nocy obudziłam go na karmienie. Niestety, nie spodobało mu się i obdarował nas symfonią pła-

czu. Po tym incydencie zaprzestałam karmienia „na czas".

Jedyną rzeczą, która nas niepokoiła, był ciągły płacz. Każda zmiana otoczenia, wyjście do lekarza czy znajomych – kończyły się natychmiastowym powrotem do domu. Bardzo źle znosił wszelkiego rodzaju zmiany w najbliższym otoczeniu, osoby przychodzące ignorował. Otoczenie musiało mieć ustalony porządek. Mówiono nam, że widocznie „tak ma", że taki jest. Dla nas był doskonały.

Kiedy nasz syn miał półtora roku, zdecydowaliśmy się na przyjęcie drugiego dziecka. Procedura już uproszczona, czas biegł szybko i nastał moment wizyty w naszym domu pracownika Ośrodka. Mieliśmy szczęście spotykać na naszej drodze wspaniałych ludzi. Jedną z takich osób jest właśnie Pani Ania Lipska. To ona dostrzegła, że zachowanie naszego syna wymaga konsultacji ze specjalistami. Dzięki temu nasz syn w wieku dwóch lat trafił pod opiekę specjalistycznego Ośrodka. Tam, po obserwacji i konsultacjach, stwierdzono autyzm dziecięcy. Wiedzieliśmy, że musimy zrobić wszystko, co w naszej mocy, aby pomóc naszemu dziecku. Najważniejsze stało się dla nas, aby nasz syn rozwijał się prawidłowo i otrzymał wszelką pomoc. Plany odnośnie adopcji drugiego dziecka musiały poczekać. Zawiesiliśmy procedury, wiedząc, że nasze drugie dziecko pojawi się w odpowiednim czasie.

Szybka diagnoza, terapia i nasza praca z nim zaczęła przynosić rezultaty. Uplasował się w grupie dzieci wysoko funkcjonujących.

Czy było i jest ciężko? Oczywiście, że tak. Jednakże miłość do naszego dziecka jest w stanie pokonać wszelkie przeciwności. Daje nam siłę do dalszej walki o jego przyszłość. Od dziecka, które nie lubiło dotyku, do przytulania się z własnej woli, była długa droga. Jednakże nie ma nic wspanialszego na świecie, jak usłyszenie od swojego dziecka: „Kocham Cię mamo, kocham Cię tato". Wiemy, że właśnie to konkretne dziecko musiało trafić do naszej rodziny, że to właśnie on został naszym synem. Zawierzyliśmy całkowicie pracownikom Ośrodka, wiedząc, że Pan Bóg wskazał na nas, abyśmy mieli tak wspaniałe dziecko.

Myśl o drugim dziecku cały czas była z nami. Po rozmowie z psychologiem po raz kolejny zgłosiliśmy się do Ośrodka i uzyskaliśmy pomyślną kwalifikację. Na naszą córkę czekaliśmy już dużo dłużej. Tym razem z informacją o naszej kruszynie zadzwoniła Pani Dyrektor. I tak jak w przypadku pierwszego dziecka, tak i wtedy wiedzieliśmy, że to na pewno jest **nasze dziecko**, mimo że jeszcze jej nie widzieliśmy.

Te kilka dni do pierwszego spotkania ciągnęły się strasznie długo. Kiedy pojechaliśmy na spotkanie z naszą córeczką, nie miało dla nas znaczenia, że mogą być z nią jakieś problemy, szczególnie przy cechach dysmorfi twarzy. Mój mąż, kiedy ją zobaczył, to stwierdził, że jest najpiękniejsza, bo jest nasza. Nie zastanawialiśmy się, czy będzie się prawidłowo rozwijać, czy będziemy mieli podobną sytuację, jak u syna. Wiara w to, że naszym losem kieruje Pan Bóg i to On podarował nam tak cudowne dzieci, sprawiła, że nie baliśmy się takiego wyzwania. Pokochaliśmy ją i tylko to się liczyło. Teraz nasza córka skończyła dwa lata i jest piękną, bardzo mądrą młodą damą.

Nawet w najśmielszych snach nie mogliśmy przewidzieć, jaki los nas jeszcze czeka. Kiedy nasza mała królewna miała dziesięć miesięcy, okazało się, że jestem w ciąży. W zeszłym roku urodziłam córkę. Teraz mam wszystko to, o czym marzyłam. Dwie wspaniałe córki i wyjątkowego syna. Nie ma najmniejszej różnicy między naszymi dziećmi. Miłość do nich jest jednakowa i bezinteresowna. Jesteśmy szczęściarzami, że możemy doświadczać tego rodzaju rodzicielstwa. Wierzymy, że tych dwoje niezwykłych dzieci musiało u nas odnaleźć swój dom, swoją rodzinę, abyśmy mieli nasze biologiczne dziecko. Kiedy patrzę na nie, jak bawią się razem, jak opiekują się sobą nawzajem, jak syn oddaje swoje ulubione zabawki siostrze, to jestem wdzięczna Panu Bogu i Ośrodkowi za ten cud, za nasze dzieci.

Jolanta i Łukasz Wysoccy

A THANK YOU LETTER

We owe a great debt of gratitude to the Catholic Center for the blessing of our fifth child, our fourth child through adoption and our only internationally adopted child. Lukasz has added so much love to our family and expanded our experience of the world in many wonderful ways; from a journey to Poland to seeing life through the eyes of a child so different in amazing ways from the rest of the world.

This was an unexpected journey in many, many ways. We never expected to adopt internationally. We never expected we would adopt a child with only one eye, one ear, half a jaw, right coronal craniosynostosis and a severe cleft lip and cleft palate. As it turns out, we cannot predict our future and sometimes one email can change your life forever in beautiful ways that only God can foresee.

When we learned through an email from our agency about Lukasz, I asked my husband if I should inquire for more information. He said, "It never hurts to ask." I emailed and asked "how bad are his facial deformities?" and the agency rep said, "I am happy to send photos." I'll admit that it took me a few minutes to take in all of Lukasz' face and let it settle in. The uncorrected cleft lip and palate were severe; the unformed right side of his face complete. But I fell in love.

LIST DZIĘKCZYNNY

Mamy ogromny dług wdzięczności wobec Katolickiego Ośrodka Adopcyjnego za błogosławieństwo, jakim jest nasze piąte dziecko. Łukasz – to czwarte adoptowane dziecko – jedyny, który przyszedł do naszej rodziny w drodze adopcji międzynarodowej.

Łukasz wniósł do rodziny dużo miłości i poszerzył nasze doświadczenie w różnorodnych sferach otaczającego nas świata; poczynając od podróży do Polski, do umiejętności patrzenia na rzeczywistość oczami dziecka, które na wiele zdumiewających sposobów różni się od reszty świata.

To była pod kilkoma względami nieoczekiwana podróż. Nigdy nie myśleliśmy o adopcji zagranicznej. Nigdy nie sądziliśmy, że przysposobimy dziecko, które ma tylko jedno oko, jedno ucho, połowę szczęki, prawostronną kraniostenozę oraz poważny rozszczep ust i podniebienia. Jak się okazuje, nie możemy przewidzieć przyszłości, a jeden e-mail może w cudowny sposób, który jedynie Bóg mógł zaplanować, na zawsze zmienić nasze życie.

Kiedy z agencji adopcyjnej otrzymaliśmy wiadomość o Łukaszu, zapytałam męża, czy mam poprosić o więcej informacji. On odpowiedział: „Nigdy nie zaszkodzi zapytać". Zatem napisałam e-mail z pytaniem: „Jak poważnie zdeformowana jest twarz Łukasza?" W odpowiedzi przeczytałam: „Chętnie wyślemy Pani zdjęcia". Przyznaję, że kilka minut zajęło mi przyglądanie się twarzy chłopca i przyzwyczajanie się do jej widoku. Niezoperowany jeszcze wtedy rozszczep ust i podniebienia nie wyglądał dobrze, dodatkowo prawa strona twarzy była kompletnie zdeformowana. Ale ja zakochałam się w nim.

Zaczęłam zapoznawać się z jego medyczną historią. Za pośrednictwem grup wsparcia dostałam kontakt do zespołów chirurgów twarzoczaszki. Skontaktowałam się z nimi i naszym lekarzem rodzinnym, prosząc o ich opinie. Otrzymane opinie medyczne były krańcowo różne – od bardzo złych: „On nie wyjdzie z pieluch do końca swojego życia" do całkiem pozytywnych: „To nic wielkiego, on ma po prostu jedno ucho i jedno oko, będzie miał się dobrze".

I researched his medical conditions. I reached out to support groups on and contacted craniofacial surgical teams and our family doctor for their opinions. Medical opinions ranged from, "he could be in diapers for the rest of his life" to "no big deal, he has one ear and one eye—he'll be fine".

However, all the doctors agreed that he would require ongoing surgical intervention for the first eighteen years of his life and that each of those craniofacial surgeries would be medically necessary and necessarily expensive. But somehow we knew that even though the unknown was terrifying, we wanted him.

A LEAP OF FAITH

It came down to whether we wanted to take the leap of faith into the unknown that every adoptive parent must make. There are too many unknowns in adoption to expect a smooth ride. You cannot expect to know even nearly everything about the birth parents or the adoptive child prior to bringing them home.

The faith you leap with can only, at best, be educated and confident that you can do what it takes to parent and love his child completely and appropriately as if God had placed him in your womb. We took the leap. We accepted the referral. The negative medical information and opinions just did not *feel* right to us.

BECOMING A FAMILY

We traveled to Poland on June 20, 2012, and met Lukasz on June 22, 2012. His foster family's love was immense. We could feel their sorrow in letting him go but they were happy he would have a family. The devotion of

Jednakże wszyscy lekarze zgodzili się, że Łukasz zanim ukończy 8 lat, będzie wymagał kilku chirurgicznych interwencji, że każda z tych operacji twarzoczaszki z medycznego punktu widzenia będzie konieczna i będzie kosztowna.

Chociaż to, co zakryte przed nami, wydawało się zatrważające, jakoś wiedzieliśmy, że chcemy Łukasza.

SKOK WIARY

Wszystko sprowadzało się do tego, czy chcemy wykonać w to „nieznane" krok wiary, który w pewnym sensie każdy adopcyjny rodzic musi zrobić. W adopcji jest zbyt wiele niewiadomych, aby spodziewać się, że wszystko pójdzie gładko. Nie można oczekiwać, że otrzyma się wszystkie informacje o dziecku i jego biologicznych rodzicach, jeszcze zanim przywiezie się dziecko do domu.

Ów skok wiary w najlepszym razie można wesprzeć edukacją i przeświadczeniem, że zrobisz wszystko, co w twojej mocy, aby być rodzicem i kochać to dziecko całkowicie i tak samo, jakby Bóg umieścił je w twoim łonie. Zrobiliśmy ten krok. Zdecydowaliśmy się na adopcję Łukasza. Co do wszystkich tych negatywnych opinii i informacji, czuliśmy, że się nie sprawdzą.

STAJEMY SIĘ RODZINĄ

Przybyliśmy do Polski 20 czerwca 2012 roku. 22 czerwca poznaliśmy Łukasza. Miłość rodziców zastępczych do chłopca była ogromna. Widzieliśmy ich smutek, kiedy rozstawali się z dzieckiem, ale z drugiej strony byli szczęśliwi, że będzie on miał prawdziwą rodzinę. Zdumiewające było również zaangażowanie się bez reszty w sprawę Łukasza Pani dyrektor Ośrodka, która była przy jego urodzeniu, nadała mu imię – takie samo, jakie nosi jej syn – a jej ogromnym pragnieniem było, aby jak najszybciej znalazł dom.

30 lipca 2012 roku, po sześciu tygodniach spędzonych w Polsce, przybyliśmy do naszego domu z nowym synem Łukaszem. Natychmiast został on zaakceptowany przez swoje rodzeństwo i stał się jednym z nich. Jego siostra i bracia czekali na niego tak samo długo, jak my. Każdego dnia odkąd otrzymaliśmy dokumentację Łukasza i zdjęcia, dopytywali: „Kiedy

the adoption center's director to Lukasz was amazing. She was at his birth, named him after her son and so desperately wanted him to have a home as quickly as possible.

On July 30, 2012, I arrived home after 6 weeks in Poland with Lukasz, our new son. He was immediately embraced by his siblings as one of their own. They had been waiting for him for as long as we had. Every day after the day they saw his referral pictures, they had asked, "When are we bringing our brother home?" As much as we had loved him from the moment we heard of him, they did as well.

Lukasz is a child of joy, pure energy, stubborn determination, and was given the gift of a complete, blissful inability to recognize the stares and comments his appearance often elicits. He has an infectious charm that wins even the most wary stranger over. He loves to copy everything his big brothers do and even lets his sister comb his hair. He is speaking better and better everyday. In February, he had cranial vault reconstruction to reshape his skull and bring his right cheek forward. They surgeons told us that he would be tired and in pain for several weeks but he surprised them by recovering being able to go in three days rather than six and getting back to normal activity almost immediately.

THANK YOU

We know that God's plan was for Lukasz to join our family. The Catholic Center, the foster family, our agency, and in-country agency representative (and her family as well) truly acted as the hands and feet of Christ in bringing him home to us.

Thank you, for advocating for Lukasz and all children waiting for families. Thank you for entrusting us with your precious child.

Adopting all of our children was a miracle. Adopting Lukasz from Poland was a lesson in being open to whatever unexpected opportunity comes our way. We pray that other families, Polish and international, will have the courage to prayerfully accept a child into their families through adoption.

Sometimes the most unexpected are the greatest of God's gifts.

Susan Kane

przywieziecie naszego brata do domu?" I podobnie jak my, oni również pokochali go od momentu, kiedy usłyszeli o nim.

Łukasz jest dzieckiem wypełnionym radością, jest czystą energią – uparty w dążeniu do celu. Posiada również niezwykły dar całkowitej i rozbrajającej niezdolności do zauważania tych wszystkich spojrzeń, przyglądania mu się oraz komentarzy dotyczących jego wyglądu. Zaraża swoim wdziękiem, którym zjednuje wszystkich, nawet tych najbardziej zdystansowanych obcych. Uwielbia naśladować swoich starszych braci, a nawet pozwala siostrze czesać swoje włosy. Z każdym dniem jego mowa się poprawia. W lutym miał rekonstrukcję sklepienia czaszki, w wyniku czego zmienił się kształt jego głowy i prawy policzek został wysunięty do przodu. Chirurdzy powiedzieli nam, że Łukasz będzie zmęczony i obolały przez kilka tygodni po operacji. Jednakże nasz syn zaskoczył wszystkich szybkim powrotem do zdrowia. Chodzić mógł już po trzech dniach, a nie po sześciu, i prawie natychmiast wrócił do swej normalnej aktywności.

PODZIĘKOWANIA

Wiemy, że Bożym planem dla Łukasza było, aby dołączył do naszej rodziny. Katolicki Ośrodek Adopcyjny, rodzina zastępcza, nasza agencja i jej przedstawicielka w Polsce (oraz jej rodzina) prawdziwie działali „jak ręce i stopy Chrystusa", aby to dziecko znalazło się w naszej rodzinie.

Dziękujemy za wszystkie działania na rzecz Łukasza i innych dzieci czekających na swoje rodziny. Dziękujemy za obdarzenie nas zaufaniem i powierzenie nam Łukasza, naszego cudownego dziecka.

Adopcje wszystkich naszych dzieci były cudem. Adopcja Łukasza z Polski nauczyła nas bycia otwartym na wszystkie nieoczekiwane możliwości, które pojawią się na drodze naszego życia. Modlimy się, aby inne rodziny, zarówno polskie, jak i te zagraniczne, miały odwagę z modlitwą przyjąć dziecko do rodziny w drodze adopcji.

Czasem to, co nieoczekiwane, okazuje się największym prezentem od Boga.

Susan Kane

Panie Jezu,
który wiernie nawiedzasz i wypełniasz Twoją obecnością Kościół i historię ludzi,
który w godnym podziwu Sakramencie Twojego Ciała i Twojej Krwi
czynisz nas uczestnikami życia Bożego
i dajesz nam przedsmak radości życia wiecznego,
uwielbiamy Cię i błogosławimy.
W pokornym uniżeniu przed Tobą,
Źródło i Miłośniku życia,
prawdziwie obecny i żywy pośród nas,
błagamy Cię:
Ożyw w nas szacunek dla każdego rodzącego się ludzkiego życia,
uzdolnij nas do dostrzegania wspaniałego dzieła Stwórcy w owocu matczynego łona,
przygotuj nasze serca do hojnego przyjęcia każdego dziecka, które sposobi się do życia.
Błogosław rodziny,
uświęcaj małżeństwa,
uczyń płodną ich miłość.
Oświecaj światłem Twojego Ducha decyzje parlamentów,
aby ludy i narody uznawały i szanowały świętość życia,
każdego ludzkiego życia.
Kieruj pracą naukowców i lekarzy,
aby postęp przyczyniał się do pełnego dobra osoby ludzkiej
i aby nikogo nie zabijano i nikt nie doświadczał niesprawiedliwości.
Obdarz twórczą miłością rządzących i ekonomistów,
aby umieli przewidywać i zapewniać odpowiednie warunki,
tak aby młode rodziny mogły ze spokojem otworzyć się na przyjęcie kolejnych dzieci.
Pocieszaj pary małżeńskie, które cierpią
z powodu niemożności posiadania dzieci
i w Twojej dobroci zapewnij im to, czego pragną.
Ucz wszystkich opieki nad sierotami i dziećmi opuszczonymi,
aby mogły doświadczyć ciepła Twojej miłości,
pocieszenia Twojego Boskiego Serca.
Wraz z Maryją, Twoją Matką, kobietą wielkiej wiary,
w której łonie przybrałeś naszą ludzką naturę,
od Ciebie, który jesteś naszym jedynym i prawdziwym Dobrem i Zbawicielem,
oczekujemy siły, aby kochać życie i służyć mu,
w nadziei na życie wieczne w Tobie,
w jedności z Błogosławioną Trójcą.
Amen.

/Modlitwa Benedykta XVI
podczas czuwania modlitewnego
27 listopada 2010 r./

„I KTO BY PRZYJĄŁ JEDNO TAKIE DZIECKO W IMIĘ MOJE, MNIE PRZYJMUJE.”

Mt 18,5

„STRZEŻCIE SIĘ, ŻEBYŚCIE
NIE GARDZILI ŻADNYM
Z TYCH MAŁYCH;
ALBOWIEM POWIADAM WAM:
ANIOŁOWIE ICH W NIEBIE
WPATRUJĄ SIĘ ZAWSZE
W OBLICZE OJCA MOJEGO,
KTÓRY JEST W NIEBIE.”

Mt 18,10

„PRZYNOSILI MU RÓWNIEŻ DZIECI, ŻEBY ICH DOTKNĄŁ;
LECZ UCZNIOWIE SZORSTKO ZABRANIALI IM TEGO.
A JEZUS WIDZĄC TO, OBURZYŁ SIĘ I RZEKŁ DO NICH:
«POZWÓLCIE DZIECIOM PRZYCHODZIĆ DO MNIE,
NIE PRZESZKADZAJCIE IM;
DO TAKICH BOWIEM NALEŻY KRÓLESTWO BOŻE.
ZAPRAWDĘ, POWIADAM WAM:
KTO NIE PRZYJMUJE KRÓLESTWA BOŻEGO JAK DZIECKO,
TEN NIE WEJDZIE DO NIEGO».
I BIORĄC JE W OBJĘCIA, KŁADŁ NA NICH RĘCE I BŁOGOSŁAWIŁ JE.”

Mk 10,13-16

KATOLICKIE OŚRODKI ADOPCYJNE

Ośrodek Adopcyjny Caritas Diecezji Bydgoskiej
im. Św. Jana Pawła II
ul. Cienista 2, 85-819 Bydgoszcz
tel.: (52) 375 36 05
e-mail: adopcja@lo.pl
www.adopcja.lo.pl

Diecezjalny Ośrodek Adopcyjny
Caritas Diecezji Zielonogórsko-Gorzowskiej
ul. Czereśniowa 15, 66-400 Gorzów Wielkopolski
tel.: (95) 722 91 92
e-mail: doagorzow@caritas.pl
www.caritas.zgora.pl

Ośrodek Adopcyjny Archidiecezji Katowickiej
ul. Plebiscytowa 49A, 40-041 Katowice
tel.: (32) 608 15 96
e-mail: adopcja@archidiecezja.katowice.pl
www.rodzina.archidiecezja.katowice.pl

Ośrodek Adopcyjny „Dzieło Pomocy Dzieciom"
ul. Rajska 10, 31-124 Kraków
tel.: (12) 631 03 00
fax: (12) 631 03 02
e-mail: oarajskazmiaca@dpd.pl
www.dpd.pl,
www.adopcja.dpd.pl

Archidiecezjalny Ośrodek Adopcyjny
ul. Broniewskiego 1a, 93-162 Łódź
tel.: (42) 682 18 88, 607 161 920
(42) 682 18 92
e-mail: aoa@csr.org.pl
www.adopcja.net

Katolicki Ośrodek Adopcyjny i Opiekuńczy
Pl. Katedralny 4, 45-005 Opole
tel.: (77) 441 99 05, (77) 441 15 00
e-mail: adopcje@dfoz.pl
www.dfoz.pl

Chrześcijański Ośrodek Adopcyjny „Pro Familia"
ul. Kosińskiego 27, 61-522 Poznań
tel.: (61) 628 21 85
e-mail: profamilia@tprngo.pl
www.tprngo.pl/profamilia

Katolicki Ośrodek Adopcyjny
przy Caritas Diecezji Radomskiej
ul. Kościelna 5, 26-604 Radom
tel.: (48) 385 15 34
e-mail: oadopcyjny@caritas.pl
www.radom.caritas.pl/katolicki-osrodek-adopcyjny

Diecezjalny Ośrodek Adopcyjny
ul. Skautów 1, 41-200 Sosnowiec
tel.: (32) 269 51 70, 519 512 819
fax: (32) 29 29 893,
e-mail: rodzina@sosnowiec.opoka.org.pl
www.rodzina.sosnowiec.pl

Ośrodek Adopcyjny
Stowarzyszenia Rodzin Katolickich
Archidiecezji Szczecińsko – Kamieńskiej
ul. Mickiewicza 3, 70-383 Szczecin
tel.: (91) 442 50 85, (91) 886 54 80, 796 425 085
e-mail: adopcje@adopcje.pl
www.adopcje.pl

Diecezjalny Ośrodek Adopcyjno-Opiekuńczy
ul. Panny Marii 2, 87-100 Toruń
tel.: (56) 652 26 26, 603 947 542
e-mail: adopcje@doao-torun.pl
www.doao-torun.pl

Katolicki Ośrodek Adopcyjny
ul. Grochowska 194/196, 04-357 Warszawa
tel.: (22) 618 92 45, (22) 818 54 30
e-mail: katolickiosrodek@interia.pl
www.adopcja.org

Archidiecezjalny Ośrodek Adopcyjny
ul. Katedralna 4/25, 50-328 Wrocław
tel.: (71) 327 11 03
fax: (71) 322 91 82
e-mail: apa@archidiecezja.wroc.pl
www.adopcja.wroclaw.pl

DAR

DAWNO TEMU BYŁO SOBIE MAŁŻEŃSTWO...

Powinnam zacząć tak: dawno, dawno temu było sobie Małżeństwo: Ona i On, Kobieta i Mężczyzna - dwoje najdroższych sobie na świecie ludzi. Zakochani, zdecydowali się razem pójść przez życie. Na dobre i na złe, w szczęściu i bólu, zawsze razem. Czy wyobrażali sobie, jak potoczy się ich wspólna droga? Ale to wcale nie było tak bardzo dawno, dlatego więc zaczynam jeszcze raz.

Pamiętny dzień 2 sierpnia 2003 roku. Wielkie wydarzenie – ich ślub, a potem wspólna droga przez życie. Kochali się i szanowali. Razem założyli firmę, byli szczęśliwi, podróżowali, mieli czas dla siebie i na swoje zainteresowania, ale też ciężko pracowali na własny wymarzony dom. Mijał dzień za dniem, tydzień za tygodniem, miesiąc za miesiącem, rok za rokiem… Wszystko super - firma się rozwija, własny dom coraz bliżej realizacji - to będzie odpowiedni czas na powiększenie rodziny.

Ona już od jakiegoś czasu interesowała się tematami związanymi z powiększeniem rodziny, więc wyznaczyła sobie termin bezstresowego starania się o dziecko do roku czasu. Z wielką nadzieją, z miesiąca na miesiąc, wyczekiwała tego dnia, kiedy będzie mogła podzielić się wspaniałą nowiną ze swoim kochanym mężem oraz z najbliższą rodziną. Wyobrażała sobie już sposób, w jaki przekaże mężowi szczęśliwą wiadomość. Planowała: może na urodziny albo imieniny (jeśli to się stanie w zbliżonym okresie), może w restauracji mąż zamiast deseru dostanie karteczkę ze szczęśliwą wiadomością, że zostanie tatą, a może na wyjeździe lub na romantycznym spacerze? Na pewno musiałaby to być wyjątkowa, uroczysta chwila. Nie mogła się doczekać spodziewanego poczucia szczęścia, gdy wszyscy najbliżsi dowiedzą się, że w rodzinie pojawi się dziecko. To będzie piękna i niezapomniana chwila – myślała kobieta. Ale jakoś ta chwila nie nadchodziła.

Czas płynął, mijały miesiące, a na szczęście, które ona chciała ogłosić całemu światu, ciągle jeszcze musieli czekać. Zdenerwowana patrzyła w swój kalendarzyk, ponieważ czas bezstresowego okresu oczekiwania na potomstwo, który sobie kiedyś wyznaczyła, dawno już minął. Ich znajomi często powtarzali, że zazdroszczą im takiego beztroskiego życia. Jednak oceniali sytuację patrząc tylko „z zewnątrz", nie rozumiejąc, że ich serca tęsknią za czymś wyjątkowym, czymś więcej niż dobra materialne oraz prywatne przyjemności i gotowi byli zrobić wszystko, aby ich marzenie się spełniło. Jednak wciąż musieli czekać. Mąż uspokajał żonę i prosił o cierpliwość ….ale ile można czekać? Pora zdecydować się na kolejny krok.

WIZYTA U LEKARZA...

Postanowili skorzystać z pomocy medycznej. Teraz wszystko się ułoży - to tylko kwestia kilku miesięcy - zapewniali pierwsi lekarze. Ale kilka miesięcy minęło i dalej nic. Kolejne wizyty w różnych klinikach, kolejne wykonywanie tych samych badań, ale za każdym razem inna diagnoza. Raz stwierdzono przyczynę niepłodności po jej stronie, raz po jego. Odwiedzili kilka najlepszych klinik w Warszawie i w każdej z nich inna diagnoza. Jak to możliwe - niepokoili się Małżonkowie. Za każdym razem musieli powtarzać te same żmudne i krępujące procedury. Czy nie można wydać opinii na podstawie badań, które już wykonali? Niestety nie, ponieważ każda klinika uważała, że nie bierze odpowiedzialności za badania, które zostały przeprowadzone w innych miejscach i trzeba wykonać wszystko od początku. Czy to normalne? Czy aby ten świat podąża na pewno we właściwym kierunku?

Pojawiły się kolejne podpowiedzi odnośnie realnych możliwości i sposobów leczenia bezpłodności. Tym razem zaproponowano im metodę naturalną - ziołolecznictwo. Kilkanaście wizyt u poleconego znachora z Tybetu, a następnie u specjalisty z Wietnamu. Wysnuto diagnozę: trzeba czasu na regenerację zmęczonych i zestresowanych organizmów, aby „matka natura" zadziałała jak trzeba. Więc małżonkowie kilka razy dziennie tarli w moździerzu ciemne, okrągłe kuleczki i pili sporządzane z nich z ohydne napary, głęboko przekonani, że to może im pomóc. Mijały kolejne miesiące dalej bez żadnych efektów. Małżeństwo było już tak przemęczone różnymi diagnozami, wizytami, konsultacjami i lekarzami, którzy zapewniali, że to tylko kwestia kilku miesięcy, że potrzebowali odpoczynku od tego zamieszania. Co się dzieje? Przecież minęło tyle czasu, wykonali już mnóstwo powtarzających się badań, odwiedzili tylu specjalistów, a wszystkie szczegółowe badania potwierdziły, że wszystko jest w porządku i u kobiety, i u mężczyzny, a potomstwa wciąż nie ma. On niejednokrotnie przypominał żonie: Odpocznijmy od tego wszystkiego. Przyczyna leży w psychice. Odpocznijmy, a wszystko się ułoży. Ona na kilka miesięcy faktycznie zostawiła wszystkie leki z przekonaniem, że może faktycznie są tak przemęczeni firmą i ganianiem po lekarzach, że odpoczynek im się przyda. Ale nie zaznała spokoju na długo. Jak to jest możliwe - myślała - że wszystko jest w porządku, a nie ma dziecka? Jak to możliwe, że to przytrafiło się to właśnie nam? I dlaczego nam? I dalej, pochłonięta bez reszty, szukała kolejnych klinik, gdzie pracują specjaliści od niepłodności, którzy znów zlecali te same badania.

To jest żałosne i karygodne, że można wykorzystywać zdesperowanych ludzi, naciągając ich na bezsensowne powtarzanie kosztownych badań, bogacąc się na ludzkim nieszczęściu. Jak to wszystko sprytnie wymyślone. Luksusowe kliniki, perfekcyjna obsługa, piękne bukiety kwiatów na korytarzach i w pokojach, zestawy jednorazowych ubrań do każdego badania, pełen przepych, za który płacą przyszli rodzice. Przecież wiadomo, że każda para mająca nadzieję na rodzicielstwo zaoszczędzi każdy grosz, aby znaleźć pomoc u „specjalistów". Tylko niestety rola tych „specjalistów" wcześniej czy później kończyła się zawsze na propozycji zabiegu „in vitro". Bo już 200 PLN za wizytę to zbyt mało. Trzeba wyciągnąć jeszcze więcej pieniędzy, aby „na pewno" się udało. Widzą zdesperowane pary, którym brakuje nadziei, że kiedykolwiek zostaną rodzicami, i proponują jedyne słuszne według nich rozwiązanie - wystarczy zapłacić i marzenie się spełni. Korzystajcie! Czyż nie zrobicie wszystkiego, aby zostać rodzicami?! Jeśli na pewno chcecie rodzicielstwa - droga jest jedna. Można to było wyczytać po kilku wizytach z twarzy każdego lekarza. Nie mieliśmy świadomości, jakie można czerpać profity, narzucając parom starającym się o dziecko myślenie o sztucznym zapłodnieniu jako najlepszym rozwiązaniu problemu braku potomstwa. Kolosalne pieniądze ukryte pod fasadą humanitarnego leczenia.

Jak trzeba być silnym, aby nie ulec tej pokusie, że to wszystko jest takie proste, że wystarczy tylko poddać się „in vitro" i problem rozwiązany. Jak jest w rzeczywistości? Na to pytanie odpowiedzą kobiety, które po raz kolejny mają już ten zabieg za sobą. Niech któraś z nich opisze, jak czwarta i piąta podjęta próba nie zadziałała, a w konsekwencji „terapii" nie mogli odzyskać nawet wszystkich zarodków, bo lekarze nie potrafili udzielić im odpowiedzi na pytanie, co się z nimi stało. Bałagan w klinikach? Czy jednak może chodzi o coś więcej?

Dlaczego ta refleksja? Otóż jest potrzebna, ponieważ czasami też i żona zastanawiała się, czy nie poddać się temu „złotemu środkowi", ale dzięki wsparciu i mocnej wierze męża pomysł ten pogrzebała gdzieś głęboko, godząc się sama ze sobą.

Na rekolekcjach w Laskach poznała inne pary borykające się z tym samym problemem i usłyszała szczere do bólu opowieści przez łzy kobiet, które miały już tę długą i bolesną drogę za sobą, a u których niestety „złoty środek" jednak nie zadziałał. Tylko ich psychika została poszarpana w drobny mak i długo trzeba było z powrotem gromadzić ziarnko do ziarnka, aby znowu zacząć normalnie funkcjonować. A przecież media tak pięknie przedstawiały problem, mówiąc w samych superlatywach o tym, ile dzieci powstaje z probówek i jacy to ich rodzice są szczęśliwi……pewnie są, bo każde dziecko to dar, ale nie było ani słowa o wnętrzu

człowieka po nieudanych próbach, ponieważ tym się już nikt nie interesuje. Bo niby po co? Temat niemedialny, nierokujący, niemodny. Nie udało się, można spróbować kolejny raz. Jak w grze komputerowej albo w loterii. Kiedyś w końcu się uda… może…

NASZA DROGA...

Zastanawiając się nad tym wszystkim, co usłyszeli, małżonkowie byli dumni, że się na to nie zdecydowali. Wiedzieli, że „zabawa w Boga" może być zbyt bolesna i ryzykowna. Wiedzieli, że to byłby problem moralny, z którym nie mogli i nie chcieli walczyć. Zastanawiali się też czasami, czy to może przypadkiem nie jest próba ich wiary. Myśli te dodawały im nadziei i sił - więc wierzyli, coraz mocniej wierzyli...

W końcu na tyle nauczyli się odczytywać wyniki wykonywanych badań, że przeglądając je, sami mogli dokonywać interpretacji, nie widząc odchyleń od normy. A może spróbować kolejnego zaproponowanego przez medycynę rozwiązania - naprotechnologii? Usłyszeli kiedyś na rekolekcjach, że to nowa i bardzo skuteczna metoda leczenia niepłodności, zgodna z nauką Kościoła katolickiego. Zdecydowali się. Musieli odbyć dwumiesięczny kurs obserwacji zachowań własnego ciała, po skończeniu którego mogli samodzielnie opisywać jego reakcje i procesy biologiczne związane z płodnością. Kolejne miesiące to opisy, wykresy, badanie temperatury ciała. Po siedmiu miesiącach wnikliwego uzupełniania harmonogramów małżeństwo zgłosiło się do lekarza naprotechnologa z prośbą o diagnozę. Oczekiwali jej z niecierpliwością, ponieważ z pierwszej rozmowy z lekarzem pamiętali, że po przejściu całego etapu obserwacji i spotkań z trenerem „napro" przyczyna niepłodności będzie znana w 100%. Lekarz wziął całą teczkę dokumentów, zaczął przeglądać, wyliczać, jeszcze raz interpretować każdy miesiąc ich obserwacji i wykresów od początku. W końcu stwierdził: „Przykro mi to mówić, ale zupełnie nie spodziewałem się takiego wyniku. Wszystko u Państwa jest w jak najlepszym porządku i nie mam się do czego przyczepić. Przykro mi, ale chyba nie będę w stanie Państwu pomóc". A więc zapadł wyrok. Jak to nie będzie w stanie pomóc? W głowie kobiety ciśnienie sięga zenitu, aż w końcu wypowiada: „Ale przecież mówił Pan, że problem zostanie rozwiązany, że przyczyna zostanie odnaleziona - jak to nie może nam Pan pomóc?!". Standardowo. Tak jak wszędzie wcześniej - pewnie chodzi tylko o nabijanie kasy - pomyśleli jednogłośnie z mężem. Niczego więcej Małżeństwo już nie usłyszało, jak tylko to, że czas ich dzisiejszej wizyty dobiegł końca i czekają już następni pacjenci, a należność trzeba uregulować w recepcji.

I znowu kolejne łzy - tyle bólu, tyle cierpienia, tyle nieprzespanych nocy i ciągle to samo pytanie: „dlaczego?", a tęsknota za macierzyństwem coraz większa. Czy ktoś w końcu będzie im w stanie kiedyś pomóc? A ten KTOŚ, od którego tak naprawdę wszystko zależy, zawsze jest w stanie pomagać, jeśli się tylko uwierzy. On tylko czekał cierpliwie, kiedy dojrzeją do myśli o roli, jaka będzie im przeznaczona.

JESZCZE JEDNA ŚLEPA ULICZKA...

Kobieta usłyszała pewnego dnia od znajomej, że w Łodzi przyjmuje świetny profesor, doktor habilitowany, który zajmuje się sprawami niepłodności i jest przeciwnikiem zabiegów in vitro. To jest to, czego szukamy. W końcu ktoś może powie nam, co właściwie stoi na przeszkodzie naturalnego powiększenia naszej rodziny, a nie będzie sugerował metody, z która się nie zgadzamy - pomyślała kobieta i pobiegła podzielić się tą informacją z mężem.

Dotarli wreszcie na umówione pierwsze spotkanie w centrum Łodzi. Profesor, starszy siwiejący pan, wziął do ręki całą teczkę dokumentów. Śmiejąc się pod wąsem, rzekł: „O, widzę, że i naprotechnologia nie jest wam obca. Szkoda czasu na taką zabawę, przecież chcecie mieć szybko dzieci" – zaśmiał się głośno. Ale im nie było tak bardzo do śmiechu. Oni czekali na konkretną diagnozę. Oczywiście nie doczekali się jej na tym spotkaniu, bo aby ją usłyszeć, musieli umówić się po raz kolejny, ale już do prywatnej kliniki, gdzie przyjmował profesor. Pomimo poznanej już dokładnie przez osiem miesięcy spotkań trasy Warszawa - Łódź, nie wyjaśniło się nic. A przecież profesor na pierwszej wizycie podkreślał, że daje 99 % szansę zajścia tej parze w naturalną ciążę. Należało tylko przygotować organizm odpowiednimi według niego hormonami.

Jednak oprócz odczuwania silnego bólu w podbrzuszu, który doskwierały kobiecie z każdym miesiącem coraz bardziej, nie zmieniło się nic. Zwiększały się tylko dawki leków kuracji hormonalnej oraz bił licznik kilometrów w samochodzie wraz ze zmniejszaniem się stanu ich wspólnego konta w Banku.

W końcu z obawy o swoje zdrowie, kobieta - wbrew poradom profesora - poszła na kontrolne USG do przychodni w swoim miasteczku. Źródło bólu w podbrzuszu z miejsca zlokalizowano: zdecydowanie powiększone obydwa jajniki oraz liczne torbiele. Przestraszone małżeństwo na kolejnej wizycie przedstawiło lekarzowi USG, sugerując, że coś nie jest w porządku. Lekarz zaśmiał się tylko i stwierdził: „Chce Pani być w ciąży, to musi boleć i będzie bolało tak, że nie będzie Pani mogła wytrzymać. Trzeba to przetrwać. Tak więc wywołujemy owulację". Małżonkowie patrzą szeroko otwartymi oczami i nie dowierzają: po co?... Kobieta drżącymi rękami sięga do teczki i pokazuje profesorowi stertę badań potwierdzających cykliczne występowanie u siebie owulacji. Więc po co ją wywoływać, jeśli pojawia się naturalnie? – niemalże wykrzykuje profesorowi. Na to lekarz odpowiedział, że te wyniki mogą kłamać, skoro do tej pory nie ma dzieci. Czyli badania robione w kilku różnych klinikach są wszystkie błędne? Załamali ręce. Co to znowu ma być? Kolejna próba eksperymentowania jak na królikach doświadczalnych, którymi oni mieliby być? To była ich ostatnia wizyta w Łodzi. Tyle starań, zabiegów, wyrzeczeń, cierpienia i znowu porażka. Zaczynało brakować już sił…

Życie płynęło dalej. Pochłonięci pracą wciąż żyli nadzieją na cud. Kobieta modliła się i tak bardzo prosiła Boga, aby pozwolił im, tak jak innym rodzicom, cieszyć się macierzyństwem i ojcostwem. Tak bardzo wyczekiwała chwili, kiedy kolejne Święta Bożego Narodzenia będą mogli spędzić we trójkę i jak to będzie cudownie patrzeć wszystkim prosto w oczy i krzyczeć całym sercem: „Ja też jestem mamą! A nie chować wzrok i znosić w sobie wstyd, który czuła, kiedy ktoś pytał: A co u was? Macie dzieci?

Gdy odpowiadała przecząco, widziała na twarzach obcych wielkie zdziwienie. Jak to? Tyle lat małżeństwa i bez dzieci? To dopiero egoiści. Myślą tylko o sobie i o karierze! Tylko pieniądze się dla nich liczą. Mimo że nikt głośno tego nie mówił, ona wiedziała, jak błędnie są postrzegani. Czuła się winna. Winna, że nie mają dzieci. Ale właściwie dlaczego? Czy to jej wina? Przecież nie potwierdzono żadnej diagnozy, która by o tym świadczyła. Wręcz przeciwnie. Ale ona wtedy obwiniała siebie i jednocześnie prosiła, modliła się i dziękowała Bogu, że najbliższa jej osoba, mąż, nigdy nie wykorzystał tego argumentu w żadnej ze sprzeczek małżeńskich. Nigdy nie przyszło mu do głowy, aby obwiniać ją za to, że nie mają dzieci. A przecież mogło to być takie proste. Wypowiedzenie żalu w bezsilności i obwinianie się wzajemnie. Jednak oni dobrze wiedzieli, że gdyby kiedykolwiek wypowiedzieli wzajemne oskarżenia wobec siebie, zniszczyłoby to ich miłość, ich związek, ich małżeństwo, że to już za bardzo by bolało. Przechodzili przez to wszystko razem – jako jedność. Przecież przyrzekali sobie „na dobre i na złe". Czy ten stan rzeczy można przyjąć jako próbę przetrwania ciężkich chwil? Ona tak myślała, bo to, co działo się w jej sercu, było tak trudne. Żal, tęsknota, poczucie winy. On za każdym razem powtarzał jej, że ją bardzo kocha i żeby zostawiła już te wszystkie konsultacje lekarskie. Co ma być, to będzie. Trzeba zawierzyć Bogu – powtarzał. Jak ona wtedy dziękowała Najwyższemu, że ma takiego męża.

Bardzo często w rozmowie z mężem mówiła, że łatwiej byłoby, gdyby wiedzieli, że to np. ona nie może mieć dzieci z takiego czy innego powodu - wtedy na pewno byłoby im łatwiej – myślała, a tak cały czas ta chciwa nadzieja, że w końcu coś się zmieni. Ale czy się zmieni? Nadzieja zawsze umiera ostatnia. Wreszcie i jej zaczynało powoli brakować. A czy bez nadziei można żyć?

Kolejny rok, kolory na świecie coraz bardziej bledną. Kolejne Święta Bożego Narodzenia, kolejne życzenia, które płynęły z głębi serc najbliższych, a które tak bardzo bolały, gdyż ona czuła, że każdy wyczekuje ich dziecka, tak samo niecierpliwie, jak oni. Czasami nawet bez słów wyczuwała, czego każdy życzy. Bo wszyscy chcieli tak bardzo, aby ich marzenie się spełniło. Dziękowała Bogu za swoją rodzinę, za to, że ma na kim polegać, ma do kogo zwrócić się z problemami. Czasami nawet myślała w taki sposób, że każdy w życiu musi dźwigać jakiś krzyż. Jedni nie mają szczęśliwego

dzieciństwa, inni mają nieudane małżeństwa, jeszcze inni wychowują nieuleczalnie chore dzieci, inni giną w nieszczęśliwych wypadkach. Każdy człowiek musi doświadczyć czegoś w życiu. Więc coraz bardziej zaczęła wierzyć w to, że jej krzyż jest taki, że nie mogą mieć dzieci. Ponieważ wszystko do tej pory miała jak z bajki: szczęśliwe dzieciństwo, kochających nade wszystko rodziców, braci, na których mogła zawsze polegać, bratową, która była jej najlepszą przyjaciółką, kochającego ją ponad wszystko męża, dobrze prosperującą własną firmę i dom. Czyż nie bajkowe życie? Czy nie pora, aby coś zakłóciło tę sielankę? Jest to zrozumiałe, że w końcu musiała się zmierzyć z czymś bardzo trudnym. Ale on? Dlaczego jej mąż musiał cierpieć tak samo? Czy nie cierpiał już wystarczająco? W krótkim odstępie czasu stracił oboje rodziców: nowotwór i śmierć w kwiecie wieku mamy, a dwa miesiące później odszedł tata. Czy dla młodego chłopaka to za mało? Czy jeszcze trzeba go doświadczać? Wypróbować? Dlatego przede wszystkim, ze względu na niego, myślała, że to niemożliwe, aby Bóg tak zaplanował ich drogę. Wtedy jeszcze nie rozumiała, co przygotował im Bóg, bo On doskonale wie, z czym człowiek sobie poradzi, a z czym nie. Nigdy nie nałożyłby na człowieka takiego cierpienia, z którym ten nie mógłby sobie poradzić. W cierpieniu ponadto zawsze jest jakaś tajemnica. Trzeba tylko znaleźć do niej klucz. Dla nich Bóg także przygotował wyjątkową drogę, ponieważ wiedział, że to oni będą najbardziej odpowiednimi rodzicami dla dzieci, które urodzą inne kobiety. A wiedział Bóg, co będzie dla nich dobre i że sobie poradzą.

WIARA, NADZIEJA I MIŁOŚĆ...

Pewnego wiosennego wieczoru podczas spaceru, małżeństwo rozmawiało o przysiędze, którą złożyli sobie kilka lat temu. Ślubując miłość małżeńską w kościele i odpowiadając na pytanie: Czy chcecie z miłością przyjąć i po katolicku wychować potomstwo, **którym was Bóg obdarzy** - odpowiedzieli: „Tak, chcemy". Jakże ważna to była przysięga. Dopiero teraz zaczęli interpretować to pytanie z wielką wiarą i ufnością. Przecież mają przyjąć potomstwo, którym ich Bóg obdarzy, a Bóg chce obdarzyć ich dzieckiem, które urodzi inna kobieta. Pytanie to przecież nie brzmi: Czy chcecie z miłością przyjąć i po katolicku wychować potomstwo, które urodzi żona. Nie ma w tym pytaniu informacji, w jaki sposób Bóg obdarzy małżeństwo potomstwem. I to jest wielka tajemnica wiary. Czyż to nie cudowne? W końcu Pan dał im jasną podpowiedź, jaką drogą mają pójść.

Słowo „adopcja", inaczej „przysposobienie", nie było im obce. Często rozmawiali o tym, nawet wtedy, kiedy jeszcze nie sądzili, że kiedyś będzie im tak bardzo bliskie. Nie warto już wydawać pieniędzy na lekarzy, którzy kazali wykonywać te same badania po kilka razy i nic z tego nie wynikało. Nie warto się stresować i ciągle wysłuchiwać tych samych diagnoz. Trzeba zacząć działać! Chcemy mieć dzieci i zrobimy wszystko, żeby je mieć! Wiedzieli, że w swych poczynaniach nie zostaną sami.

Zaczęli działać. Mąż od razu dowiedział się, kiedy rozpoczyna się kurs adopcyjny i przywiózł do domu całą stertę dokumentów do wypełnienia. Byli pewni swojej decyzji. Chociaż często wśród niektórych tzw. życzliwych osób słyszeli wypowiedzi na temat dzieci adoptowanych: a to, że z takimi dziećmi są często problemy, a to, że uciekają z domu, że są niewdzięczne, że nie da się zmienić ich genów, że często szukają swoich biologicznych rodziców. Ciągle ktoś coś na ten temat słyszał. Tyle że nikt tego naprawdę nie doświadczył. Często zupełnie przez przypadek słyszeli historie o nieudanych adopcjach lub pijanych matkach, które rodziły dzieci, mając kilka promili alkoholu we krwi, skazując je na różne schorzenia i komplikacje zdrowotne. Słyszeli wtedy opinie, że nie jest możliwe, aby prawdziwie pokochać dziecko kogoś takiego. Ale czy miłość mierzy się medycznym termometrem?

Bolesne doświadczenia. Ale ani ona, ani on, nie potrafili myśleć w stereotypowy sposób. Dobrze wiedzieli, że to przede wszystkim oni sami z siebie muszą dać dziecku jak najwięcej miłości. Miłości, której każde dziecko tak bardzo potrzebuje. Nie zastanawiali się nad jakąkolwiek formą rekompensaty w przyszłości ze strony dziecka. Pragnęli oddać w całości małej kruszynie swoje serca. Tak wiele zależało tylko od nich; Jaką stworzą rodzinę i jak wychowają swoje dzieci? Wiedzieli, że w ich domu będzie tyle miłości i ciepła, że te uczucia poradzą sobie z wszelkimi trudami. Przecież nie ma za-

sady co do losów każdego z nas. Można tylko wierzyć i ufać, że miłość wszystko zwycięży. Bo przecież ile jest przypadków złych, a nawet karygodnych zachowań dzieci biologicznych rodziców, ile jest w końcu złych matek i ojców, którzy nie powinni nimi nigdy zostać. Czy ktoś jest w stanie to policzyć?

Jesienią rozpoczęli kurs dla rodzin zastępczych i adopcyjnych. Nie myśleli już o lekarzach, diagnozach i kuracjach. Poświęcili cały swój czas i energię, aby jak najlepiej przygotować się do roli, na którą tak bardzo czekali. Dni upływały, szkolenia dobiegały końca, dokumenty już prawie wszystkie zostały zgromadzone, spotkania z opieką społeczną i psychologami odbyte. Niebawem dostaną kwalifikację, aby udać się do odpowiedniej placówki po dziecko. Nie wystraszyły ich trudne, czasami nawet drastyczne przypadki dzieci, których sytuacja była omawiana na spotkaniach. Obydwoje wiedzieli, że to jest ich cel, aby osiągnąć pełnię szczęścia. Jednak i ta droga, którą poszli, nie okazała usłana kwiatami. Może Bóg chciał sprawdzić, czy na pewno są gotowi?

Kolejną niepokojącą informacją, którą uzyskali na zakończenie kursu, było to, że muszą zgłosić się do odpowiedniej placówki, która wystawi im kwalifikację na rodzinę adopcyjną, ponieważ - jak się okazało po czasie – kurs, który skończyli, a raczej instytucja, która go prowadziła, nie była w pełni uprawniona do wystawiania tego typu dokumentów. A czy nie lepiej było od razu poinformować, że aby adoptować dziecko, muszą zrobić kurs w innym, uprawnionym miejscu? Pomimo rozczarowania z tego powodu nie poddali się. Udali się do jednego z prywatnych Ośrodków i tam znowu psychologowie przeprowadzili z nimi testy i badali po raz kolejny ich predyspozycje psychiczne. Dodatkowo, na spotkaniu wstępnym prowadząca pani psycholog, robiła wszystko, aby zniechęcić małżonków do decyzji o adopcji. Opowiadała im najtrudniejsze przypadki chorób dzieci, przytaczała oszustwa w kartach zdrowia i tym podobne drastyczne historie. Dlaczego to zrobiła? Nie wiedzieli i nie chcieli wiedzieć. Widocznie musieli to wszystko usłyszeć.

Niech mnie ktoś uszczypnie, bo w takich momentach nie wierzę, że dobro dzieci jest najważniejsze. Tylko czy na pewno dla wszystkich?

Małżonkowie wracali do domu głodni, wykończeni ciężkim i trudnym spotkaniem, ale zmęczenie było niczym w porównaniu z tym, co się działo w ich głowach. Tysiące myśli, tysiące pytań, może gdzieś chwila zawahania. Czy damy radę wytrwać? W milczeniu i z kompletnym mętlikiem w głowach dotarli późnym wieczorem do domu. Na szczęście czekała na nich „dobra dusza" z przygotowanym obiadem. To brat kobiety, który zawsze twierdził, że nie potrafi gotować, przyrządził z własnej chęci obiadokolację. To było chyba najlepsze spaghetti, jakie do tej pory jedli.

Kolejnego poranka bez chwili zastanowienia obydwoje wiedzieli, rozumiejąc się bez słów, że trzeba iść dalej. Nie zwątpimy. Ufamy Bogu.

Niestety kolejną złą dla nich wiadomością był fakt uchwalenia przez Rząd Ustawy mówiącej, że z dniem 1 stycznia 2012 roku, zostają zlikwidowane wszystkie Ośrodki, które przeprowadzają zbyt małą ilość adopcji w skali roku. Czyżby ważniejsza dla naszych elit rządzących była ilość, a nie jakość? Okazało się, że Ośrodek, do którego przybyli, również zniknie z mapy placówek uprawnionych do przeprowadzania adopcji. Co zatem dalej? Gdzie teraz szukać pomocy? Pomóż nam, o Panie, daj jakiś znak…wskazówkę…cokolwiek…

NARESZCIE W DOMU...

Przez przypadek, a raczej chyba z pomocą Anioła Stróża, dowiedzieli się od przyjaciół znajomych, poznanych jeszcze na kursie rodzin, że skoro są praktykującymi katolikami, mają bardzo duże szanse na adopcję w Katolickim Ośrodku Adopcyjnym w Warszawie. Na początku lutego pojechali na umówione spotkanie. Wreszcie od początku wizyty towarzyszyły im bardzo pozytywne odczucia. Nikt nie chciał robić dodatkowych badań, nie zlecał kuracji, nie obiecywał „gruszek na wierzbie". Było miło i rzeczowo, więc chyba wreszcie trafili w odpowiednie miejsce.

Trzeba tylko pozałatwiać formalności związane z przeniesieniem teczek z dokumentacją z poprzedniej placówki. Nie było to łatwe, bo „zmora" dotychczasowego pecha dalej próbowała ich prześladować, ale po jakimś czasie pisania oświadczeń o zwrot dokumentów wszystko się udało. W Katolickim Ośrodku

Adopcyjnym uzyskali informację, że muszą jeszcze odbyć kilka spotkań uzupełniających, weekendowe rekolekcje małżeńskie w Laskach oraz dostarczyć parę nowych dokumentów, które nie były wymagane w poprzedniej placówce. Po tym wszystkim mieli być w pełni przygotowani do przysposobienia dziecka, które jak się wkrótce okazało, już na nich czekało. Wczesną wiosną skompletowali potrzebne dokumenty. – Świetnie! To chyba koniec naszej drogi przez formalności – pomyśleli. Teraz pozostaje już tylko oczekiwanie - czekanie na najważniejszy w życiu telefon…

Jest środa 24 października 2012. Oboje są zajęci pracą. Do żony dzwoni telefon. To pani Monika, psycholog z KOA pyta, czy moglibyśmy przyjechać w jutrzejszym dniu na kolejne spotkanie. Nie przeczuwając nawet w najmniejszym stopniu, o co naprawdę chodzi, żona potwierdza przybycie i umawia godzinę spotkania. Pewnie kolejne dokumenty do uzupełnienia - zdążyliśmy się już przyzwyczaić do odbywania dodatkowych spotkań.

Czwartek 25 października 2012 wchodzimy do KOA. Wita nas serdecznie pani Monika i zaprasza do swojego pokoju. Siedzimy, czekając na informację, co też nowego trzeba dostarczyć lub uzupełnić. Pani Monika spokojnym tonem zaczyna rozmowę: „Chciałabym wam przedstawić malutką osóbkę. Ma na imię Julia".

Ona i on zamarli na chwilę. Serca zaczęły bić szybciej. Niedowierzają oboje. Delikatnie mówiąc oszołomieni, nie wydobywają z siebie ani słowa i słuchają informacji, które przekazuje im pani Monika, a które dotyczą w głównej mierze zdrowia Julii. Ona szczypie się delikatnie w rękę, aby poczuć, czy to przypadkiem nie sen. On wpatruje się coraz większymi oczyma w panią psycholog, ale obydwoje nie są w stanie wydobyć z siebie ani słowa. Słuchają z zapartym tchem, a serca biją im coraz mocniej i mocniej. Czekają na informację, z jakimi chorobami, dysfunkcjami czy rehabilitacją Julii będą musieli się zmierzyć, bo o tym, że to właśnie ta wyczekana ONA wiedzieli od samego początku, gdy usłyszeli jej imię. Nawet na siebie nie patrząc, nawet nie pytając się nawzajem, poczuli obydwoje to samo. To już nieważne, co wyczyta dalej pani Monika. Julia – przecież to Ona! To ich córeczka!

Kiedy rozmawiali, jakie imię nadadzą w przyszłości swemu dziecku, wiedzieli, że jak będzie dziewczynka, to będzie WŁAŚNIE JULIA. Czy to się dzieje naprawdę? Pani psycholog pyta, czy są zainteresowani spotkaniem z Julią. CZY SĄ ZAINTERESOWANI? Co za pytanie! Najchętniej pojechaliby do niej już teraz, zaraz, a jeszcze tyle godzin będą musieli czekać do jutra.

Pani Monika zakończywszy odczytywanie danych na temat Julii, zapytała, czy mają jakieś pytania? Małżonkowie patrzą na siebie i jednogłośnie mówią, że tak, oczywiście. Przecież nie wiedzą niczego na temat tego, co dolega Julii. Wiedzą, że ma dwa miesiące i to, że sytuacja prawna nie jest uregulowana, bo kobieta, która urodziła Julię, zgubiła dowód, ale co z jej zdrowiem? Na co naprawdę jest chora? Z czym będą się borykać? Co leczyć? Czyżby obydwoje nie dosłyszeli tak ważnych dla nich informacji odnośnie fantastycznego stanu zdrowia Małej? A przecież tak bardzo bali się, że nie będą potrafili zaakceptować chorego dziecka…

Pani Monika wpatrując się w małżonków, powtarza spokojnym tonem: „Ale przecież przeczytałam Państwu wszystko, co dotyczy tego dziecka. Jedyny problem to czas oczekiwania na wyrobienie nowego dowodu przez matkę. Julia jest dzieckiem zdrowym. Nic jej nie dolega". Kamień spadł im z serca. Tyle nasłuchali się już o chorobach adoptowanych dzieci, że zaczęli być błędnie przeświadczeni, że zdrowych dzieci do adopcji raczej nie ma. Czuli, że najtrudniejszą dla nich decyzją będzie zaakceptowanie ciężkiej choroby, bo nie wiedzieli, czy byliby w stanie walczyć z cierpieniem niewinnego dziecka. Czy wystarczyłoby im sił. Nie spodziewali się, że właśnie ich dziecko będzie zupełnie zdrowe. Czuli, że to był prawdziwy cud dla nich.

Dopiero gdy wyszli z Ośrodka, bez słów uściskali się tak bardzo mocno. W tym uścisku wyrazili wszystko, co czuli. Z oczu popłynęły łzy szczęścia. Powoli zaczęło do nich docierać, że wypełniło się marzenie, że właśnie zostali Rodzicami. Zupełnie się nie spodziewali, że ta chwila nastąpi tak szybko, gdyż doskonale wiedzieli, ile rodzin czeka na adopcję niemowląt i w najśmielszych marzeniach nie wyobrażali sobie, że w Wigilię 2012 roku będą już we trójkę.

Pierwsze telefony z obwieszczeniem radosnej nowiny do przyszłej babci i dziadka. Ona zadzwoniła do mamy, on do taty. Dziadkowie tak bardzo się ucieszyli. Babcia od razu się rozczuliła, nie mogąc opanować łez. Dziadek strasznie zaskoczony, nie spodziewał się, że właśnie tego dnia zostanie dziadkiem po raz trzeci, gdyż ma już dwoje wnucząt ze strony brata kobiety. Wieczorem nie wytrzymali i zadzwonili również do swojego rodzeństwa. Wszyscy bardzo się cieszyli – chociaż, podobnie jak oni, byli bardzo zaskoczeni, że tak szybko udało się znaleźć największy jak dotąd Skarb.

To była jedna z najdłuższych nocy w ich życiu. Nie zmrużyli oka nawet na chwilę. W dalszym ciągu wydawało im się, że to sen. Nie dowierzali, że ich marzenie w końcu się spełnia. Zastanawiali się, jak to będzie. Mnóstwo pytań w głowie. Czy dadzą radę, czy uszczęśliwią małą Julię? Czy będą potrafili przekazać jej najważniejsze w życiu wartości? Czy będą w stanie wychować ją na dobrego i uczciwego człowieka? Tyle pytań i tak wiele emocji. Pytania przeplatały się z lękiem. Oby tylko nie skrzywdzili tej małej istoty. Nie mogli uspokoić myśli. Na zmianę towarzyszyły im emocje - szczęście i niepokój. Czy słusznie się bali? Ale przecież który z rodziców nie boi się o przyszłość swoich dzieci? Przecież Julia to ich córeczka, a oni są pewni, że zrobią wszystko, co w ich mocy, aby była szczęśliwa.

Nie mogli doczekać się, kiedy w końcu skończy się ta noc, kiedy wreszcie zobaczą Julię. Kobieta jest zdenerwowana. Im dłużej czeka, tym więcej pytań sobie zadaje. Co się stanie, jak zobaczy dziewczynkę i nie pokocha jej mocno od pierwszego wejrzenia? Przecież na kursie uprzedzano ich, że nie zawsze pierwszy kontakt z dzieckiem równy jest z miłością. Czasami trzeba kilku spotkań, chwili przemyśleń, aby zaakceptować dziecko nie pokrewne biologicznie. Jak będzie w ich przypadku? Pełna niepokoju kobieta coraz bardziej zaczyna się denerwować i zadawać sobie niepotrzebne pytania. A jak zobaczę dziewczynkę i nic nie poczuję? Nie poczuję żaru tej wyjątkowej miłości – miłości matki do swojego dziecka. Czy to możliwe? Raczej nie. A jeśli jednak tak się zdarzy? – zadręczała się kobieta, coraz mocniej przytulając się do Męża. To jest niemożliwe - uspokajał Mąż. Nie można nie pokochać takiej bezbronnej istoty – powtarzał. A ona wtulona w jego ramiona wsłuchiwała się w bicie jego serca, które jak echo powtarzało jego słowa.

Wreszcie nadszedł jesienny poranek 26 października 2012 roku. Poranek pełen emocji. Małżonkowie nie mogąc rano nic przełknąć, z niecierpliwością zerkali na zegarek, kiedy wskazówki wskażą godzinę 11.30, aby można było wyruszyć w drogę, by zobaczyć córeczkę.

Po drodze pojechali jeszcze do KOA po panią Monikę, która miała udać się z nimi do Ośrodka Preadopcyjnego. W KOA przywitała ich pani Dyrektor Ośrodka, pytając o samopoczucie. Oprócz nieprzespanej nocy i tremy połączonej ze zniecierpliwieniem przed najważniejszym w ich życiu spotkaniem, samopoczucie mieli wspaniałe.

W Otwocku mąż zaparkował na parkingu przed szpitalem, po czym wolno ruszyli w kierunku wejścia do Ośrodka Preadopcyjnego. Był słoneczny październikowy dzień. Jakże wyjątkowy! Kobieta czuła, jak uginają się pod nią nogi. Jak gdyby miała zaraz upaść. Informowała tylko swoich współtowarzyszy, że jest tak bardzo zdenerwowana, że chyba za chwilę nie zdoła dać ani jednego kroku dalej. Pani psycholog uspokajała, że to całkowicie normalne zachowanie i zdziwiłaby się bardzo, jeśli nie byłoby oznak zdenerwowania.

Weszli do środka. Lśniący nowością, wyremontowany i zadbany budynek Ośrodka sprawiał dobre wrażenie, uspokajał. Poczuli zapach prasowanej bielizny niemowlęcej i usłyszeli płacz dzieci. Powitała ich pani Dorota - dyrektor placówki, zapraszając wszystkich do swojego pokoju. Oświadczyła, że trzeba chwilę poczekać na lekarza, który miał dokładnie przeanalizować kartę Julii. Usiedli, oczekując w lekkiej niepewności i zdenerwowaniu przyjścia lekarza. Po kilkunastu minutach wszedł. Przywitał się w żartobliwy sposób, co trochę rozładowało napiętą sytuację i rozpoczął interpretację karty zdrowia dziecka. Ale oni od tego momentu już nic nie słyszeli, mimo tego, że starali się skupić na słuchaniu. Nasłuchiwali już tylko wewnętrznego głosu, który kazał podążać za sercem. Obydwoje bardzo niecierpliwie czekali na to wyjątkowe spotkanie. Kiedy to w końcu nastąpi? –denerwowali się. Wreszcie po dokładnej analizie doktora pani Dorota oznajmiła: -To

jak? Idziemy poznać Julię? I nie czekając na odpowiedź dodała: Proszę chwilę zaczekać. Nie czekała na odpowiedź, bo doskonale wiedziała, co czuli. Oczy się szklą, a serca biją tak mocno, że siedząca obok pani Monika pewnie słyszy doskonale to kołatanie. Małżonkowie wyczekiwali zaproszenia do pokoju, gdzie przebywała mała Julia. Wydawało im się, że to trwa całą wieczność, a tak naprawdę trwało zaledwie kilka minut. Nagle weszła pani Dorota, trzymając na rękach niemowlę i z miejsca podała je w ramiona kobiecie, która trzymając kruszynę na rękach, spojrzała po raz pierwszy w jej najpiękniejsze na świecie błękitne szeroko otwarte oczka przypominającymi dwie ogromne perły. Kobieta miała wrażenie, że świat się zatrzymał. Nie słyszała nic, nie widziała nikogo oprócz UKOCHANEJ CÓRECZKI. Czuła, jak łzy kapią jej po policzkach. Nie mogła powstrzymać emocji. „Cześć kochana kruszyno. Już na zawsze będziemy razem, wiesz?"- Udaje się kobiecie wydobyć przez łzy pierwsze słowa. A on od razu, jak tylko Malutka znalazła się na rękach żony, przytulił się do nich obu i stali tak, wpatrując się obydwoje w swoje długo wyczekiwane szczęście. Jaka ona śliczna – szeptał mężczyzna, a w przeszklonych oczach widać było ogromne szczęście, wydawało się, że chciałby krzyczeć z radości do całego świata. Jak długo stali tak we troje przytuleni, słuchając nawzajem bicia swoich serc? - nie wiedzą. Wiedzą natomiast, że ta chwila była tak cudowna, tak niesamowita i niepowtarzalna, że dla niej warto jest żyć i znosić wszelkie przeciwności, które stoją na drodze. Właśnie otrzymali najpiękniejszy dowód na to, że należy wierzyć w wolę Boską i być wiernym swojemu sumieniu.

Mała Perełka wpatrywała się tak długo w oczy mamy, że nic nie było w stanie jej rozproszyć. Żadne grzechotki, zabawki czy głosy innych osób nie spowodowały tego, że Malutka chociaż na sekundę spuściła wzrok ze swojej mamy. Leżała w jej ramionach i patrzyła szeroko otwartymi, pięknymi oczkami. Patrzyła, a rodzice wyczytywali z tego mądrego spojrzenia wszystkie możliwe emocje. Czuli, że ta wielka miłość od pierwszego wejrzenia jest w pełni odwzajemniona. Odczytywali z tego przenikającego przez ich serca wzroku miłość, niepokój, strach, pragnienie. Odszyfrowali też najważniejszą informację, którą przekazała im Córeczka. Zdawała się mówić: „ Rodzice weźcie mnie ze sobą, tak potrzebuję waszej miłości". Kobieta była najszczęśliwszą mamą na świecie. „Patrz kochanie – mówiła do męża – jakie mamy cudowne powitanie". Która matka po urodzeniu dziecka może nacieszyć się tak pięknym, głębokim, przenikliwym spojrzeniem? To wyjątkowa chwila. Nigdy nie przypuszczała, że jej Córeczka zrobi jej tak wielką niespodziankę tym nieustannym wpatrywaniem się w jej oczy. Kruszynka nawet przez chwilę nie zapłakała. Wpatrywała się tak dobre pół godziny, starając się powstrzymać opadające senne powieki. Jakie to było piękne. Trzymać w ramionach tego Aniołka, patrzeć, jak słodko zasypia i wsłuchiwać się w delikatny oddech, który stawał się coraz bardziej spokojny. Obiecujemy Ci, Skarbie, że będziemy zawsze przy Tobie, że będziemy zawsze Cię kochać całym sercem – myśleli obydwoje małżonkowie i gładzili delikatne rączki swojej córeczki. Patrzyli, jak słodko zasypiała, a Mały Aniołek - mimo wielkiego zmęczenia - od czasu do czasu odklejał powiekę od powieki i zerkał na nich, sprawdzając, czy jeszcze są, czy nie odeszli, czy czuwają. Aniołek chciał pewnie upewnić się, czy teraz w końcu będzie bezpiecznie? A serce mamy odpowiadało, najdelikatniejszą w świecie kołysanką o wielkiej miłości do swojego dziecka.

Nawet nie zauważyli, kiedy i na jak długo zostali sami. Ich szczęście było tak wielkie, że żadne słowa nie są w stanie tego opisać. Zniknęły wszystkie obawy, strach i skrywane lęki. Jak mogli nawet przez chwilę pomyśleć, że można nie pokochać od pierwszego wejrzenia tej cudownej istotki. To dziecko to cud. Byli o tym przekonani obydwoje. Dla tego Aniołka przeszliby swoją trudną drogę po raz kolejny, bo poczuli, że nie ma większego szczęścia, które mogłoby ich spotkać.

Trzymając Julię w ramionach, kobieta spojrzała za okno. Koniec października nigdy wcześniej nie jawił się w tak pięknych kolorach. Wszystkie barwy tęczy przeplatały się jej przed oczami. Już dawno nie widziała tak niezwykle poprzeplatanych tonacji. Niemal słyszała, jak stojące niedaleko okna drzewo szepcze: - A widzisz? Trzeba było tylko cierpliwości i wiary. Oto wasza nagroda. Każdy spadający z drzewa listek mienił się tysiącami barw i każdy oddzielnie szeroko uśmiechał

się do niej. A ona zerkała jak promyki słońca delikatnie padają na marchewkowe pasemka włosów ich śpiącej Córeczki. Życie jest piękne – myślała – marzenia jednak się spełniają.

Jak będzie wyglądała ich wspólna droga? Czy wszystko będzie łatwe i przyjemne? Doskonale wiedzą, że niekoniecznie. Czeka ich trud wychowania, wyrzeczenia, troska, obawy, może czasami i łzy, ale są pewni, że wspólnie i z Bożą pomocą dadzą sobie radę.

Ciąg dalszy nastąpi ☺

Szczęśliwi rodzice Julii

„Rodzina jest szansą dla wielu dzieci jej pozbawionych. Pracujemy po to, by każde znalazło swój dom rodzinny."

Fundacja Rodzin Adopcyjnych została powołana w 1997 roku przez grupę rodziców adopcyjnych. Głównym celem wszelkich naszych działań jest zapewnienie każdemu dziecku możliwości wychowania w rodzinie. Jeśli nie może to być rodzina biologiczna, wtedy w rodzinie adopcyjnej lub zastępczej.

Swoje cele statutowe realizujemy poprzez podejmowane działania w trzech głównych obszarach:

Interwencyjny Ośrodek Preadopcyjny (IOP*) w Otwocku - jest unikalnym w skali kraju i jedynym w województwie mazowieckim ośrodkiem interwencyjnym, przyjmującym dzieci w sytuacjach kryzysowych, pozbawionych czasowo lub trwale opieki rodziców. IOP to mieszkanie dla dzieci urządzone w standardzie oddziału niemowlęcego. Dla bezpieczeństwa dzieci, usytuowany jest w szpitalu, w bezpośrednim sąsiedztwie oddziału pediatrycznego. Dysponuje 20 miejscami. Przebywają w nim noworodki i niemowlęta w wieku od urodzenia do 1 r.ż. porzucone w szpitalach, zostawione w „oknach życia", znalezione na ulicy. Wiele z nich to dzieci chore, cierpiące na płodowy zespół alkoholowy (FAS), obciążone wadami genetycznymi, wcześniaki.

Zespół IOP, dokłada wszelkich starań, aby otoczyć osierocone niemowlęta jak najlepszą opieką, zarówno medyczną jak i psychologiczną. Należą do niego lekarze, rehabilitanci, psycholodzy, pedagog, pielęgniarki, opiekunki dziecięce i wolontariusze. Niezwykle ważna jest wczesna diagnoza i natychmiast podjęte leczenie. Ze szczególną determinacją IOP walczy o regulację, często bardzo skomplikowanej, sytuacji prawnej swoich podopiecznych. Staramy się zrobić wszystko, by czas pobytu dziecka poza rodziną nie trwał dłużej niż 3 - 4 miesiące.
W ciągu kilkunastu lat pracy IOP otoczyło opieką około 1000 dzieci, z których ponad 900 zostało powierzonych rodzinie. Taka liczba dzieci mogłaby spowodować utworzenie 30 nowych domów dziecka. Udało się tego uniknąć!

Pomoc Rodzinom - Fundacja wspiera rodziny znajdujące się w sytuacji kryzysowej, również takie, którym grozi odebranie dzieci. Organizujemy dla nich rzeczową pomoc świąteczną, pomoc psychologiczną, wsparcie finansowe dot. np: diagnozy, rehabilitacji, zajęć wyrównawczych, wypoczynku dzieci.

Wsparcie dla Rodzin Adopcyjnych i Zastępczych - polega m.in. na organizowaniu grup wsparcia, warsztatów umiejętności wychowawczych, spotkań integracyjnych, warsztatów szkoleniowych, wyjazdów wakacyjnych dla rodzin.

Fundacja jest członkiem Koalicji na rzecz Rodzinnej Opieki Zastępczej i bierze czynny udział w tworzeniu prawodawstwa oraz promowaniu wychowania dzieci w zastępczych formach rodzinnych.

Zarząd i Rada Fundacji pracuje na zasadzie wolontariatu, nie pobierając wynagrodzenia w żadnej formie. Fundacja jest organizacją pożytku publicznego (od roku 2004), nie prowadzi działalności gospodarczej, utrzymuje się z dotacji oraz z darowizn.

KONTAKT: tel. 0603 945 154, 22 522 84 16; fundacja@adopcja.org.pl; www.adopcja.org.pl

* Zadanie współfinansowane ze środków Samorządu Województwa Mazowieckiego.

Mazowsze. serce Polski

„Rodzina jest szansą dla wielu dzieci jej pozbawionych. Pracujemy po to, by każde znalazło swój dom rodzinny”.

Fundacja Rodzin Adopcyjnych
Ul. Nowogrodzka 49
00-695 Warszawa
Tel.: 22 522 84 16, kom.: 603 945 154
fundacja@adopcja.org.pl
www.adopcja.org.pl

Bank Millennium S.A.
PL 10 1160 2202 0000 0000 6084 1643
1% podatku: KRS Nr: 0000151113

Fundację Rodzin Adopcyjnych powołali w 1997 roku rodzice adopcyjni. Od początku uważamy, że zagrożone sieroctwem społecznym dzieci mają prawo wychowywać się w rodzinie.

CO ROBIMY?

- Pomagamy dzieciom osieroconym i opuszczonym – inicjując i wspierając zastępcze formy wychowania rodzinnego, takie jak: rodziny adopcyjne, rodziny zastępcze, pogotowia rodzinne, rodzinne domy dziecka.
- Pomagamy rodzinom w sytuacji kryzysowej, by zapobiec umieszczaniu dzieci poza rodziną - kobietom w ciąży, samotnym matkom lub ojcom oraz rodzinom wielodzietnym.
- Wspieramy rodziny adopcyjne i zastępcze – prowadząc grupy wsparcia, warsztaty szkoleniowe, spotkania integracyjne, wyjazdy wakacyjne.
- Współpracujemy z Mazowieckim Centrum Polityki Społecznej, ośrodkami adopcyjnymi, sądami, policją, Centrami Pomocy Rodzinie, rodzinami zastępczymi itp.
- Propagujemy w społeczeństwie postawę prorodzinną oraz pozytywny stosunek do zagadnień związanych z zastępczym rodzicielstwem, a w szczególności z adopcją.
- Jesteśmy członkiem Koalicji na rzecz Rodzinnej Opieki Zastępczej, zrzeszającej organizacje działające na rzecz dziecka i rodziny.

Fundacja jest organizacją pożytku publicznego i utrzymuje się jednie z darowizn osób fizycznych i prawnych oraz z dotacji. Stale poszukujemy darczyńców i sponsorów, gotowych wesprzeć nasze wysiłki.
Ogromna część naszych wysiłków koncentruje się na **Interwencyjnym Ośrodku Preadopcyjnym** (IOP*) w Otwocku, prowadzonym przed Fundację od 2001 roku.
Jest to mieszkanie dla dzieci, urządzone w standardzie oddziału niemowlęcego. Dla bezpieczeństwa dzieci usytuowany jest on w szpitalu, w bezpośrednim sąsiedztwie oddziału pediatrycznego. Dysponujemy 20 miejscami.

Przyjmujemy noworodki i niemowlęta w wieku od urodzenia do ukończenia pierwszego roku życia, z województwa mazowieckiego. Są to dzieci niechciane, pozostawione po urodzeniu w szpitalu, w oknach życia, odebrane rodzicom na skutek interwencji sądu lub policji, przyniesione dobrowolnie przez rodziców.
IOP zapewnia im całodobową opiekę lekarską i pielęgniarską, leczenie, rehabilitację, pomoc w regulacji sytuacji prawnej i powierzenie rodzinie.
Niezwykle ważna jest dla nas specjalistyczna diagnostyka stanu zdrowia i psychiki dzieci. Staramy się, by średni okres pobytu maluchów w placówce nie przekraczał 100 dni.
Dzięki IOP już ponad 1000 dzieci znalazło swoje rodziny.
Członkowie Zarządu oraz Rady Fundacji pracują charytatywnie, nie pobierając wynagrodzenia w żadnej formie.

* Zadanie współfinansowane ze środków Samorządu Województwa Mazowieckiego.

Mazowsze. serce Polski